

ROZMOWA „DO RZECZY”



Profesor Andrzej Nowak o trzech Rosjach
– z jedną z nich byłoby Polsce po drodze

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

NR 32/437 9-15 SIERPNIA 2021

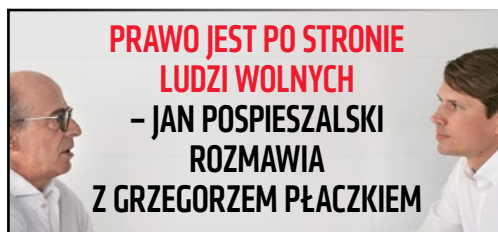
RZECZY

Kardynał Gerhard L. Müller
twardo broni
ks. prof. Dariusza Oko

PRAWO JEST PO STRONIE
LUDZI WOLNYCH

– JAN POSPIESZALSKI
ROZMAWIA

Z GRZEGORZEM PŁACZKIEM



Czy Warzecha dałby dziś
podwyżki politykom?

SENSACYJNE USTALENIA SŁAWOMIRA CENCKIEWICZA

Jak politycy Platformy dali się uwikłać w prowokację WSI



Nakład: 57,1 tys. egzemplarzy

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



PAWEŁ GRĄS

BRONISŁAW KOMOROWSKI

KRZYSZTOF BONDARYK



HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**PIEKŁO NA BARYKADZIE.
PORUSZAJĄCY WYWIAD
Z WETERANEM
POWSTANIA '44**

Piotr Zychowicz – Hitler na haju

Norman Ohler – Wunderwaffe w pigułce

Jacek Bartosiak – Polska musi liczyć na siebie

Tomasz Stańczyk – Spór o lekarza z Auschwitz

Sławomir Koper – Tajemnica śmierci Batorego

Mikołaj Iwanow – Wanda Wasilewska i Stalin

Radosław Golec – Inwazja III Rzeszy na Anglię

Rafał A. Ziemkiewicz – Kłamanie prawdą

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kiedy władza **traci słuch**

Z niepokojem zauważam, że sytuacja polityczna robi się coraz ciekawsza. Z niepokojem, bo mimo pewnej sympatii dla polskiej prawicy nie mogę zrozumieć dziwnych, karkołomnych wręcz jej posunięć. Dwa przykłady dobrze to pokazują.

Pierwszym jest kwestia relacji Polski z Unią Europejską. Jeszcze w listopadzie 2020 r., kiedy to polski rząd nie zdecydował się zastosować weta i zaakceptował mechanizm „praworządność za pieniądze”, wspominałem, że to poważny błąd. Wtedy jednak przedstawiciele władz mówili, że obawy są na wyrost, że Komisja na pewno nie wykorzysta wobec Polski tego środka nacisku. Możemy spać spokojnie, tłumaczyli, pieniądze popłyną do Polski szerokim strumieniem. I, najwyraźniej wierząc we własne słowa, uruchomili wielką akcję propagandową – wystarczy wyjść na ulice polskich miast, by dojrzeć wszędziebylskie billboardy. Hasło jest proste: „770 miliardów złotych dla polskich wsi, miast i miasteczek”.

Okazuje się, że za pomysły rządowe ma zapłacić większość polskiej klasy średniej

Pomijam już problem sumy – część z tych pieniędzy i tak Polsce się należała w ramach funduszy strukturalnych – i czasu: to program na lata. Cóż, na tym polega PR, żeby podkreślać sukces, nawet jeśli nie wszystko się do końca zgadza. Ale jak, u licha, pytam, ktoś mógł wpaść na pomysł uruchomienia tej kampanii z a n i m Komisja Europejska zaakceptowała polski Krajowy Plan Odbudowy? Dlaczego nikt nie pomyślał, że ogłaszając wszem

wobec, że Polska dostanie ową mityczną nieco sumę, od razu osłabia i pogarsza swoją pozycję w relacjach z Brukselą? No bo co będzie, jeśli – jak wszystko na to wskazuje – Unia z akceptacją polskiego planu, a więc i z funduszami, będzie zwlekała? Im dłużej to trwa, tym polski rząd jest w trudniejszej sytuacji: przecież publicznie ogłosił, że pieniądze są, więc jak będzie tłumaczył, że ich nie ma? Niektórzy, nieco cynicznie, przyznaję, mówili, że skuteczny polityk bierze i nie kwituje. Mam wrażenie, że w relacjach z Unią polskie władze zachowały się odwrotnie: pokwitowały (ogłaszając publicznie przyznanie pieniędzy), ale nie wzięły (bo Komisja rozpatruje polski plan). Gdzie tu logika?

Podobne wątpliwości ogarniają mnie, kiedy obserwuję coraz większy upór i zaciekłość, z jaką politycy PiS próbują przekonać wyborców do dobrodziejstw projektu Polskiego Ładu. Wszystkie badania sondażowe pokazują, że pomysł, mówiąc kolokwialnie, „nie zażarł”. Poparcie polityczne nie tylko nie wzrosło, lecz także znowu zaczęło spadać. Wnioski z badań pogłębionych, ostatnio opublikowane przez „Dziennik Gazetę Prawną”, są równie bezlitosne dla projektodawców. „Prawie 55 proc. badanych nie wierzy, że rozwiązania podatkowe przewidziane w szstandowym programie PiS będą dla nich korzystne”. Co ciekawe, nawet wyborcy PiS nie wpadli w euforię – aż 20 proc. z nich nie dostrzega dla siebie pożytku.

Latwo to było przewidzieć. Wcześniejsze projekty socjalne PiS kończyły się sukcesem, bo były oparte na prostym przekazie: najbabsi zyskają, nikt nie straci. Albo nawet jeszcze mocniej: wszyscy zyskają. Właśnie dlatego tym elementem Polskiego Ładu, który cieszy się

największym poparciem, jest zapowiedź podniesienia kwoty wolnej od opodatkowania do 30 tys. zł. Jednak ktoś (zakładam, że mamy tu do czynienia ze świadomym planem) wpadł na genialny pomysł, żeby przy okazji podnieść faktycznie podatki dla lepiej zarabiających i małych przedsiębiorców. Ponoć to tylko 10 proc. społeczeństwa, a więc statystyczna mniejszość. Jednak ta „statyczna mniejszość”, która ma stracić, sprawia, że Polski Ład nie jest tak skuteczny politycznie jak „500+”.

Po pierwsze, okazuje się, że za pomysły rządowe ma zapłacić większość polskiej klasy średniej. To zaś oznacza, że będzie się ona bronić i walczyć słusznie o swoje. Nawet jeśli to statystyczna mniejszość, to jej wpływ na społeczeństwo jest znacznie większy, niż wynikałoby to z tabel w Ministerstwie Finansów.

Po drugie, gospodarka to system naczyń połączonych (przepraszam za banał, ale najwyraźniej trzeba to przypominać). Uderzenie w małych i średnich przedsiębiorców to cios nie tylko dla nich, lecz także dla ich rodzin oraz pracowników, a być może kontrahentów. Po trzecie wreszcie, tłumacząc zasady Polskiego Ładu rządowa narracja, zgodnie z którą bogaczami są osoby zarabiające powyżej 10 tys. zł miesięcznie brutto, wydaje się kompletnie chybiona. Bo przecież nie tylko mobilizuje przeciw temu projektowi tych, którzy ową rzekomą granicę bogactwa przekroczyli, lecz także tych (a więc w zasadzie wszystkich czynnych i przedsiębiorczych Polaków), którzy do niej dążą. Krótko: Polski Ład jest od początku obciążony poważnymi, wewnętrznymi wadami.

No więc jak tu nie mieć wrażenia, że władza traci słuch? ©

TEMAT TYGODNIA

14 SŁAWOMIR CENKIEWICZ

**PROWOKACJA OBYWATELSKA
WOJSKOWYCH SŁUŻB
INFORMACYJNYCH**

Politycy Platformy i prowokacja WSI

18 1 2007
15:24:07



KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

ZUGZWANG GOWINA

Czy Zjednoczona Prawica się rozpadnie?

24 KAMILA BARANOWSKA

MIĘDZY TUSKIEM A PIS

26 ŁUKASZ WARZECHA

W ZŁYM MOMENCIE

28 TOMASZ ROWIŃSKI

KORUMPOWANIE POLSKI

30 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI”

RAMIĘ W RAMIĘ ZE STRAJKUJĄCYMI

32 ŁUKASZ ZBORALSKI

LEWY MAGISTER?

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

WAKACJE BEZ SZTAMPY

KULTURA

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**TAJEMNICZA
PRZEMIANA TOMKA**

Od jedynie słusznych deklaracji aż bolą zęby

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ROZMOWA Z GRZEGORZEM PŁACZKIEM

NIE OBRAŻAM, CZEKAM I SPRAWDZAM

Wszechobecne budowanie poczucia strachu

50 MAREK JUREK

CZAS EPISKOPATU

52 ROZMOWA Z KARD. GERHARDEM L. MÜLLEREM

**WSTYDZĘ SIĘ ZA TO,
CO SPOTKAŁO KS. OKO**

54 JAN BOGATKO

CAŁKIEM GŁUPIA SPRAWA

HISTORIA

56 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM

TRZECIA ROSJA – TO MOGŁO SIĘ UDAĆ

Plan Piłsudskiego na pokonanie Sowietów

ŚWIAT

62 JACEK PRZYBYLSKI

RAPORT: SARS-COV-2

UCIEKŁ Z LABORATORIUM

Świat szuka prawdy o genezie pandemii

66 WITOLD REPETOWICZ

NARKODZIAD I SPÓŁKA

70 ROZMOWA Z ZOÉ VALDÉS

KUBAŃCZYCY ZAŻĄDALI WOLNOŚCI

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI

KAPITALIZM NIESPŁACALNEGO DŁUGU

Globalny festiwal zadłużania

„DO RZECZY” NA WAKACJE



76 JACEK KOMUDA

BOLKÓW – ZAMEK KRÓLA HERETYKA

10 najwspanialszych zamków Polski

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (60), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (75), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

TYGODNIK LUDSKIEGO
**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cęjowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cosic (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska,
Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński,
Witold Repeutowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torzański,
Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Włoczyk,
Jakub Woźniński, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel**
(zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także
Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian**
Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziański

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielsko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredacja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **M. Włodarczyk, A. Chomicz/Forum, M. Jagielski/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 571 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do dyskusji! Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Nie chcę takiego Ładu

Należę do tych emerytów, którzy długoletnią aktywnością zawodową, daleko wykraczającą poza etatową normę, i byciem aktywnym także na emeryturze wypracowali sobie świadczenie emerytalne dużo wyższe od przeciętnego. Na tyle wysokie, że zmiany podatkowe dotyczące dochodów, a planowane w Polskim Ładzie, spowodują obniżenie mojego świadczenia emerytalnego.

To ja stanowczo protestuję przeciwko takiemu Ładowi. To nie jest Ład – to jest nierząd. Nie dość, że coroczne waloryzacje emerytur nie dorównują poziomowi inflacji, to jeszcze będą obniżone wszystkim będącym w podobnej do mojej sytuacji. Jakim prawem moralnym? Jak to się ma do zasady pewności prawa? Jaki jest sens pracować z myślą o emeryturze i zapewnieniu sobie określonego poziomu życia, skoro arbitralną, czysto socjalistyczną manipulacją można pozbawić emerytów części ich nominalnych dochodów? Jaki jest sens popierać taki nieobliczalny rząd?

**Pozdrawiam serdecznie
Krzysztof Prochaska**

Rozsądny głos w TVN24

Dzień dobry, oglądam łożę prasową w TVN24 i jestem wdzięczna, że pan redaktor **Łukasz Warzecha** jest jedyną osobą wśród szanownego zaproszonego gremium dziennikarskiego, który zareagował na obrażanie ludzi niezaszczepionych na COVID-19. Jedną z dziennikarek nazwała ich antyszczepionkowcami, czyli płaskoziemcami, jak się wyraziła. To jest profesjonalny dziennikarz, który obraża

na wizji ponad 50 proc. Polaków? Bo tyłu nie jest w pełni zaszczepionych. A za chwilę ta pani o płomiennych włosach mówi o prawach człowieka – to jest groteskowe.

Pan Warzecha jako jedyny wspominał też o zamieszkach we Francji wobec decyzji prezydenta, bo reszta rozmówców wręcz wskazywała, jak to gładko i pięknie Francja, Włochy czy Grecja wprowadziły restrykcje dla niezaszczepionych. No jakoś

Ostatecznie TVN można nadawać przez rutę Notd Strebla 2...



nie było żadnej mądrej riposty ze strony kolegów i koleżanek po fachu.

Reasumując, dziękuję za profesjonalizm i klasę prowadzenia dyskusji Państwa redaktora! Dobrze, że w tej stacji choć jeden niezależny głos czasem na chwilę wybrzmi.

**Pozdrawiam
Zwykły obywatel**

Z głębokim smutkiem żegnamy
wybitnego adwokata

ŚP.

**Jacka
Kondrackiego**

Wszystkim bliskim zmarłego
składamy wyrazy
głębokiego współczucia

Przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wojna z Kościołem

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Od momentu wkroczenia armii sowieckiej i ekipy PKWN na polskie ziemie zaczęli ginąć i byli aresztowani polscy księża. Najczęstszym powodem represji były kontakty kapłanów, którzy w czasie okupacji pełnili służbę kapelanów oddziałów AK i NSZ, ze swoimi podopiecznymi. [...] Niektórzy kapłani podejrzewani o współpracę z podziemiem byli mordowani przez „nieznanych sprawców”. [...] Dopiero po 1999 r. historycy IPN dotarli do raportów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, które wyliczały, że w styczniu 1948 r. więzionych było 100 księży, w grudniu 1948 r. już ok. 220, a w lutym 1949 r. aż 350.

20 lipca 1945 r. wrócił do Polski z wojennego wygnania prymas August Hlond. We wrześniu 1939 r. uległ perswazjom rządu RP i opuścił wraz z nim teren Polski, wyjeżdżając do Rumunii, skąd przedostał się do Watykanu. W 1940 r., po

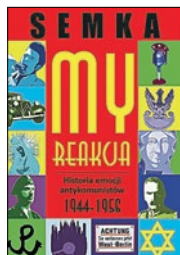
przystąpieniu Włoch do wojny po stronie III Rzeszy, prymas Hlond został zmuszony do opuszczenia Rzymu. Wraz z sekretarzami musiał wyjechać do francuskiego Lourdes. W 1944 r. został internowany przez Niemców, a po wyzwoleniu via Rzym wrócił do Polski.

Polacy źle przyjęli w czasie wojny wyjazd głowy Kościoła z kraju. Podczas nieobecności prymasa autorytetem moralnym stał się abp Adam Sapieha. Pocucie pewnej winy i obawa przed urażeniami uczuciami Polaków osłabiały siłę posługi prymasa Hlonda. Ale niekorzystne wspomnienia z lat wojny szybko ustąpiły wobec instynktownego wyczucia Polaków, że wobec nowej komunistycznej władzy tylko Kościół może być skuteczną ochroną duchową. Pocucie odpowiedzialności skłoniło hierarchów do bardzo roztropnego unikania politycznych pułapek. [...]

Można odnieść wrażenie, że wówczas nowemu rządowi Edwarda Osóbki-Morawskiego niezwykle zależało na uznaniu dyplomatycznym ze strony Watykanu. Gdy Stolica Apostolska nie wyrzekła się uznania rządu w Londynie, nowy Tymczasowy

Rząd Jedności Narodowej zareagował dość furiacko. Ogłosił, że konkordat przestał obowiązywać wskutek jednostronnych posunięć Stolicy Apostolskiej, sprzecznych z zobowiązaniami konkordatowymi. Powołano się na zgodę Watykanu na obsadzenie w 1939 r. przez Niemców polskich biskupstw wyznaczonych przez Niemców administratorami apostolskimi, którzy zaakceptowali ponadto zmianę granic diecezji.

Ambasador Królestwa Włoch w Warszawie Eugenio Reale we wspomnieniach odnotował rozmowę z wicepremierem Stanisławem Grabskim, liderem endekich realistów. Grabski przekonywał, że „nawet bez konkordatu stosunki [...] mogą być wznowione i że będą mogły rozwinąć się normalnie. Jego zdaniem, Stolica Apostolska powinna jednak wystąpić z inicjatywą zbliżenia i powinna uznać rząd warszawski”. Relacja włoskiego dyplomaty pokazuje, jak instrumentalnie komuniści traktowali Kościół. W 1945 r. potrzebowali na gwałt prestiżu ze strony społeczności międzynarodowej i w zamian za uznanie z pewnością zaakceptowaliby konkordat. ©©



DONALD TUSK ATAKUJE „DO RZECZY”

– Rzecznicy, tacy medialni, PiS-u i władzy rządu Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, bardzo otwarcie, mówię tu o tygodniku „Do Rzeczy”, redaktorach Lisickim i Ziemiakiewicz, otwarcie powiedzieli, że ich zdaniem jeśli się myśli o polskiej suwerenności, to trzeba zacząć mówić otwarcie o polexicie, czyli o wyjściu Polski z UE. Chcę bardzo mocno to powiedzieć. To jest właśnie ruski ład – oznajmił były premier Donald Tusk podczas facebookowej sesji livechat, zorganizowanej po powrocie Tuska z Brukseli do polityki krajowej.

– Jeśli chcemy ocalić suwerenność, to nie bójmy się myśleć o polexicie – apelowali publicyści,



podczas programu wideo „Polska Do Rzeczy”, opublikowanego w tym tygodniu w płatnej strefie dorzeczy+ naszego portalu internetowego. Były premier nie odniósł się do treści rozmowy Ziemiakiewicza z Lisickim, najwyraźniej atakując „Do Rzeczy” za sam fakt podjęcia debaty o obecności Polski w Unii Europejskiej.

Rozmowy Pawła Lisickiego i Rafała A. Ziemiakiewicza zamieszczane są na dorzeczy+ cyklicznie co tydzień. Cena subskrypcji cyfrowej zaczyna się już od 22,90 zł. ©©

CZYTAJ TAKŻE FELIETON „POKÓJ TUSKA” NA STRONIE 8



STRAŻNIK PAMIĘCI

2021



PARTNER
STRATEGICZNY





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Pokój Tuska

Donald Tusk zaabonował dostęp do internetowej strefy dorzeczy+. Tak wnoszę, bo przecież poważny polityk nie wypowiadałby się na temat rozmowy, której nie zna, a Tusk wypowiedział się, i to bardzo ostro, o naszej z Pawłem Lisickim cyklicznej rozmowie „Polska Do Rzeczy”. Grzmiąc, między innymi, że to, co powiedzieliśmy o Unii Europejskiej, to skandal i „ruski ład”, i ogłaszając nas przy okazji „rzecznikami” PiS.

A mówiąc poważnie, Tusk zaatakował nie to, co powiedzieliśmy (bo tego wyraźnie nie wie), tylko fakt, że w ogóle mówimy o sprawach, których on unika jak ognia. Czy słyszeli Państwo, by Tusk cokolwiek powiedział o planie „Fit for 55”? O zapowiedzianej dekarbonizacji i deindustrializacji nasze-

go kraju? O staraniach eurokratów o przekształcenie Unii z organizacji międzynarodowej w „europejskie superpaństwo”? O skutkach umowy Biden-Merkel? O narzucanych restrykcjach „covidowych”?

I mogą być Państwo pewni, że żaden z pracowników mediów, z którymi Tusk zgadza się spotykać, takich pytań mu nie zada. Gdyby nie wiązało się to ze zmarnowaniem ośmiu złotych pięćdziesięciu groszy, namawiałbym Państwa do zapoznania się z okładkowym pięciokolumnowym wywiadem, którego udzielił Tusk „dziennikarzowi dwudziestolecia” Jerzemu Baczynskiemu do jego „Polityki”. Jest to po prostu „wzór-konspekt” wywiadu lifestyle'owego, czyli paplani o niczym. Sprawia wrażenie przeprowadzonego dla „Gali”

i tylko z powodu jej upadku opublikowanego w tygodniku opinii. Powala już pierwsze pytanie: Czy Tusk się nie boi, że PiS-owcy go zabiją (nawiasem mówiąc, ilustruje wywiad rysunek, na którym Tusk strzela do Kaczyńskiego)? A następne pytania są jeszcze lepsze, aż do ogłoszenia wielkiej, politycznej strategii: Tusk najpierw wygra, potem „rozliczy”, a jak już wszystkich PiS-owców wyrzuci, posadzi i zgnoi na inne zapowiadane przez PO od lat sposoby, to wtedy „zaofiaruje społeczeństwu pokój”.

A o czym Tusk marzy? – zapytał na to „dziennikarz dwudziestolecia”. Otóż marzy, nie zgodną Państwo, żebyśmy „przeskoczyli wreszcie do XXI w.”. W pokoju. Pięknie marzy nasz Donald, prawda? ©©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Uwaga, ludzie!

Pandemia musiała przynieść i przyniosła generalne przewartościowanie. Na mnie największe wrażenie robi kulturowa mutacja liberalnych mediów. Na konferencji prasowej premiera Roch Kowalski z RMF spokojnym, stanowczym głosem przekonuje władze, że „zachęty do szczepień to za mało”, że „trzeba rozważyć dalej idące rozwiązania, możliwość sprawdzania przez pracodawców zaszczepienia pracowników albo wyłączenia pewnych usług dla osób niezaszczepionych”. To tylko jeden, ale reprezentatywny przykład. W jakiś sposób obiecujący, bo jakby na chwilę zawieszający demagogię „prawa do własnego ciała”, zsakralizowaną „prywat-

ność”, „prawa jednostki” tyranizujące dobro wspólne.

„Wyborcza”, Tok FM, RMF odkryły bowiem nagle związek człowieka ze zbiorowością. Nasze zdrowie okazało się zależne od zdrowia ogółu, a „własne” ciało okazało się fizyczną częścią społeczeństwa, w którym przychodzimy na świat i dzięki któremu żyjemy, z którym jesteśmy związani silniej niż matka, pardon, ciężarna z płodem. Skoro więc człowiek zaraza – to trzeba przed ludźmi społeczeństwo chronić! Tylko głupki typu Brechta mogą sobie dworować z tak oczywistej prawdy.

Nie można też odpowiedzialności redukować do moralistycznej „dobrej woli”. Państwo, organ sanitarnego bezpieczeństwa

narodu, ma nie tylko prawo, lecz także obowiązek wyegzekwować wymogi ocalenia publicznego. Są sytuacje zagrożenia, gdzie „prywatność musi się skończyć”.

Oczywiście, nie róbmy sobie złudzeń. Dziś liberalne media – w imię bezpieczeństwa sanitarnego – kwestionują wolność i równość, jutro będą to robić w imię... praw jednostki. Bo tak naprawdę wszystkie te uniwersalne kategorie, porządkowane przez naszą kulturę i filozofię klasyczną, tutaj są tylko sztonami w grze o Nowe Społeczeństwo. Zawsze należy pamiętać przestroge Donosa, że choć liberalne media obiecują reprezentować opinię społeczną, gdy trzeba, to bywają najskuteczniejszym taranem jej destrukcji. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Strzelam do posłańców

Piszę po bardzo przykrych porażkach naszych siatkarzy w Tokio. Dołączyła do wyjątkowo licznych na tych igrzyskach rozczarowujących występów naszych sportowców. Jak pewnie większość polskich kibiców, jestem w stanie głębokiej frustracji, ale nie tak głębokiej, by złorzeczyć naszym olimpijczykom. Pozostaje strzelanie do posłańców.

Widmo Tuska leży nad Polską
i strąca powstaniem patologii III RP



ceza r g e r y j e t o r a

„Twarz mi blednie, włos mi rzednie, psują mi się zęby przednie” – że sięgnę po tekst Przybory, na samą myśl o olimpijskiej narracji, którą raczą nas polskie media w ogólności, a największe portale informacyjne w szczególności. Zachować olimpijskiego spokoju nie sposób.

Większość naszej sportowej żurnalii od rana do wieczora, a też w nocy, trudni się bardzo

hojnym rozdawnictwem medali naszym sportowcom przed zawodami. Bardzo często bez żadnych podstaw. Nasz pływak wszedł do półfinału z 12. czasem? Czekamy na medal! I tak w kółko od pierwszego dnia igrzysk.

Efekt jest taki, że nawet świetne występy, ale nie zakończone zdobyciem medalu, w oczach nieznanego realiów odbiorcy są klęską. Wszystko dlatego, że dziennikarz sportowy zamiast objaśniać i tłumaczyć, sam staje się fanatycznym, ślepym na rzeczywistość kibicem. W rezultacie przegrany, choć Bogu ducha winny sportowiec staje pod pręgierzem opinii niesłusznie zawiedzionych fanów.

Mam jednak obawy, że przyczyna leży głębiej, a właściwie najgłębiej: sportowy dziennikarz często nie rozumie sportu. Gdy Djoković wygrał Wimbledon, powtarzał się komentarz: „Pomścił Hurkacza” (czyli pokonał Włocha, który wygrał z Polakiem w półfinale). Gdy Świątek ograła przeciwniczkę 6:0, 6:0, część naszej żurnalii z nieskrywanym zadowoleniem oceniła: „Poniżyła rywalkę”. A przecież w sporcie nie chodzi o to, żeby się mścić i poniżać.

To wszystko nierzadko pisane jest horrendalną polszczyzną. Francuzka staje się „Francuską”, a spróchniałe „spruchniałym”. Czołowy portal informacyjny napisał o naszej srebrnej wioślarce Katarzynie Zillmann: „Po tym sukcesie 26-latką dokonała coming outu na łamach telewizji”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Równość? Owszem, ale nierówna!

Olimpijskie kibicowanie zaczyna przybierać

przeróżne barwy. Kiedyś kibicowało się po prostu Biało-Czerwonym. A teraz? Na Twitterze redaktor Wiktoria Beczek z Gazety.pl pokazała nowatorską nieoczywistość trzymania kciuków za polskich sportowców w Tokio. Napisała mianowicie: „Czyli jak stoimy obecnie? Lesbijki: 2 medale, Homofobki: 0 medali”. Trudno było nie dostrzec przewrotnej radości w owej lapidarności. Ciekawe. Socjologicznie, społecznie ciekawe. Pani Beczek wyraźnie kibicuje orientacjom seksualnym. Do tej pory kibicowało się po prostu polskim sportowcom, ale robiąc ukłon w stronę redaktor Beczek, dodam: i sportowczyń, choć edytor tekstu, tępy seksista, pokazuje mi, że takiego wyrazu nie ma (wiele trzeba zmienić w obrzydliwej rzeczywistości uformowanej przez białych heteroseksualnych mężczyzn).

Kibicowało się Polkom i Polakom. Tak było, nie dość, że to pamiętam, to jeszcze w dużej części tak jest. Być może to archaizm. Może kibicowanie zespołom narodowym jest złe? Może trzeba to zmieniać, tak jak niektóre media próbują rugować konkursy piękności kobiet? Wróćmy do oglądu świata przez panią Beczek. Nie każdy wie, że redaktor Wiktoria Beczek dźwiga na swoich barkach dużą odpowiedzialność. Od lipca w strukturach Gazeta.pl (Agora) pani redaktor jest koordynatorką treści o różnorodności i inkluzji. A konkretnie, jak przeczytałem w Wirtualnych Mediach: „Będzie mieć wpływ na materiały powstające w serwisach Gazeta.pl, zapewniając dziennikarzom i wydawcom doradztwo oraz wsparcie. Będzie też odpowiedzialna za tworzenie ważnych tekstów o tematyce równościowej oraz komentowanie bieżących wydarzeń”. Trudne zadanie.

Nienawistnicy już zaczęli szydzić, że w „Gazecie” mają cenzora, oficera politycznego myśli nowoczesnej i inne takie niesprawiedliwości. Tymczasem pani Beczek chyba przeczy swojej misji, wyraźnie dzieląc ludzi na heteronormatywnych i nieheteronormatywnych. Kiedy pozwoiliem sobie zwrócić na to uwagę na TT pani redaktor, zostałem zablokowany, co oznacza, że ona nie chce czytać, co myślę, i ja nie mogę się dowiedzieć, co myśli o równości płci i orientacji Wiktoria Beczek. Bardzo mnie to zasmuca. Faktem jest, że wpis kibicujący kobietom o określonej orientacji seksualnej spotkał się z gwałtowną krytyką. Ta sytuacja, kiedy cenzor potrzebuje cenzora, czyli stara wariacja: „Kto pilnuje strażników?”. W tym strażników myśli... ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

WAŻNE PYTANIA

Joanna Przetakiewicz, celebrytka i była partnerka Jana Kulczyka, ostatnio specjalizuje się głównie we wpisach motywacyjnych, w których pisze młodym dziewczynom, czym powinny, a czym nie powinny się przejmować, że wszystko jest w ich zasięgu i generalnie chcieć to móc. Takie tam dyrdymały. Teraz opublikowała swoje zdjęcie na tle koparki i to nakłoniło ją do refleksji nad tym, że nie zawsze trzeba pozować na tle oceanu. – Na zdjęciu obłędna golden hour. Kocham tę porę dnia. Piękna zarówno na St. Barth, jak i na Zagłębiu. A że w tle zamiast lazuru oceanu i złotego piasku remonty, koparki i mało atrakcyjne entourage?

OK! Tak też lubię. A co Ty wolisz: śliczne zdjęcia po retuszu czy naturalne i bez filtra?

– zastanawia się celebrytka. – Rzeczywistość vs Instagram. Czasami można się zdziwić.

Nie poznać znajomej twarzy. Albo siebie.

Nawet miejsca, które się dobrze zna.

Tam wycięte, tu przycięte, gdzieś indziej przedłużone, zmniejszone albo wybarwione.

Wszystko idealne, wyselekcjonowane. Można pogubić się i zagubić w filtrach, tagach, trendach, fejkach i hashtagach. Po co to? – pyta. A my zastanawiamy się, kogo właściwie pyta, bo chyba siebie powinna.

EROTYK NA HORYZONCIE

Biedna Blanka Lipińska pożaliła się, że oto kończy się pewien etap w jej życiu, związany z ekranizacją jej powieści erotycznej „365 dni”. – Bardzo bałam się tej chwili... Już dwa lata temu, kiedy zaczynaliśmy kręcić pierwszą część, ja myślałam o dzisiejszym dniu. Chciałam, by nigdy nie nadszedł... Ale jest. Cóż... Wszystko, co ma początek, musi mieć i koniec – wyznała filozoficznie.

– Dziś zamykam etap „365 dni”. Wszystko, co miałam zrobić w związku z tą historią, zrobiłam. Na wszystko dałam sobie trzy lata i dokładnie trzy lata minęły. Jeśli ktoś jest zadowolony, przykro mi, wszystkich nie zadowolę, nie ma takiej możliwości – dodała. Podkreśliła też, że nadal jest dumna ze swoich książek, ale teraz bardziej ciągnie ją do filmu. Okazuje się, że Blanka przygotowała scenariusz nowego filmu – uwaga, zaskoczenie – erotycznego!

– [...] To właśnie film stał się dla mnie nową, wielką miłością, którą planuję pielęgnować. Dlatego drżycie krytycy, bo otóż stworzyłam kinematograficzną puszkę Pandory. Tak, napisałam już nowy scenariusz! Tak, będzie to kolejny erotyk – cieszy się celebrytka. Krytykami filmowymi nie jesteśmy, ale też drżymy. Ze strachu, że szykuje się kolejny hit, a wtedy już całkiem stracimy wiarę w naród.

METAFORY BOŻENKI

Agnieszka Kaczorowska, znana bardziej jako Bożenka z „Klanu”, urodziła niedawno swoje drugie dziecko. Z tej okazji zrobiła sobie rodzinną sesję zdjęciową, której efektami oczywiście podzieliła się na Instagramie. „Nasza kolejna dzielna lwica przyniosła ze sobą wielką falę miłości... I pływamy teraz w tym morzu spokoju, wdzięczności, pięknych zapachów, widoków, z totalnie miękkimi sercami...” – napisała celebrytka. Zdjęcia zdjęciami, ale jak czytamy o tym „morzu spokoju i wdzięczności”, to mamy poważne obawy, że Bożenka nam się wkrótce za poezję weźmie. A tego polski show-biznes może nie przetrwać.



FOT. FORUMOWA2/FORUM

PIASEK I WIELKA POLITYKA

Wokalista Andrzej „Piasek” Piaseczny, który niedawno dokonał coming outu, wyznając, że jest gejem, udzielił dużego wywiadu „Gazecie Wyborczej”. Opowiedział w nim m.in. o kulisach swojej pracy w TVP, gdzie był swego czasu jednym z jurorów w sztandarowym muzycznym show TVP2 „The Voice of Poland”.

– Występowałem tylko w programie muzycznym. I płaciła mi nie partia, ale podatnicy. Jednocześnie przez ostatnie lata nie chowałem się po kątach, otwarcie krytykowałem rząd. [...] Dodam tylko, że w ciągu mojej 30-letniej kariery TVP miała kilkunastu prezesów z najróżniejszych opcji, a ja zawsze jakoś się w niej mieściłem – tłumaczył się z zarzutu pracy dla „reżimowej TVP”. Dodawał też, że „nie czytał przecież wiadomości, jak pani Danuta Holeccka” Piasek odniósł się też do głośnego filmiku ze swojej imprezy urodzinowej, który trafił do Internetu. Na filmie Piasek klnie „j...ać biedę”, a inni goście w równie wulgarny sposób demonstrują swoją niechęć do PiS i Konfederacji. Piasek w wywiadzie dla „Wyborczej” twierdzi, że po tym, jak film ujrzał światło dzienne, do TVP w jego sprawie miał dzwonić sam Jarosław Kaczyński! – Podobno do telewizji zadzwonił sam „towarzysz Winnicki”, jak żartobliwie nazywamy ze znajomymi prezesa Kaczyńskiego, rzecz wzięta z kultowego serialu „Alternatywy 4”, pasuje idealnie, i powiedział, żeby mnie zdjęli ze wszystkich anten TVP – stwierdził. Tak, przez pół nocy trwała narada na Nowogrodzkiej w sprawie Piaska. Z udziałem prezesa, premiera, członków rządu i koalicjantów. Tak to musiało wyglądać. Na bank! ©

FOT. PAMEL GROMADA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, lol, znowu beka z Polaków. Wiedzieliście może, iż koszty utrzymania mieszkania to dla przeciętnego Polaka

ok. 25 proc. jego wydatków? xD

To oznacza ni mniej, ni więcej tylko tyle, że Polacy w tych małych ośrodkach żyją w niskiej jakości blokach z wielkiej płyty na niestrzeżonych osiedlach bez monitoringu i parkingu podziemnego. W naszym przypadku koszt utrzymania

Pozostałe to bilet komunikacji miejskiej i abonament za neta, bo zawsze można przywieźć jakieś słoiki z małego ośrodka.

Dopóki więc Polacy będą wciąż mieszkać w niewielkich ośrodkach w takich mieszkaniach, dopóty nie będziemy w stanie w podobnych statystykach przewodzić Europie, chociaż trzeba przyznać, że dzięki naszym wysiłkom i tak jesteśmy w czołówce.

ten młot wcale nie wygląda jak młotek. Jakieś żelastwo na łańcuchu, tyle.

To jest zresztą mocno symptomatyczne, nie uważacie? W kraju, który po macoszemu traktuje swoją noblistkę, gdzie kultura i nowoczesna nauka stoją na żenująco niskim poziomie, obowiązuje kult siły fizycznej realizowany za pomocą dalekiego rzucania dziwnymi przedmiotami.

Gdyby to wszystko odbywało się chociaż w ramach jakiegoś performansu, instalacji, gdyby miało to coś wspólnego z symboliką odrzucania polskiego konserwatyzmu, to jeszcze, powiedzmy, można by to było usprawiedliwić. A tak? No dajcie spokój, siara na cały świat.

Od tylu lat mówimy o PiS-ie i nic...
Trzeba coś zmienić! Dlatego od dziś
o PiS-ie będzie mówił
Donald...



c e z a r y k r y s t o r a

wynajętego apartamentu na osiedlu deweloperskim w bloku wykonanym z prestiżowych materiałów budowlanych i tylko 50 minut piechotą do najbliższego przystanku w stronę centrum miasta to 75 proc. miesięcznych wydatków.

Sami nie wiemy, czy się śmiać, czy płakać, ale wychodzi na to, iż jesteśmy światową potęgą w – uwa- ga – rzucie młotem.

Of kors żadne z nas kuce z polibudy i nie musimy się znać, ale w dodatku

Tymczasem sojowa frakcja lewicy w Krakowie ma poważny problem, iż pewna restauracja, dotąd serwująca dania wegańskie i wegetariańskie, wprowadziła do menu dania mięsne.

Bo to jest tak, jeśli osoba jest wege i pójdzie do knajpy ze stekami, to może zrobić awanturę, że chce steka z bakłażana, a jak kuchnia nie zrobi, to znaczy, iż jest wegefobiczna.

A jak knajpa wege rozszerza ofertę o mięso, to należy się obrazić i bojkotować, a przynajmniej narobić dramy na pół fejsbuka, iż przecież wcale nie jest to błahy problem. ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Towary drażliwe

Olga, słuchałem cię w radiu dzisiaj rano i znowu się pomyliłaś.

No niby jak, Michał? Wszystkiego się nauczyłam, tak jak mi przysłałeś dwa dni temu.

Powiedziałaś, że na Polskim Ładzie niewiele zyska, a prawie każdy straci.

Tak powiedziałam? O matko, no czeski błąd normalnie, wiesz, że ja się zawsze tych przekazów dokładnie uczę, mnie się nie zdarza pomylić, bo ja mam świetną pamięć, ale mnie ten cały Długi Jarek tak zirytował, jak mi te departamenty pozabierał z zemsty za Kornecką.

Ale to w sumie chyba dobrze? Będziesz mieć mniej roboty, a kasy więcej po podwyżce.

Niby tak, ale ja mam teraz tylko jeden departament i będzie

bardziej widać, że się nie znam. Poprzednio miałam trzy departamenty, więc nikt aż tak nie zwracał uwagi.

A co to za departament?

Jakieś „towary drażliwe”.

Chyba „wrażliwe”?

Wszystko jedno, i tak nie wiem, co to jest. Może ty wiesz? Bomby jakieś czy coś? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS zawładnęło umysłami ludzkimi do tego stopnia, że niektórzy nie są w stanie kupić kiełbasy, bo kojarzy im się z Beatą Kempą”.

ZBIGNIEW HOŁDYS, muzyk, w felietonie w „Newsweeku”

dwaj panowie

Polityka nie zna określenia „wakacje”. Mimo to niektórzy wyjeżdżają na urlopy. Nasze wiewiórki dostrzegły bardzo ciekawą konfigurację na Helu, a konkretnie w Juracie. A konkretniej w pobliżu słynnej willi Muszelka wzniesionej dla prezydenta Mościckiego. Wypatrzyły tam dwóch siłowych Mariuszów – Błaszczaka i Kamińskiego. Jeśli jeszcze dodamy, że w pobliżu rezyduje również zwierzchnik sił zbrojnych, czyli prezydent Andrzej Sebastian, to chyba zasadne będzie pytanie: Przypadek?

Jedną z największych tajemnic jest jednak to, gdzie spędzi urlop szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński. Jak wiadomo, prezes z kraju ruszać się nie lubi, a wybiera miejsca ustronne. W minionych latach był głównie na Pomorzu Zachodnim, choć preferował jeziora, a nie morze. W przeszłości zdobywał też szczyty Beskidu Sądeckiego. Jednak ten rodzaj rozrywki po operacji nie jest wskazany. Nasze wiewiórki twierdzą, że w tym roku czas na urlop nad jeziorami mazurskimi.

Głupia sprawa. Okazało się, że wszystkie wiewiórki opowiadające na offie dziennikarzom o tym, jakie to wielkie wk... urzenie panuje w PiS na uchwałę antysitwową, miały członków rodzin na stanowiskach w różnych spółkach. No i już teraz nie mają. Co oczywiście wywołało dalszą frustrację. Zwolnionym przypominamy, że trwa nabór na ludzi, którzy będą etatowymi kierownikami nowych okręgów, na które wkrótce zostanie podzielona partia.

Ciekawa sprawa. Czas na popłoch u Szymona. Tak się bowiem składa, że od Złego Donalda z Sopotu płyną bardzo niepokojące sygnały. Mówią one, że żadnego porozumienia, koalicji etc. może nie być. Wiewiórki z PeŁo opowiadają, że Zły Donald zamierza poczekać jeszcze chwilę, aż notowania Polski 2050 spadną na dobre poniżej 10 proc. Potem zaś zacznie konsumpcję tej nietypowej przystawki. Nietypowej, bo jeszcze nie zdążyła być gdziekolwiek przystawiona, a już zniknie.

Oto szczegóły. Zły Donald z Sopotu zamierza wobec Szymona Coelho Hołowni przyjąć postawę ojcowską. Będzie to jednak ojciec patologiczny.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

ny. Taki, który to niby ciepło o synku mówi, a tak naprawdę wsadza mu szpile i nieco wyszydza. Ważna wiewiórka z PeŁo powiedziała nam: „Na żadnego Szymona w rządzie Donald nigdy się nie zgodzi”. Wielki Przewodniczący Czaa Czarzasty też mu niepotrzebny. Donald chce bowiem zrobić wszystko, by rządzić w sprawdzonej konfiguracji – z Władkiem Tygrysem-Kamyszem.

Jest! Wrócił! Znowu jest z nami! Kto? No, przecież ten, no, Komorowski Bronisław. Trochę inaczej wygląda: chudy, wielkomiejski, o uroku wnuczka, a nie dziadka. Nie ma też wąsów. No i nazywa się inaczej. Ale zadanie ma to samo: nie wtrącać się, kiedy dorośli się bawią, oraz pilnować żyrandola w Pałacu Prezydenckim. Rafcio Trzaskowski. Tak właśnie komentujemy wieści o tym, że w ramach porozumienia wewnątrz PeŁo to Zły Donald ma zostać premierem, a Dobry Rafcio – tylko prezydentem.

Mamy dla Rafcia Czajkowskiego bardzo ważną wiadomość. Otóż nikt nie da ci tyle, ile Donald obieca. W dodatku uwaga – wiewiórki opowiadają, że wobec Rafcia zamierza Zły Donald przyjąć postawę podobnie patologiczno-ojcowską jak wobec Szymona.

Po krótkim okresie niepewności akcje Marka Magierowskiego jako kandydata na ambasadora w Waszyngtonie znowu poszybowały w górę.

Nasze wiewiórki utrzymują, że przełamanym został opór nowego ambasadora przy ONZ, czyli Krzysztofa Szczerskiego, i kandydatura Magiera jest właściwie klepnięta.

ZMSZ dowiedzieliśmy się, że wiernym czytelnikiem naszej rubryki jest sam minister Zbigniew Rau. – O niektórych rzeczach dziejących się w moim resorcie dowiaduję się od Panów G. – przyznał. Czyż trzeba nam lepszego komplementu? Niestety nie zdążyliśmy się zapytać, czy o swojej nominacji na Szucha też dowiedział się od nas. Wszak to my jako pierwsi ogłosiliśmy, że zostanie następcą Jacka Czaputowicza

Redakcyjna pocztą. Niejaki Marcin Kędryna, dawniej ulubiony brodaczy prezydenta Andrzeja Sebastiana, obecnie wicenaczelnym „Głosu Lubuskiego” napisał do nas, że to nieprawda, jakoby dział foto tygodnika „Ozon”, którym kierował, składał się tylko z Kędryny. Miał bowiem jedną podwładną. To prawda, dlatego napisaliśmy też, że był to dział jednoosobowy. Kierownicy się nie liczą. No, chyba że chodzi o naczelników.

Uwaga! Nie jest prawdą zapowiedź rządu i partii, jakobyśmy dzięki Polskiemu Ładowi mieli wkrótce stać się Zachodem. My Zachodem już jesteśmy! Wiemy to po pogawędce z pogranicznikami z Żywiecczyny, którzy ujeli na swym terenie dwóch Afgańczyków. Nielegalni imigranci najpierw dotarli do Serbii. Następnie zabunkrowali się w najładniejszej ciężarówce jadącej na Zachód. Ciężarówka przyjechała na Zachód, czyli do Polski. Co było do udowodnienia.

Na koniec o sporcie, ale nie o igrzyskach. Professional Footballers' Association (związek piłkarzy w Anglii i Walii) ogłosił raport. W pierwszej połowie roku 2021 nastąpił w Internetach wzrost liczby homofobicznych obelg pod adresem piłkarzy. Co ciekawe, największy wzrost następował wtedy, gdy przeprowadzano akurat różne kampanie przeciw homofobii. Ciekawi nas, czy ktoś wpadnie na oczywiste rozwiązanie problemu: zlikwidujcie kampanie przeciw homofobii, to liczba obelg spadnie. ©©



WSZYSTY JESTEŚMY POLAKAMI



WARBOOK.PL

eprasa.pl/0dbf790bc8

Prowokacja Obywatelska

Wojskowych Służb Informacyjnych



Sławomir Cenckiewicz

Opinia publiczna nie zdawała sobie sprawy ze skali manipulacji. Na przełomie lat 2007 i 2008 (ale i później) zmyśloną historią żyła cała Polska. Głównymi aktorami tzw. afery marszałkowej byli ludzie komunistycznych wojskowych służb specjalnych, wykorzystujący w swojej kombinacji czołowych polityków PO z Bronisławem Komorowskim, Krzysztofem Bondarykiem i Pawłem Grasiem

Mocnymi poszlakami wskazującymi na to, że sprawa jest prowokacją, są zachowania ważnych polityków Platformy Obywatelskiej – orzekł prawomocnie 16 grudnia 2015 r. sąd Rzeczypospolitej Polskiej na temat wymaganej w głowach prowokatorów z Wojskowych Służb Informacyjnych i ich pomocników z Platformy Obywatelskiej rzekomej afery związanej z korupcją w komisji weryfikującej żołnierzy WSI.

Gdybym powyższy cytat oraz to wszystko, co znajdują czytelnicy w tym artykule, oparł jedynie na własnych hipotezach, przypuszczeniach, przekonaniach czy domysłach, czekałaby mnie cała seria procesów o zniesławienie. W roli skarżących wystąpiliby czołowi politycy Platformy Obywatelskiej. A może i sama partia poczułaby się na tyle urażona, że podjęłaby wobec mnie stosowne kroki prawne. Jednak wszystko, co mogą tu państwo przeczytać, nie jest projekcją autora artykułu! Jest natomiast prawomocnym ustaleniem sądu na temat kulis tzw. afery marszałkowej z lat 2006–2008, w której głównymi aktorami byli ludzie komunistycznych wojskowych służb specjalnych – płk Leszek Tobiasz i płk Aleksander Lichocki, wykorzystujący w swojej kombinacji czołowych polityków PO z marszałkiem Sejmu Bronisławem Komorowskim, pełniącym obowiązki szefem ABW Krzysztofem

Bondarykiem (wcześniej w Radzie Krajowej PO) i sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Pawłem Grasiem na czele.

Opinia publiczna nie zdawała sobie sprawy ze skali manipulacji. Na przełomie lat 2007 i 2008 (ale i później) zmyśloną historią żyła cała Polska. Prasa ściagała się w newsach na temat „wycieku danych wywiadowczych” i handlu aneksem do raportu z weryfikacji żołnierzy WSI. Śledczy z ABW i prokuratorzy zakasali rękawy, w SKW i ABW ogłoszono alert, a politycy Platformy, PSL, SLD i Ruchu Palikota straszili powołaniem komisji śledczej do zbadania procesu likwidacji i weryfikacji WSI. Ich stałym sekundantem był gen. Marek Duka-czewski, którego akta osobowe, w tym dyplom kursanta GRU z 1989 r., „zaginęły” w czeluściach Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie.

SPRAWA WCALE NIEOSOBISTA

Lektura 37 tomów akt sądowych sprawy, w której oskarżonymi (przez prokuraturę) byli Wojciech Sumliński i Aleksander Lichocki, może przyprawić czytelnika o ból głowy. Nawet ja, będąc bezpośrednio zaangażowany w proces likwidacji WSI (pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Likwidacyjnej WSI), wielokrotnie ciągną w czasach rządów PO-PSL po prokuraturach (w latach 2007–2013), objęty inwigilacją

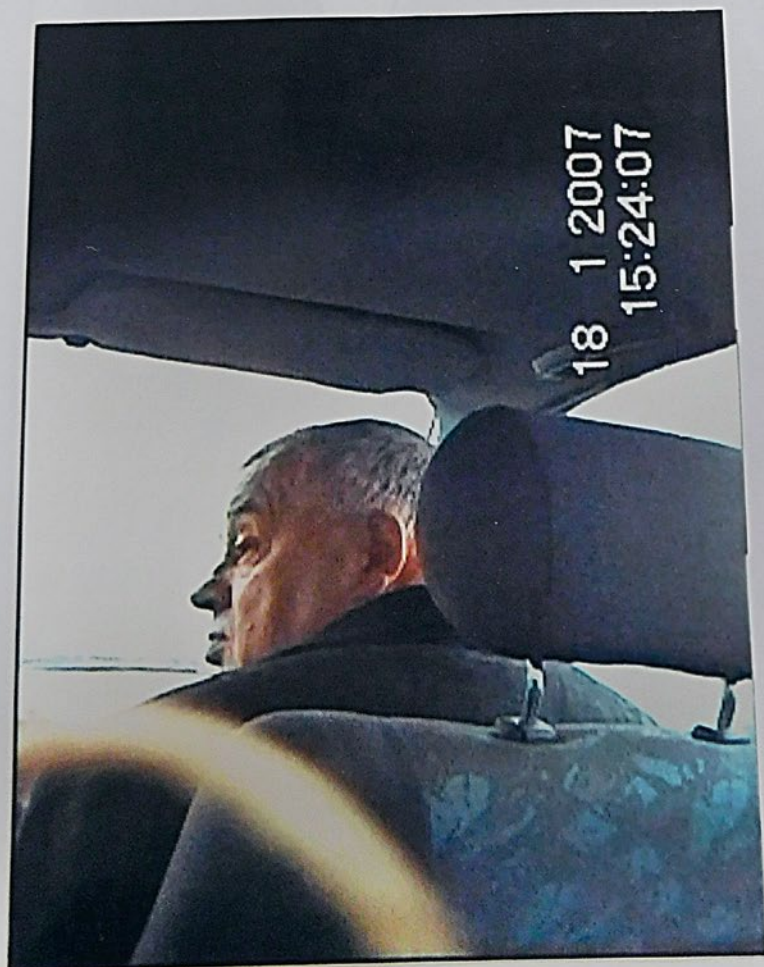
przez ABW do spółki z SKW, a nawet ujęty w opisywanej tu prowokacji WSI i PO, jestem zdumiony. Nie dziwi mnie jednak piętrowość przeprowadzonej prowokacji przez dwóch „operów” z WSW/WSI (Tobiasz i Lichocki) i wykorzystanie przez nich całego arsenału sztuki operacyjnej („wiązania” rozmówców, stosowanie technik operacyjnych czy umiejętne posługiwanie się prawdziwymi informacjami na przemian z dezinformacyjnym fałszem), ale łatwość, z jaką w swojej kombinacji wykorzystali czołowych polityków PO, a później również śledczych i funkcjonariuszy operacyjnych ABW oraz prokuratorów.

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Woli w osobie sędziego Stanisława Zduna nie tylko fachowo przejrzał kolejne etapy prowokacji ludzi służb, polityków, śledczych i urzędników, lecz także ustalił, że w czasie realizacji tej prowokacji w latach 2006–2008 dochodziło m.in. do sprokrowania materiałów, które miały uprawdopodobnić korupcję w Komisji Weryfikacyjnej, manipulowania „dowodami”, pomijania niewygodnych faktów, a nawet świadomego dopisywania do sprawy osób, które z weryfikacją żołnierzy WSI nigdy nie miały nic wspólnego, przyzwolenia śledczych z ABW i prokuratury na ukrycie części nagrań (czasem inscenizowanych przez płk. Leszka Tobiasza i płk. Aleksandra Lichockiego), formalnie stanowiących główny dowód rzekomego przestępstwa u świadków (faktycznie byli oni sprawcami przestępstwa), inspirowania dziennikarzy do pisania artykułów na temat korupcji towarzyszącej weryfikacji żołnierzy WSI... Wszystko to jedynie po to, by już w pierwszych tygodniach po ukonstytuowaniu się koalicji PO-PSL odwrócić proces likwidacji WSI i zahamować proces weryfikacji żołnierzy tajnych służb, a przy okazji, by „dopaść” Antoniego Macierewicza i jego współpracowników, a pośrednio także PiS i prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jako patrona ustaw



Fot. 3

Kod czasowy: 18 1 2007 15:19:42



Fot. 4

Kod czasowy: 18 1 2007 15:24:07

z czerwca 2006 r. likwidujących WSI (za którymi głosowała cała PO poza jednym posłem – Bronisławem Komorowskim).

Całość zebranego przez sąd materiału (w dodatku w całości jawnego!) daje fenomenalną i zupełnie unikatową – zwłaszcza z punktu widzenia analizy naukowej – możliwość wglądu w mentalność i sposób myślenia o państwie, służbach specjalnych, zagrożeniach i politycznych przeciwnikach części ówczesnej (ale i obecnej) elity Platformy Obywatelskiej, którą cechuje nieprawdopodobna podatność na prowokację, jeśli opiera się ona na wizji zaszkodzenia politycznemu rywalowi (definiowanemu jako „wróg”).

TŁO OPERACYJNE

W istocie zreferowanie już tylko jednego dokumentu – obszernego uzasadnienia wyroku sądu z 16 grudnia 2015 r. uniewinniającego Wojciecha Sumlińskiego od zarzutu udziału w korupcji i skazującego na cztery lata więzienia płk. Aleksandra Lichockiego za przygotowanie i realizację prowokacji – wystarczy do opisu tej sprawy. Jej tłem i punktem wyjścia jest sytuacja osobista płk. Leszka Tobiasza (1957–2012), który jako oficer zlikwidowanych WSI szczególnie zainteresowany kierunkiem rosyjskim (od 1982 r. służył w WSW) od 30 września 2006 r. znajdował w rezerwie kadrowej, a w 2011 r. został prawomocnie skazany przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie za prowadzenie działań operacyjnych niezgodnych z prawem (za wiadomienie złożył Antoni Macierewicz jako przewodniczący Komisji Weryfikacyjnej WSI). Sytuację Tobiasza, który na wszelkie sposoby chciał powrócić do czynnej służby, komplikował fakt, że w WSI (a potem w SKW) służył też jego syn (pozytywnie zweryfikowany i przewidziany na wyjazd do Iraku). Tobiasz obawiał się zatem nie tylko o własną, lecz także syna przyszłość, której – co warto podkreślić – nie wyobrażał sobie poza specsłużbami. W 2006 r. Tobiasz usilnie poszukiwał kontaktu z Macierewiczem (szefem SKW i przewodniczącym Komisji Weryfikacyjnej), wykorzystując w tym celu pośredników, którzy poprzez swoje kontakty z hierarchiami kościelnymi mieli niejako wymusić na polityku PiS zgodę na spotkanie poza siedzibą SKW. Zdaniem sądu Tobiasz „podjął wielopłaszczyznowe działania, zmierzające do kontaktu z osobami zaangażowanymi

■ w przeprowadzenie zmian w funkcjonowaniu wojskowych służb specjalnych, a w szczególności z Antonim Macierewiczem”. Skutek tych zabiegów był żaden.

Bezskuteczność tych prób zaprowadziła Tobiasza do intensyfikacji kontaktów z dobrym znajomym z WSW – płk. Aleksandrem Lichockim (rocznik 1943), absolwentem kursu kadry kierowniczej GRU w latach 1980–1981 w Moskwie, który odszedł z wojskowych służb specjalnych w 1991 r. (był ostatnim szefem Zarządu I, który odpowiadał za kontrwywiadowczą ochronę instytucji centralnych MON), ale wciąż funkcjonował w otoczeniu i środowisku wojskowym (pracował m.in. w Agencji Mienia Wojskowego). Lichocki był dobrze zakotwiczony w wielu środowiskach i utrzymywał szerokie kontakty towarzyskie z kilkoma biskupami Kościoła katolickiego, dziennikarzami (m.in. z Wojciechem Sumlińskim), posiadał rozległą wiedzę o kulisach śmierci ks. Popiełuszki, WSI i politykach. Kontaktując się z nim, Tobiasz zorientował się, że w związku z chorobą nowotworową żony Lichocki miał duże potrzeby finansowe. Znając nieformalną pozycję i sieć kontaktów Lichockiego, Tobiasz zwrócił się do niego z prośbą o pomoc w pozytywnej weryfikacji przed Komisją Weryfikacyjną WSI, co miało mu umożliwić powrót do specsłużb.

MODEL OPERACYJNY

W grudniu 2006 r. płk Lichocki, nie mając w istocie podstaw do składania takich obietnic, gdyż nie dysponował bezpośrednim dotarciem do weryfikatorów WSI, zaoferował Tobiaszowi pomoc w powrocie do służb wojskowych (SKW lub SWW) i w skierowaniu na placówkę zagraniczną, żądając w zamian 100 tys. zł (w dwóch ratach: 50 tys. przed weryfikacją, a następnie druga transza).

Wydarzenia z końcówki 2006 i początku 2007 r. stanowią przełom w całej historii. Okazało się bowiem, że Tobiasz, z nie do końca jasnych powodów, nagrywał swoje rozmowy z Lichockim, a kiedy doszło między nimi do sprzeczki, ujawnił fakt rejestracji spotkań i groził odpowiedzialnością karną. Od tego momentu – jak stwierdził sąd – Lichocki podjął współpracę z Tobiaszem, której celem nie była już tylko pozytywna weryfikacja tego ostatniego, lecz także chęć skompromitowania Macierewicza, a także procesów weryfikacji i likwidacji WSI. Lichocki

zaoferował Tobiaszowi swoją wiedzę, znajomości i pośrednictwo w nawiązywaniu kontaktów. Dzięki temu Tobiasz nawiązał nieformalny kontakt (przez co złamał prawo jako żołnierz pozostający w rezerwie kadrowej) z jednym z członków Komisji Weryfikacyjnej – Leszkiem Pietrzakiem. Lichockiego „naprowadził” na Pietrzaka wcześniej Sumliński (obu panów łączyła zresztą pewna zażyłość). Co ciekawe, ze względów taktyczno-operacyjnych Tobiasz z Lichockim uznali na tym etapie, że nie należy poznać Sumlińskiego z Tobiaszem. W każdym razie Pietrzak (do pierwszego spotkania doszło w nocy 11 stycznia 2007 r. w restauracji Piwna 2 w Warszawie) stał się wówczas jedynym weryfikatorem WSI, który wszedł w prowokację przygotowaną przez Tobiasza, choć należy przyznać – za stanowiskiem sądu – że swoim zachowaniem (był nagrywany) w jakiegokolwiek formie nie uwiarygodnił tezy o korupcyjnym charakterze weryfikacji żołnierzy WSI. Z drugiej strony przyznać należy także rację sądowi, który zauważył, że Pietrzak prowadził grę obliczoną na pozyskanie wiedzy relacyjnej o WSI całkowicie na własną rękę, nie sporządzając ze spotkań notatek służbowych ani nie informując „o prowadzonych rozmowach operacyjnych swojego przełożonego szefa komisji Antoniego Macierewicza, a później, po zmianie na tym stanowisku, Jana Olszewskiego”.

TAKTYKA OPERACYJNA

Istnieje kilka gradacyjnych wątków z rozmów Tobiasza z Pietrzakiem, na które należy zwrócić uwagę jako na charakterystyczny dla WSI modus operandi (nie znamy treści wszystkich rozmów, gdyż Tobiasz nie przekazał śledczym całości nagrań). Po pierwsze, Tobiasz od pierwszego spotkania (11 stycznia

2007 r.) próbował wzbudzić zaufanie Pietrzaka, oferując mu chociażby pomoc finansową i chęć załatwienia dobrej szkoły dla córki. Po drugie, Tobiasz próbował rozpoznać sposób funkcjonowania Komisji Weryfikacyjnej i jej skład, ale podobnie jak w pierwszym przypadku Pietrzak nie wyszedł poza ogólne, opowiadając o kolektywnym procedowaniu nad każdym weryfikowanym żołnierzem (25 stycznia 2007 r.). Po trzecie, Tobiasz był bardzo oszczędny w informowaniu Pietrzaka o kulisach funkcjonowania WSI. Nie wniósł – przynajmniej tak wynika z dostępnego materiału – niczego istotnego do wiedzy na temat roli WSI w handlu bronią, udziału w segmencie paliwowym czy kontaktów z Rosjanami, choć wspominał przy okazji o swojej pracy w ataszacie wojskowym w Moskwie. Po czwarte, Tobiasz otwierał się jedynie wówczas, kiedy zorientował się, że Pietrzak posiada o nim wiedzę kompromitującą, która stanowi istotną przeszkodę w pozytywnej weryfikacji. W ten sposób Tobiasz przyznał się, że WSI (i on osobiście) prowadziły sprawę operacyjną o kryptonimie Anioł przeciwko metropolii poznańskiemu abp. Juliuszowi Paetzowi, twierdząc, że w związku z homoseksualizmem mógł on zostać zwerbowany do współpracy przez „wschodnie służby”. Ponadto przyznał, że przez jednego z agentów (współpracownik ps. Magnat, który utrzymywał kontakty z GRU) dziennik „Rzeczpospolita” otrzymał jakieś materiały o Paetzu (15 lutego 2007 r.). Po piąte wreszcie, Tobiasz stosował prowokacje retoryczne, mówiąc chociażby o tym, że wie, iż ktoś z otoczenia Macierewicza zażywa leki psychotropowe (30 sierpnia 2007 r.).

REALIZACJA PROWOKACJI

Jeden z przełomów w całej sprawie nastąpił 18 stycznia 2007 r., kiedy Tobiasz spotkał się z Lichockim. Formalnie spotkanie to jest poświęcone zrelacjonowaniu rozmowy Tobiasza z Pietrzakiem z 11 stycznia. Co ważne, rozmowę tę Tobiasz nagrywał, a jej zapis po odtworzeniu politykom PO i przekazaniu śledczym z ABW i prokuratury stanie się później istotą całej prowokacji. Niewykluczone, że rozmowa pułkowników jest rodzajem teatralnej ustawki obliczonej przede wszystkim na dostarczenie w przyszłości niezbitego „dowodu” potwierdzającego korupcję towarzyszącą weryfikacji żołnierzy WSI. Świadczyć może o tym jej

W grudniu 2006 r. płk Lichocki, nie mając w istocie podstaw do składania takich obietnic, zaoferował Tobiaszowi pomoc w powrocie do służb wojskowych i w skierowaniu na placówkę zagraniczną, żądając w zamian 100 tys. zł



treść. Po pierwsze, Tobiasz poinformował Lichockiego, że Pietrzak powiedział mu, iż objęcie stanowiska w SKW wynosi 200 tys. zł, podczas gdy w zapisie ich rozmowy w ogóle nie pojawił się taki wątek. Po drugie, Lichocki poinformował Tobiasza, że nad jego weryfikacją pracuje zespół w składzie: Piotr Bączek, Leszek Pietrzak, Piotr Woyciechowski i Sławomir Cenckiewicz, sugerując, że są oni gotowi przyjąć łapówki za pozytywną weryfikację Tobiasza, którą potwierdzi swoim podpisem Macierewicz (na tej podstawie Lichocki żądał od Tobiasza 50 tys. zł, gdyż taką kwotę przekazał już Pietrzakowi). Całość tych opowieści nie polegała na prawdzie – nigdy nie powstał zespół weryfikacyjny w podobnym składzie dla zbadania sprawy Tobiasza, Cenckiewicz nigdy nie zasiadał nawet w Komisji Weryfikacyjnej, zaś w toku postępowania sądowego dowiedziano wielowątkową fałszywość wypowiedzi obu pułkowników potwierdzoną w dodatku weryfikacją materiału dostarczonego śledczym przez samego Tobiasza.

PLATFORMA WCHODZI W PROWOKACJĘ

Jednak jesienią 2007 r. przedstawiciele nowo tworzącej się ekipy rządowej nie przejmowali się ani logiką, ani faktami dotyczącymi likwidacji i weryfikacji WSI. Liczyła się wola odwetu na poprzednikach. Co warto odnotowania, jeszcze przed wyborami parlamentarnymi (21 października 2007 r.) płk Leszek Tobiasz próbował nawiązać kontakt z Bronisławem Komorowskim, korzystając z pośrednictwa przyjaciela – starosty powiatu warszawskiego zachodniego i polityka Platformy Obywatelskiej Jana Żychlińskiego, który z kolei skontaktował Tobiasza z posłanką PO Jadwigą Zakrzewską (dobrą znajomą marszałka Sejmu).

Sądowa analiza całej sekwencji zdarzeń ukazuje sposób działania i matracze-

nia polityków Platformy: „Po spotkaniu z Jadwigą Zakrzewską, jeszcze przed dniem 5 listopada 2007 r., doszło do pierwszego spotkania Leszka Tobiasza i Bronisława Komorowskiego w biurze poselskim przy ul. Nowy Świat. Tobiasz przyjechał do Komorowskiego wraz z Żychlińskim. Przebieg i treść rozmowy nie zostały ustalone. [...] W związku z powyższym doszło po kilku dniach do kolejnego spotkania Leszka Tobiasza, Bronisława Komorowskiego i Pawła Grasia, podczas którego Tobiasz miał przedstawić nagranie Aleksandra Lichockiego. Dopiero 23 listopada 2007 r. doszło do kolejnego spotkania z udziałem Komorowskiego, Grasia, Tobiasza i Krzysztofa Bondaryka. W związku z tym spotkaniem Krzysztof Bondaryk wydał polecenie dwóm funkcjonariuszom operacyjnym ABW oraz jednemu procesowemu udania się na miejsce spotkania. Jednak funkcjonariusze ci podczas spotkania na polecenie Bondaryka pozostali w samochodzie przed biurem poselskim marszałka Sejmu Komorowskiego. Nie byli obecni przy spotkaniu, nie weszli do biura i nie podejmowali żadnych czynności w sprawie. Ponadto po spotkaniu p.o. szef ABW Bondaryk osobiście przewiózł Tobiasza do siedziby ABW, gdzie następnie złożył zeznania Tobiasz. Zarówno w toku przesłuchania z 23 listopada 2007 r., jak i w piśmie przewodnim (notatce służbowej) z 27 listopada 2007 r. pominięto fakt spotkania w biurze poselskim Komorowskiego. [...] Wskazać należy, że jeszcze w grudniu 2007 r. doszło do kolejnego spotkania Tobiasza z Komorowskim. Z uwagi na znaczną zmienność i sprzeczność (zarówno wzajemną, jak i wewnętrzną) zeznań Tobiasza, Komorowskiego, Bondaryka i Grasia nie udało się odtworzyć przebiegu spotkań i treści wyżej opisanych rozmów. Brak wiarygodnych zeznań pozwalających na odtworzenie ich przebiegu”.

I dalej: „W tym samym czasie dwa spotkania z Komorowskim odbył Lichocki, podczas których proponował marszałkowi dostarczenie ściśle tajnego aneksu do raportu Komisji Weryfikacyjnej WSI. Ówczesny poseł, a później marszałek Sejmu wykazywał zainteresowanie tymi propozycjami. Pomimo rzekomych podejrzeń o współpracy Lichockiego z obcym wywiadem [rosyjskim] Komorowski do opisanych wyżej działań z 23 listopada 2007 r. nie zawiadomił o tych zdarzeniach żadnych właściwych służb państwowych, w szczególności szefa SKW”.

Warto odnotować fakt, że w międzyczasie Tobiasz z Lichockim wytwarzali kolejne „dowody” korupcji. Już po swoich pierwszych rozmowach z Komorowskim obaj pułkownicy nagrali swoją rozmowę, w czasie której Tobiasz stwierdził, że aneks do raportu z weryfikacji żołnierzy WSI jest wart 500 tys. zł i że otrzymał jego egzemplarz od Pietrzaka (31 października 2007 r.). W toku postępowania sąd stwierdził, że ten sprokuirowany fałsz stał się powodem późniejszych przesłuchań ABW w mieszkaniu Bączka i Pietrzaka (13 maja 2008 r.).

APOGEUM PROWOKACJI

Tobiasz z Lichockim nie przestawali działać. W nagrywanych pogaduszkach, które później w aurze sensacji opisywali rozmówcom z PO i ABW, tworzyli kolejne „newsy”. I tak 21 listopada 2007 r. Lichocki powiedział do magnetofonu, że Agora kupiła od Piotra Bączka za 100 tys. zł aneks do raportu z weryfikacji żołnierzy WSI. Wówczas obaj pułkownicy ustalili, że poza grupą polityków Platformy zainspirują dziennikarzy do napisania serii artykułów na temat korupcji w komisji Macierewicza. Na pierwszy ogień poszedł Jarosław Jakimczyk z „Wprost”, któremu Tobiasz próbował „sprzedać” informację o taryfie 100 tys. zł za weryfikację jednego żołnierza WSI, ale – jak przyznał sąd – już podczas rozmowy z Tobiaszem dziennikarz wyrobił sobie opinię o prowokacji, gdyż okazało się, że były oficer WSI nie posiada elementarnej wiedzy choćby o składzie Komisji Weryfikacyjnej i nie jest w stanie uzasadnić swoich opinii.

Politycy PO nie byli już tak krytyczni. 27 listopada 2007 r. p.o. szef ABW Krzysztof Bondaryk na podstawie wynurzeń oficera WSI złożył w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie fałszywe

zawiadomienie o „wiarygodnych informacjach”, jakie posiada Leszek Tobiasz na temat nieprawidłowości w pracach Komisji Weryfikacyjnej, pisząc o 100 i 200 tys. zł za umożliwienie pozytywnej weryfikacji i zatrudnienia żołnierza w SKW. Bondaryk stwierdził ponadto, że w „opisanym procederze” uczestniczyć mieli członkowie Komisji Weryfikacyjnej – Piotr Bączek, Piotr Wojciechowski i Sławomir Cenckiewicz!

Idąc ścieżką zasugerowaną przez szefa ABW, prokuratura przyjęła opowieści Tobiasza za „podstawowy dowód” w sprawie i mając go niejako za przewodnika w śledztwie, uznała za podejrzanych bądź winnych wszystkie osoby przez niego wskazane. Według sądu Tobiasz skutecznie manipulował później śledztwem, bo będąc uznanym za pokrzywdzonego, miał możliwość dostępu do akt sprawy i otrzymywał odpisy z akt, co wpływało na ewolucję jego zeznań, a nawet „przemilczanie niektórych okoliczności istotnych dla sprawy i swoiste selekcjonowanie niektórych istotnych dla sprawy materiału dowodowego dostarczanego prokuraturze i ABW”. Śledczy nawet nie próbowali przejść od niego całości nagrań. Mało tego, już podczas trwania formalnego śledztwa, bo wiosną 2008 r., Tobiasz zainspirował Lichockiego, by spotkał się z Anną Marszałek z „Dziennika” (pośredniczył były minister sprawiedliwości Stanisław Iwanicki). Lichocki miał oferować dziennikarce zakup aneksu do raportu z weryfikacji WSI, czym zainspirował ją do napisania całej serii kłamliwych tekstów w „Dzienniku” (pierwszy, z podtytułem „Tak handlowano aneksem Macierewicza”, ukazał się 29 kwietnia 2008 r.)!

WYROK NA PLATFORMĘ

Opisane tu jedynie pokrótce zawiłości gry, jaką od pewnego momentu wspólnie z politykami Platformy prowadził płk Leszek Tobiasz, najtrafniej ujął sąd w podsumowaniu swojego stanowiska z 16 grudnia 2015 r.: „Sprawa ta była prowokacją i nieformalną grą operacyjną wymierzoną w instytucje i osoby zajmujące się szeroko pojętym procesem likwidacji WSI, w tym weryfikacją oficerów tej służby. Świadczy o tym wiele działań podejmowanych przez Leszka Tobiasza, takich jak:

– próba umówienia się z Antonim Macierewiczem na nieformalne spotkanie, początkowo przy pośrednictwie hierar-



Pułkownik Leszek Tobiasz z WSI FOT. WBH

chów Kościoła katolickiego, a później osobiście. Próba nieudana z uwagi na postawę Macierewicza i odmowę w zaaranżowaniu kontaktu z hierarchami;

– selekcjonowanie materiału dowodowego (nagrań) dostarczonego organom ścigania;

– zainteresowanie sprawą przeciwników politycznych (polityków Platformy Obywatelskiej) po wygranych przez to ugrupowanie wyborach parlamentarnych w 2007 r.;

– ewoluowanie treści zeznań, wskazywanie na podejrzenie popełnienia kolejnych przestępstw [...];

– sposób prowadzenia rozmów z Leszkiem Pietrzakiem (rozmowy operacyjne) [...];

– fakt, że Aleksander Lichocki wiedział o toczącym się postępowaniu przynajmniej dwa miesiące przed zatrzymaniem;

– inspirowanie mediów do sporządzenia artykułów o określonej tematyce;

– twierdzenie, że jest w posiadaniu tajnego dokumentu Aneksu do raportu Komisji Weryfikacyjnej WSI, i próba zainteresowania tą informacją prominentnych polityków Platformy Obywatelskiej (Bronisława Komorowskiego) po wyborach 2007 r. [...];

– opowiadanie o osobach rzekomo zaangażowanych w korupcję w nagrywanych rozmowach”.

W części bezpośrednio odnoszącej się do PO sąd stwierdził, że „mocnymi poszlakami wskazującymi na to, że sprawa jest prowokacją, są zachowania ważnych polityków Platformy Obywatelskiej, takie jak:

– prowadzenie przez Komorowskiego rozmów z rzekomo podejrzanym o kontakty z obcym wywiadem Lichockim bez żadnej osłony kontrwywiadowczej czy jakiegokolwiek zawiadomienia służb [...];

– wiele spotkań Komorowskiego z Tobiaszem na przestrzeni miesiąca, pomimo że od początku istniało podejrzenie popełniania przestępstwa. Pierwsze spotkanie odbyło się bez udziału osób trzecich, drugie z udziałem Grasia, a trzecie ponadto z udziałem Bondaryka. Niemożność wyjaśnienia przez świadków rozbieżności w treści zeznań oraz prawie całkowita niepamięć w trakcie rozprawy;

– niezawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa żadnej ze służb przez ponad miesiąc od uzyskania przez Komorowskiego pierwszej wiarygodnej informacji o popełnieniu przestępstwa (pierwsze spotkanie z Tobiaszem);

– zwrócenie się Tobiasza do prominentnego polityka PO (Komorowskiego) zamiast do jakiegokolwiek ze służb czy prokuratury;

– próba zatajenia wyżej wskazanych okoliczności”.

W części dotyczącej ABW sąd zauważył natomiast:

„– bezprecedensowe działania p.o. szefa ABW Bondaryka polegające na niedopuszczeniu funkcjonariuszy ABW do spotkania 23 listopada 2007 r., które odbywało się w biurze poselskim Komorowskiego;

– bezprecedensowy fakt transportowania świadka Tobiasza w samochodzie i towarzystwie Bondaryka;

– pominięcie w notatce służbowej z 27 listopada 2007 r. faktu spotkania w biurze poselskim Komorowskiego;

– nieformalne nakłanianie przez zastępcę szefa ABW Jacka Mąkę Tomasza Budzyńskiego do podjęcia próby nakłonienia Sumlińskiego do współpracy z ABW”.

Podsumowanie tego wszystkiego wydaje się zbędne. Odnotować jedynie należy fakt, że główny operator prowokacji płk Leszek Tobiasz zmarł nagle w nocy z 10 na 11 lutego 2012 r. podczas tańca na imprezie integracyjnej pracowników Mazowieckiej Wojewódzkiej Komendy OHP. Na jego pogrzebie pojawiło się nie tylko wielu żołnierzy WSW, Zarządu II i WSI, lecz także przedstawiciele Ambasady Federacji Rosyjskiej w Warszawie. Rosyjskie tło tej prowokacji to jednak temat na odrębną opowieść... Cdn.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



W SPORCIE JAK W BIZNESIE LICZY SIĘ SUKCES

Do wspólnego kibicowania zaprasza
PGNiG, oficjalny partner pomiaru czasu na

78.TourdePologne®  **WORLD TOUR**



Zugzwang Gowina



Rafał A. Ziemkiewicz

Szachiści nazywają taką sytuację, w jakiej znajduje się obecnie Gowin, zugzwangiem. To, upraszczając nieco, moment gry, w którym każdy możliwy do wykonania ruch jest zły, każdy prowadzi w ten czy inny sposób do klęski

Do wiadomości o konfliktach w Zjednoczonej Prawicy zdążyliśmy już wszyscy przywyknąć, podobnie jak do „przecieków” w duchu: „Tym razem Gowin jest zdeterminowany nie ustępować” i, z drugiej strony, „Tym razem prezes nie odpuści, choćby miał Gowina wyrzucić”. Przywykliśmy już też, że te „przeciaki” to tylko wojna nerwów, mająca zmieknąć przeciwnika, i koniec końców kolejny spór rozejdzie się po kościach.

Tym razem jednak zerwanie koalicji rządzącej wydaje się bardziej realne niż kiedykolwiek przedtem.

Oficjalnie zaostrzenie sporu związane jest z Polskim Ładem, a konkretnie z uściślającymi wcześniej ogłoszone założenia zmianami w podatkach. Ten spór jest czytelny i wynika z oczywistej dla obserwatorów sprzeczności. Prawo i Sprawiedliwość tradycyjnie widzi się w roli obrońcy biedniejszej części społeczeństwa i starszego pokolenia – Porozumienie widzi zaś swą szansę w roli rzecznika drobnych przedsiębiorców i klasy średniej. Zgoda na zaproponowane przez PiS zmiany, idące w kierunku uznania zarabiających na własny rachunek, nawet przy średnich dochodach, za bogaczy, którzy powinni w większym stopniu finansować usługi publiczne i transfery socjalne, byłaby dla Porozumienia końcem marzeń o pozyskaniu tego elektoratu. Stąd ostra deklaracja minister Anny Korneckiej, że Porozumienie prędzej opuści Zjednoczoną Prawicę, niż poprze fundamentalną dla programu sztukę podniesienia opodatkowania bez formalnego podnoszenia go poprzez wprowadzenie proporcjonalnej składki zdrowotnej – na którą to wypowiedź PiS zareagował jej zdymisjonowaniem. Jarosław Gowin zapowiedział, że decyzja o tym, jak w związku z tym zareaguje Porozumienie, zapadnie w sobotę 7 sierpnia, a więc po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy”.

POLITYKA I EMOCJE

W tle sporu merytorycznego tkwią mniej dla komentatorów zrozumiałe wzajemne resentymenty „naczelnika” i szefa Porozumienia. Gowin, jak się zdaje, mocno przeżył podstępą próbę zabrania mu partii przez Bielan. Nie tylko sam Gowin, lecz także praktycznie wszyscy uważają, że Bielan nie odważyłby się na podniesienie buntu bez inspiracji, a co najmniej zgody Kaczyńskiego. Tym bardziej że akcja z zamierzonym przejęciem, a koniec

FOT. JACEK GONIMSKI/REPORTER

końców rozbiciem Gowinowi partii bardzo przypomina próby uzyskania samodzielnej większości sejmowej podejmowane przez Jarosława Kaczyńskiego u schyłku pierwszych rządów PiS, w roku 2007. Wówczas prezes PiS także próbował – bez powodzenia – rozbić koalicjantów, Samoobronę i LPR, odsunąć na bok ich przywódców i przejąć posłów. Oczywiście mało kto wierzy, żeby w polityce kiedykolwiek obowiązywały zasady przyzwoitości, ale tego typu działania wybaczyć można tylko w jednym przypadku: gdy zostaną uwieńczone pełnym sukcesem, a nie, tak jak w wypadku rozbicia Porozumienia, połowicznie.

Z kolei ze strony Kaczyńskiego tę próbę pozbycia się Gowina i przejęcia jego ugrupowania tłumaczy się również emocjami: „Naczelnik” nie może ponoć wybaczyć Gowinowi tego, że przeciwstawił mu się w sprawie „kopertowych wyborów” i nie dopuścił do ich przeprowadzenia, a bardziej może jeszcze tego, że okazał się mieć w tej sprawie rację. Jeśli tak, to podobieństwo do akcji przeciwko koalicjantom, Lepperowi i Giertychowi w roku 2007, najbardziej chyba irracjonalnej w całej politycznej karierze Kaczyńskiego, idzie dalej, niż można sądzić na pierwszy rzut oka. W 2007 r. Kaczyński nie miał żadnego realnego powodu, by niszczyć „przystawki”, zwłaszcza za cenę ryzyka utraty władzy (co się ostatecznie stało). Andrzej Lepper, według zgodnych świadectw uczestników zdarzeń, miał świadomość, że sięgnął szczytów swych możliwości, był całkowicie zadowolony ze swojego statusu, popadł w polityczny sybarytyzm i pozostawał wobec lidera PiS lojalny, a Giertych, choć lojalny nie był, nie miał realnej możliwości poważnie liderowi PiS zaszkodzić. O próbie „wrogiego przejęcia” ich partii zadecydować musiał absmak, jakim napełniała wychowanka porządnej, inteligentnej rodziny to, że musi dzielić władzę z „chamem” i „endekiem”.

NOWE OKOLICZNOŚCI

Jeśli nawet jednak niechęć do Gowina ma źródła w irracjonalnym urazie, że zdołał zniweczyć plany „Naczelnika”, to moment zaostrzenia sporu i – jak się wydaje – postawienia spraw na ostrzu noża wybrany został całkowicie racjonalnie, a wręcz z zimnym wyrachowaniem.

Prawdziwą przyczyną, z powodu której kryzys w Zjednoczonej Prawicy zaostriż się tak bardzo właśnie teraz, jest bowiem powrót Tuska. Całkowicie zmienił on sytuację Gowina i pozbawił go możliwości jakiegokolwiek gry. Do tego momentu Gowin miał może mało obiecujący, ale realnie możliwy i rokujący pewne nadzieje „plan B” na wypadek zerwania koalicji z PiS. Planu tego zresztą wcale nie ukrywano: był to pomysł budowania na kolejne wybory nowej Koalicji Polskiej z PSL (które, pozbywając się Pawła Kukiza i jego ludzi, przeornie zachowało sobie sprawdzoną nazwę) i ewentualnie byłymi politykami PO, których przedstawić miano jako jej byłe „konserwatywne” skrzydło. Miało to sens w sytuacji, gdy PO wiedziała, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na urok politycznej nowalijki, jaką dla antypisowskiego elektoratu okazał się ruch Hołowni, i szukała swej szansy bardziej na lewo. Szczególnie po zapowiedzianej przez Borysa Budkę nowej deklaracji ideowej partii, zdecydowanie lewicowej, i po usunięciu z PO Pawła Zalewskiego oraz Ireneusza

Rasia konstrukcja przyszłego „nowego centrum” zdawała się nabierać kolorów.

Przejęcie sterów PO przez Tuska całkowicie zmieniło sytuację. Władysław Kosiniak-Kamysz należał do pierwszych, którzy pospieszili z deklaracją lojalności wobec byłego premiera – znając zresztą sytuację w PSL, które nie jest już w stanie funkcjonować inaczej niż jako wiejskie dopełnienie PO, trudno się temu dziwić. Tusk odwołał też ogłoszenie zapowiedzianej przez Budkę deklaracji i, sądząc po udzielanych wywiadach, ma zupełnie inne od Budki plany wizerunkowe – trzeba tu przypomnieć, że w czasach swych sukcesów Tusk konsekwentnie traktował lewicowe postulaty jako obsesje niewiele mu zdolnej dać politycznej niszy czy wręcz sekty i, nie wchodząc otwarcie w polemiki, konsekwentnie je ignorował. Perspektywa oderwania się od PO „konserwatywnego skrzydła” (abstrahując od pytania, czy w ogóle coś takiego jeszcze istnieje) jest więc w obecnej sytuacji zupełnie nieaktualna.

Wreszcie – tu także nie sposób nie odwołać się do mniemanych emocji –

REKLAMA

FOREINTRADE sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie informuje,
że pompa do wody z rozdrabniaczem
KRAFT&DELE PROFESSIONAL WQD10-8-0.55, KD754,
kod EAN 5901638110657
nie spełnia wymagań określonych w rozporządzeniu
Ministra Rozwoju z dnia 2 czerwca 2016r. w sprawie
wymagań dla sprzętu elektrycznego, z uwagi
na zastosowanie przewodu przyłączeniowego
o niewystarczającej długości, zastosowanie
w wyrobie konstrukcji niezapewniającej ochrony
przed porażeniem prądem elektrycznym, co
stwarza ryzyko porażenia prądem elektrycznym.
Ogłoszenie publikuje się w związku z prowadzonym
postępowaniem przed Prezesem Urzędu Ochrony
Konkurencji i Konsumentów.

■ Tusk z dawnej współpracy z Gowinem wyniósł podobno gorącą nienawiść do niego i wydaje się nieprawdopodobne, by cokolwiek obecnemu wicepremierowi zaproponował.

Gowin więc nagle znalazł się w pustce – co wykorzystał Kaczyński, dokręcając mu śrubę. Argument: „Kilka tygodni temu podpisał się pod Polskim Ładem, a teraz ma zastrzeżenia – to co, nie wiedział, co podpisuje?” – użyty przez pisowskiego wiceminister Olgę Semeniuk wydaje się wskazywać, że w momencie ogłaszania programu czyniono Gowinowi jakieś nadzieje, że będzie mógł odegrać rolę tego, który dzięki obecności w koalicji rządowej coś tam w obrocie przedsiębiorców i klasy średniej zdołał osiągnąć. Ale po powrocie Tuska z obietnic tych się wycofano. Powrót ten zresztą, na dodatek, i tak pogorszył sytuację wszystkich krnąbrnych polityków obozu władzy przez samo tylko zaostreżenie polaryzacji i podgrzanie plemiennych emocji – co przekłada się na silniejszą presję ze strony elektoratu na „jedność” obozu.

KAŻDY RUCH ZŁY

Szachiści nazywają taką sytuację, w jakiej znajduje się obecnie Gowin, „zugzwangiem”. To dźwięczne słowo oznacza moment gry, w którym, upraszczając nieco, każdy możliwy do wykonania ruch jest zły, każdy prowadzi w ten czy inny sposób do klęski. Jeśli Gowin pozostanie w Zjednoczonej Prawicy, to zostanie poniżony i przedstawiony jako polityk całkowicie pozbawiony kręgosłupa, nic niemogący i istniejący tylko z łaski „naczelnika”. Jeśli teraz się zbuntuje, to zostanie w politycznej próżni. Oczywiście aktualna pozostaje oferta złożona mu przez „totalną opozycję” już dawno temu – uczestnictwa w „rządzie technicznym”, od Zandberga do Brauna, który miałby pozbawić PiS większości sejmowej – za cenę stanowiska owego „technicznego premiera” albo marszałka Sejmu. Gowin oferty tej nie przyjął w sytuacji, gdy rokowała lepiej niż obecnie, i jest to oczywiste, gdyż związanie się z beładną koalicją „wszyscy przeciwko PiS” dla wieloletniego wicepremiera w rządach PiS byłoby definitywnym politycznym samobójstwem.

Dla elektoratu prawicowego stałby się na zawsze zdrajcą, a dla lewicowo-liberalnego nie przestałby nim być. Nawet gdyby Tusk zechciał przyjąć go z powro-

tem do PO i obdarować „jedyneką” na krakowskiej liście, to i tak prawie na pewno podzieliłby los Mariana Krzaklewskiego, który, po analogicznej wolcie, z „jedyнки” w swoim macierzystym okręgu nie dostał się do europarlamentu, bo po prostu nie zyskał akceptacji „peowskiego ludu”, który głosował na „swoją” polityk ze-pchniętą na miejsce drugie. Z kolei start samodzielny w sytuacji nakręconych ponownie emocji „wojny polsko-pol-skiej” rokuje jeszcze gorzej niż kiedykolwiek (a nigdy nie zdarzyło się, żeby w sondażach Porozumienie przekroczyło samodzielnie próg wyborczy).

Proponowane stanowiska „technicznego premiera” czy marszałka w sytuacji, gdy prawdopodobnie jednocześnie zostałaby skrócona kadencja, a więc zaledwie na kilka miesięcy, nie są tego warte. Opozycja to stara się Gowina skusić, że stanie się „zbawcą demokracji”, to grozi mu wiecznym potępieniem lewicowo-liberalnych mediów, ale tak po ludzku zwyczajnie nie ma Gowina ani czym nastraszyć, ani czym kupić. No, chyba żeby – zupełnie już fantazjując – mogła mu zapewnić złoty spadochron w postaci jakiejś unijnej synekury, ale Tusk nie ma takich możliwości, nawet gdyby chciał.

Jedynym sojusznikiem Gowina stała się tzw. sytuacja ogólna. W sytuacji, kiedy, jak się zdaje, Jarosław Kaczyński miał już zamiar dokonać ostatecznej egzekucji Gowina, licząc, że wyrwie przy tym wystarczająco wielu ludzi, by wraz z posłami Kukiza i nabytkami partii Bielana utrzymać większość, wybuchł nagle bunt Solidarnej Polski przeciwko planom ugodowego podporządkowania się orzeczeniu TSUE. Czy poza ideowymi pryncypiami ten bunt miał również ratować Gowina? Nie można tego wykluczyć, Zbigniew Ziobro na pewno ma świadomość, że po jego ewentualnym spacyfikowaniu następny do odstrzału będzie on sam. Ale momentu nie wybrał nikt w Polsce, tylko TSUE, ogłaszając wyrok, którego, jak się wydaje, Jarosław Kaczyński mimo wszystkich wcześniejszych pogroźek zupełnie się nie spodziewał.

ZAGROŻENIE JESZCZE POWAŻNIEJSZE

Wymagający osobnego omówienia spór między reprezentowanym przez obóz premiera skupieniem się na polityce „ciepłej wody w kranie”, której nie jest w stanie PiS zapewnić inaczej

niż za pieniądze z unijnego Funduszu Odbudowy, które z kolei niedwuznacznie uzależniono od ukorzenia się przed rodzącym się europejskim superpaństwem, a twardą linią w duchu „dawnego” PiS, którą przyjęła Solidarna Polska, to konflikt dużo ważniejszy dla przyszłości nie tylko PiS, lecz także Polski w ogóle. Do czasu jego rozstrzygnięcia odłożenie egzekucji Gowina stało się koniecznością.

Do tego pogłębiły się objawy rozpadu w samym PiS. Udało się wprowadzić dość łatwo spacyfikować frondę Zbigniewa Girzyńskiego i przyciągnąć z powrotem do PiS kilku zbuntowanych parlamentarzystów, ale sposób, w jaki to zrobiono – przekupując stanowiskami – wręcz zachęca do buntu i targowania się kolejnych. Nie mówiąc już o kosztach wizerunkowych, gdy zdarzenia, takie jak zatrudnienie w BGK „powracającego” posła, następują zaledwie tydzień po otrąbieniu „uchwały sanacyjnej”. Owszem, powrót Tuska, a wraz z nim hasła wojny na śmierć i życie oraz politycznej zemsty na „ludziach reżimu” wymusza mobilizację w obozie władzy, i to pozwala zamaskować procesy gnilne w partii rządzącej. Ale one są i trwają. I potencjalnie są dla trzeciej kadencji PiS, a nawet dla dotrwania do końca kadencji bieżącej, znacznie większym zagrożeniem niż „niesubordynacja” Gowina.

Zastrzeżenia wicepremiera i jego partii do Polskiego Ładu mają zresztą znaczenie o tyle, o ile trwa w PiS i jego prezesie wiara w potencjał tego programu. Na razie wydaje się ona niezłomna. Wszystkie nadzieje władzy wydają się oparte na przekonaniu, że dobrodziejstwa obiecywane w tym programie porwą wyborców, i jeśli nie porwały ich dotąd, to tylko dlatego, że po prostu jeszcze do nich informacje o nich nie dotarły – trzeba więc jechać w teren, powtarzać głośniejsze i „bliżej ludzi”, a zadziała. Rzeczywistość temu przeczy: Polacy czują się już wystarczająco o Polskim Ładzie poinformowani i na podstawie tych informacji już go ocenili – w większości jako niekorzystny dla siebie. Prędzej czy później trzeba będzie pożegnać się ze złudzeniami i znaleźć inny sposób na walkę o trzecią kadencję. A wtedy dla zapędzonego dziś w ślepy zaułek Gowina może przyjść lepsza koniunktura.

Jeśli oczywiście do tej chwili dotrwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jak dopracować Polski Ład?



Kamil Goral, ekspert ekonomiczny Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Podatki powinny być możliwie jak najprostsze. Nie ma w tym stwierdzeniu nic odkrywczego, a jednak wydaje się ono cały czas tak samo aktualne. Nie po to wszakże zakłada się firmę, żeby potem ślęczyć godzinami nad papierkami i zastanawiać się, czy aby wszystko dobrze zostało rozliczone. Przedsiębiorca ma się zajmować swoją działalnością. To, co sprawia problem na poziomie mikro, ma także swoje poważne konsekwencje w ujęciu makro. Skomplikowane podatki to bariera rozwojowa, w systemie gospodarczym powstaje przez to swoiste tarcie, które uniemożliwia ruch naprzód. Bez jego eliminacji dojść może do blokady całego mechanizmu. Na to nie możemy sobie pozwolić. Od programów rozwojowych oczekiwać zatem należy, że będą naprzeciw

tym trudnościom wychodzić, że wskażą rozwiązania wraz z harmonogramem koniecznych działań.

Nie jest dobrze, kiedy zamiast uproszczeń pojawiają się dodatkowe komplikacje. To jasne. Tymczasem w Polskim Ładzie nie ma recepty na to, jak polski system podatkowy uprościć. Zapoznając się z zawartymi tam propozycjami, dojść można nawet do wniosku, że jest zupełnie odwrotnie. Weźmy taką choćby ulgę dla klasy średniej. Dziwaczny to twór, a sama treść wprowadzającego go przepisu wywołuje ból zębów. Ułga ta ma rekompensować to, co państwo planuje zabrać. Może zatem zamiast ją ustanawiać, po prostu lepiej jej nie zabierać? Wtedy nie będzie czego rekompensować, a system pozostanie prostszy. Tak mogłoby się wydawać. I co więcej, chyba właśnie tak jest.

Polskie prawo podatkowe należałoby tak naprawdę napisać od nowa. Tak, wiem. To zadanie niezwykle trudne i pewnie również czasochłonne. Niemniej konieczne, jeśli coś ma się naprawdę zmienić. Zmiany do zmian, przepisy modyfikujące modyfikacje. Ulgi, których treść sprowadza się do ograniczeń i zakazów w ich stosowaniu. Podwyżki obniżek i obniżki podwyżek. Cała płatanina, w której coraz bardziej uderza brak jednego. Sensu. Jego odnalezienie wymaga resetu. Trzeba pożegnać się z tym, czego zreformować się już nie da, i napisać wszystko jeszcze raz.

Są przykłady, że można to zrobić. Można prawo podatkowe uregulować, tak jak zrobiła to Estonia. Jej system podatkowy jest jednym z najlepszych na świecie, bo jest prosty, przejrzysty i przez to zrozumiały. Także na naszym podwórku znaleźć możemy pozytywny wzorzec. Nowe prawo zamówień publicznych! Przygotowane przez nieistniejące już

Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii było dobrze skonsultowane z przedsiębiorcami i zawierało wiele oczekiwanych i potrzebnych rozwiązań. Starą ustawę zastąpiła nowa. Pisana długo, ale przygotowana rzetelnie. Tak, to realne. Podobnych przykładów powinno być więcej.

Inna sprawa, która ostatnio wywołuje spore poruszenie, to kwestia sprawiedliwości. Podnosi się, że polski system podatkowy jest niesprawiedliwy. I ja tej tezy nie odrzucam. Wszak trudno uznać, że fair jest to, iż wielkie międzynarodowe koncerny technologiczne znaczących sum do polskiego budżetu nie dokładają. Należałoby zatem tą sprawą się zająć, i to już dawno. Można oczywiście szukać alibi, że czekamy, aż stosowny wzorzec opracuje OECD, że tu potrzebna jest ponadnarodowa współpraca itp., itd. A może lepiej nie oglądać się na innych i mówiąc o sprawiedliwości, zacząć od tego, co razi najbardziej. Wiele państw w Europie ma już w tej materii stosowne regulacje. Nie czekały na OECD, tylko zrobiły swoje. My czekamy.

Polski Ład powinien być poważnie przedyskutowany i tam, gdzie trzeba, poprawiony. Należy przy tym odróżnić totalniactwo od rzeczowej krytyki. Pierwsze nie ma na celu nic pozytywnego, ta druga przyniesie może wiele korzystnych i potrzebnych poprawek. Tak rodzi się dobre prawo. Jest jakaś propozycja, która następnie trafia do konsultacji i uzgodnień. Finalnie projekt jest albo odrzucany, albo modyfikowany. Rzadko kiedy zatwierdzany bez zmian. Chodzi o to, aby z planowanych przepisów wyszło coś dobrego. Tak też może być z Polskim Ładem. Jest w nim wiele dobrych propozycji. Są też takie, które wymagają korekty, niektóre trzeba zarzucić. Efekt może być jeszcze bardzo zadowalający.



Między Tuskiem a PiS



Kamila Baranowska

PSL z jednej strony nie chce być opozycją totalną, z drugiej jak ognia boi się oskarżeń o sojusz z PiS. Ten brak wyrazistości w spolaryzowanej rzeczywistości politycznej może okazać się zgubny

Prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz od dłuższego czasu przekonuje, że ów brak wyrazistości, który on sam utożsamia z umiarkowaniem, ze zdrowym rozsądkiem i złotym środkiem, jest największym atutem ludowców. I wokół tego właśnie przez ostatnie miesiące próbował budować Koalicję Polską, która powstawała z jednej strony w kontrze do skręcającej w lewo Platformy Obywatelskiej pod wodzą Borysa Budki, a z drugiej w kontrze do rządzącego PiS.

– My jesteśmy formacją centroprawicową, trzymającą się z dala od tej permanentnej wojny polsko-polskiej. Jesteśmy także alternatywą dla wyborców, którzy z różnych przyczyn odeszli czy to od PO, czy to od PiS. Ci ostatni raczej nie zagłosują na PO Donalda Tuska. Oni cenią niektóre aspekty w wykonaniu obecnego rządu, np. w kwestii promowania tradycji czy wprowadzenia pewnych programów socjalnych, które są kontynuacją naszej polityki prorodzinnej. Jednak ci wyborcy nie akceptują tej permanentnej walki, ostrej retoryki PiS, zawłaszczania państwa, mediów czy pomysłów, takich jak ustawa medialna zaproponowana przez posła Suskiego. I dla nich to my jesteśmy wyborem – ten fragment niedawnego wywiadu Kosiniaka-Kamysza dla portalu Salon24.pl dobrze oddaje sposób myślenia, ale i kalkulacje polityczne obecnego kierownictwa PSL.

OD ŚCIANY DO ŚCIANY

W teorii wygląda to na dość dobrze przemyślaną, długofalową strategię. W praktyce jednak częściej wygląda jak

odbijanie się od ściany do ściany. Najlepszym przykładem jest ostatnia deklaracja ważnego polityka PSL Marko Sawickiego, który w jednym z programów telewizyjnych powiedział, że będzie namawiał ludowców do głosowania za uchyleniem immunitetu szefowi NIK Marianowi Banasiowi. Wywołał tym konsternację kierownictwa swojej partii, które natychmiast oznajmiło, że nie ma zamiaru w tej sprawie głosować po myśli PiS. „Nie damy się wciągnąć w wewnętrzne wojenki w PiS. Będę rekomendował klubowi Koalicja Polska głosowanie przeciwko uchyleniu immunitetu prezesowi NIK” – napisał na Twitterze prezes Władysław Kosiniak-Kamysz.

Sawicki jednak podtrzymuje swoje stanowisko w tej sprawie. – Mnie naprawdę nie interesuje stanowisko klubu i stanowisko ludowców w sprawie głosowania nad uchyleniem immunitetu prezesowi NIK Marianowi Banasiowi; ja mam swój rozum w tej sprawie – powiedział Polskiej Agencji Prasowej.

Oponenci PSL twierdzą, że to gra na dwa fortepiany, w której Sawicki puszcza oko do PiS, a Kosiniak-Kamysz gra na Tu-

ska i Platformę, robiąc to tak, by cały czas mieć otwarte obie furtki. Sami ludowcy utrzymują jednak, że po prostu trudno politykowi z takim doświadczeniem i taką pozycją wewnątrz partii jak Sawicki narzucić, by mówił tak, jak chce kierownictwo, jeśli on akurat uważa inaczej. – Zapytali go, to powiedział, jak uważa. A potem wyszło, że się pospieszył, bo PSL jeszcze nie podjęło decyzji w tej sprawie, a gdy już podjęło, to całkiem inną. Nie wyszło to najzgrabniej – mówi nam nasz rozmówca z PSL.

PSL wylało się także w sprawie podwyżek dla posłów i członków rządu, które PiS wprowadził za pośrednictwem prezydenta i jego rozporządzenia. Tusk zarządził, że Platforma ma ten pomysł krytykować, bo to zawsze wygodny temat do ataku. Tymczasem PSL nie dołączyło do tej gry. Wręcz przeciwnie – ludowcy stwierdzili, że takie rzeczy powinien robić parlament, i zapowiedzieli ustawę zwiększającą uposażenia także samorządowcom. Jako pierwszy przed szeregiem znów wyszedł Sawicki, który w radiowej Jedynce stwierdził, że w podwyżkach dla posłów nie ma nic złego, a wręcz przeciwnie – jest to ruch przez polityków także opozycji wyczekiwany. – Czas najwyższy, żeby posłowie w swojej hipokryzji nie opowiadali i nie biczowali tych, którzy te decyzje podjęli, tylko przyznali się, że rzeczywiście tak jest, że uposażenia poselskie niepodnoszone od dwudziestu paru lat było nieproporcjonalne – powiedział Sawicki. Chwilę później zaś Piotr Zgorzelski, wicemarszałek Sejmu z PSL, zadeklarował, że na posiedzeniu prezydium izby wniesie o to, by projekt dotyczący podwyżek dla samorządowców został przepracowany podczas najbliższego posiedzenia Sejmu i był głosowany 11 sierpnia, czyli dokładnie wtedy, gdy swój projekt blokujący jakiegokolwiek podwyżki posłom chciałaby głosować Platforma Obywatelska.

Nic dziwnego, że po stronie opozycyjnej pojawiły się głosy, że ludowcy „są dogadani” z PiS w tej sprawie. Zwłaszcza że całkiem niedawno wskutek niepisanej umowy PiS doprowadził do wyboru na rzecznika praw obywatelskich kandydata zgłoszonego i wspieranego przez PSL – prof. Marcina Wiacka. W zamian ludowcy pomogli PiS w Senacie, gdzie opozycja ma większość, by przegłosować kandydaturę dr Karola Nawrockiego na szefa Instytutu Pamięci Narodowej.

– Uważam, że i wybór RPO, i szefa IPN trzeba doprowadzić do końca, a nie przeciągać w nieskończoność – odpowiada

Tusk zna dobrze ludowców i wie, że aby przeciągnąć ich na swoją stronę, trzeba traktować ich po partnersku bez publicznego upokarzania

dał dyplomatycznie Władysław Kosiniak-Kamysz, gdy pytaliśmy go jakiś czas temu o to, czy był deal ludowców z PiS w sprawie wyboru RPO i szefa IPN.

ZBYT DUŻO „ZŁEJ KRWI”

Ludowcy szukając swojego miejsca na scenie politycznej pomiędzy Platformą i Hołownią z jednej strony a PiS z drugiej, nie mają łatwej sytuacji. Zwłaszcza po powrocie Donalda Tuska, który znów zagospodarowuje skrajne emocje po stronie opozycji, nie zostawiając zbyt wiele miejsca innym. PSL mógłby być naturalnym sojusznikiem PiS, ale – jak mówią nasi rozmówcy z PSL – między obiema partiami jest zbyt dużo „złej krwi”. – Kosiniak-Kamysz nie zapomni Kaczyńskiemu, jak w ostatnich wyborach samorządowych PiS dążył do całkowitej eliminacji PSL z polityki. Ataki, które wtedy prowadzono na PSL, były brutalne i niepotrzebne i trudno po czymś takim budować cokolwiek – mówi nam jeden z rozmówców z PSL.

Tyle tylko że koncyliacyjność, na którą stawia PSL, w dzisiejszych czasach twardej polityki może okazać się wyborczo mało atrakcyjna. – Jesteśmy jak kobieta, która jest ogólnie niebrzydka, niegłupia, gospodarna, nic jej nie brakuje, ale jakoś nie ma wzięcia i nikt nie wie dlaczego – obrazuje nam jeden z PSL-owskich polityków. I rzuca jeszcze jedną metaforę. – Jak się pepsuje pani samochód i zadzwoni pani do trzech znajomych z pytaniem, czy przyjadą pomóc, i usłyszysz od jednego, że tak, od drugiego, że nie, a od trzeciego: „Nie wiem”, to który najbardziej panią zdenerwuje? No właśnie, więc PSL jest jak ten znajomy, który w kluczowych sytuacjach odpowiada: „Nie wiem” i myśli, że jest w porządku – opowiada.

To pokazuje, że nastroje w partii, zwłaszcza na dole, nie są zbyt optymistyczne. PSL od dłuższego czasu balansuje w sondażach na granicy prognozy wyborczego, a radni i działacze skarżą się, że góra o nich nie dba, a opowieść o potęgze struktur lokalnych to mit, który niewiele ma dziś wspólnego z rzeczywistością. – PiS pracuje w terenie, bez względu na to, czy jest w opozycji czy rządzi, Tusk przyjechał

i dźwiga Platformę, też spotykając się w terenie z ludźmi. A my co robimy? Kiedy nasi politycy, ci z „jedynek”, zorganizowali coś w terenie, zrobili coś dla regionu, z którego są wybierani. Działacze pilnują swoich posad, blokują młodych, którzy mogliby coś zrobić, i tak się to kręci – narzeka jeden z lokalnych działaczy. – To, że PSL jest w Sejmie, to wyłącznie zasługa sojuszu z Kukizem, ale nie widzę, by ktokolwiek z tego wyciągnął wnioski. Było 8 proc., połał się szampan, że się znów jakoś udało, i wszystko zostało po staremu. Kukiza już nie ma, więc teraz znów myślenie, co tu zrobić i z kim, by się jakoś za dwa lata prześlizgnąć. Na dłuższą metę tak się nie da niczego zbudować – mówi nam jeden z lokalnych radnych.

Ludowcy nie chcą się jednoznacznie określać także dlatego, że sami wewnątrz partii są pod tym względem zróżnicowani. Jest sporo polityków, zwłaszcza na dole, którzy nie mieliby nic przeciwko bliższej współpracy z PiS, a którzy nie wyobrażają sobie ponownej współpracy z Platformą, bo do dziś muszą się tłumaczyć z podniesienia wieku emerytalnego swoim wyborcom. Ale są też tacy, którzy uważają, że jakiegokolwiek bliższy sojusz z PiS przędzie czy później zakończy się próbą wykończenia PSL i przejścia jego elektoratu, a poza tym nie są specjalnie chętni do bycia poddanymi medialnemu ostracyzmowi, jaki spotyka każdego, kto idzie na jakąkolwiek współpracę z PiS – przekonała się o tym boleśnie Lewica, popierając PiS w głosowaniu nad ratyfikacją funduszu odbudowy.

Donald Tusk w wywiadzie, którego udzielił niedawno tygodnikowi „Polityka”, stwierdził, że są dwa ugrupowania po stronie opozycyjnej, za które szczerze trzyma kciuki. To Polska 2050 Szymona Hołowni oraz PSL. – Chciałbym, żeby byli jak najsilniejsi, naprawdę, ja mam jednego oponenta, jednego konkurenta PiS. Będę otwarty na każdą formę współpracy, ale rozumiem też i szanuję potrzebę budowania odrębnych nurtów, które idą w podobnym kierunku. Nie będę się narzucał, będę otwarty na wszystkie demokratyczne środowiska – stwierdził.

Tusk zna dobrze ludowców i wie, że aby przeciągnąć ich na swoją stronę, trzeba traktować ich po partnersku, bez publicznego upokarzania, także, a może zwłaszcza wtedy, gdy balansują na granicy prognozy. To jest coś, czego nie chce zrozumieć PiS i co sprawia, że ciężko dziś sobie wyobrazić poważniejszą współpracę obu tych partii.



W złym momencie



Łukasz Warzecha

Nieodzownym elementem promocji Polskiego Ładu jest narracja o bogaczach, zarabiających 10 tys. zł, oraz o klasie średniej zaczynającej się od 4 tys. zł. Jak pogodzić to z poziomem wynagrodzenia ludzi władzy podniesionego rozporządzeniem prezydenta?

Podniesienie za pomocą prezydenckiego rozporządzenia wynagrodzeń posłom, premierowi, ministrom, wiceministrom oraz niektórym innym osobom sprawującym w państwie najważniejsze funkcje można podsumować dwoma słowami: wszystko źle. Jeden z najbardziej palących, kłopotliwych, wstydlivych i rozgrywanych politycznie problemów polskiego państwa załatwiono w najgorszy możliwy sposób oraz w najgorszym możliwym momencie.

Sposób, w jaki formalnie doprowadzono do podniesienia wynagrodzeń, jest sam w sobie niezwykły, bo sięgnięto po rozporządzenie prezydenta, ujęte w art. 142 konstytucji. Ustawa zasadnicza mówi też (art. 144), że rozporządzenie głowy państwa dla ważności wymaga kontrasygnaty prezesa Rady Ministrów, ale z tym oczywiście nie było problemu. Dlaczego odbyło się to w taki właśnie sposób, a nie z zaangażowaniem Sejmu, jak próbowano zrobić w ubiegłym roku w sierpniu i ostatecznie się z tego wycofano? Prawdopodobnie chodziło o to, żeby ewentualne odium za niepopularną decyzję spadło przede wszystkim na Andrzeja Dudę, który ma przed sobą jeszcze cztery lata drugiej kadencji, po której nie może już ubiegać się o reelekcję. Czy ten plan się powiódł, to inna sprawa. Wydarzenia takie jak niedawne spotkanie wyborców z poseł Joanną Lichocką w Zduńskiej Woli, gdzie zasypiano ją pytaniami o podwyżki, pokazują, że chyba nie bardzo. Decyzja jest postrzegana

jako po prostu posunięcie obozu władzy; nieistotne, kto konkretnie był inicjatorem i formalnym autorem.

MNIEJ NIŻ KANCLERZ

W tej historii jest kilka zaskakujących elementów. Pierwszy to skala podwyżek. W niektórych przypadkach jest naprawdę znaczna: wynagrodzenie marszałków Sejmu i Senatu wzrasta o 75 proc., do poziomu ponad 20 tys. zł, czyli takiego samego jak wynagrodzenie premiera (dotąd niespełna 15 tys. zł). Inne wzrosty też nie są małe: wicepremierzy wzbogacą się o 5 tys. zł miesięcznie, do poziomu ponad 18 tys. zł. Wiceministrowie zamiast ok. 10 tys. zł dostaną po 16 tys. zł z hakiem.

Z jednej strony, wzięwszy pod uwagę zakres odpowiedzialności, można argumentować, że wciąż nie są to pieniądze gigantyczne, jakkolwiek dla przeciętnego Polaka duże. Bardzo istotna jest tutaj szczególnie podwyżka dla podsekretarzy stanu (wiceministrów), których rola w administracji bywa bardzo istotna. Na te stanowiska ciężko znaleźć chętnych właśnie z powodu niskich wynagrodzeń – biznes oferował znacznie lepsze, a przynajmniej w teorii podsekretarze stanu powinni być fachowcami, odpowiadającymi za bieżące zarządzanie resortami.

Mediana (taka sama liczba danych po jednej i drugiej stronie) warszawskich wynagrodzeń w 2020 r. wynosiła 6,8 tys. zł, ale już na stanowisku dyrektorskim było to aż 19 tys. zł. Zatem znacznie więcej, niż otrzy-

mywał dotąd premier, o ministrach i niższych stanowiskach nie mówiąc. Przeciętne polskie wynagrodzenie to ok. 5,6 tys. zł. To oznacza, że premier będzie teraz zarabiał mniej więcej czterokrotnie więcej.

Pensja niemieckiego kanclerza federalnego to ok. 21 tys. euro miesięcznie, czyli ponad 251 tys. euro rocznie, zaś przeciętne wynagrodzenie w Niemczech to rocznie 42,5 tys. euro. To oznacza, że relatywnie pani kanclerz zarabia wciąż więcej niż polski premier. Niższe jest wynagrodzenie francuskiego prezydenta i premiera, wynoszące ok. 181 tys. euro rocznie, lecz niższe niż w Niemczech jest też średnia roczna pensja (2019), wynosząca ok. 39 tys. euro. Tu pensja najwyższych urzędników jest mniej więcej 4,6 raza wyższa niż przeciętne wynagrodzenie. Generalnie wynagrodzenie szefa polskiego rządu w stosunku do przeciętnego wynagrodzenia zbliża się po podwyżce do europejskiego standardu.

Z drugiej jednak strony nie sposób pominąć kontekstu, w jakim podwyżki się pojawiają. Oto nieodzownym elementem promocji Polskiego Ładu jest narracja o bogaczach, zarabiających 10 tys. zł, oraz o klasie średniej zaczynającej się od 4 tys. zł. Jak pogodzić to z poziomem wynagrodzenia ludzi władzy podniesionego rozporządzeniem prezydenta?

To właśnie drugie zaskoczenie, bo moment na tę zmianę jest politycznie wybitnie niekorzystny. Wszak Polski Ład oznacza również znaczący wzrost obciążeń dla dużej grupy Polaków, w tym przede wszystkim przedsiębiorców. Szczególnie poszkodowani będą ci, którzy korzystają z podatku liniowego. Zarządzanie w tym momencie tak znaczących podwyżek dla władzy musi wywołać dysonans. Oczywiście rządzący mogą kalkulować, że poszkodowani Polskim Ładem to i tak nie ich elektorat. Tylko że poparcie dla PiS jest na poziomie wskazującym, że partia Jarosława Kaczyńskiego, jeśli chce wygrać kolejną kadencję, to musi odzyskiwać tych, których



FOT. JAKUB KAMINSKI/EAST NEWS

mogli „dorobić” na stanowiskach w rządzie. Na stanowiskach w zarządach czy radach nadzorczych spółek nie było to już możliwe – zabrania tego Ustawa o wykonywaniu mandatu posła i senatora w art. 34.

DALEKO OD MERYTOKRACJI

Czy zatem teraz należy się z podwyżek cieszyć? Może gdyby na sprawę popatrzyć propaństwowo, nawet nie będąc zwolennikiem obecnej władzy, należałoby uznać, że w końcu wynagrodzenia trzeba było podnieść, bo przecież faktycznie były kompromitująco niskie. Rzecz nie jest jednak taka prosta.

Przede wszystkim naiwnością byłoby szukać w tej sprawie propaństwowej motywacji i systemowego myślenia. Przecież ledwo rok wcześniej na polecenie Nowogrodzkiej wycofano poselski projekt ustawy, która miała podnosić między innymi poselskie pensje. Sprawa wraca w tym momencie, bo trwa walka o utrzymanie większości, również poprzez przeciągnięcie na stronę PiS posłów wiernych Jarosławowi Gowinowi, a to jest jedna z metod dążenia do tego celu: konflikt z kierownictwem obozu politycznego oznacza utratę atrakcyjnej finansowo posady rządowej lub brak miejsca na liście w kolejnych wyborach, a zatem utratę stałego i teraz już przyzwoitego dochodu.

O tym, że podwyżka nie jest przemysłowym, systemowym posunięciem, świadczą dwie kwestie. Pierwsza to ta, że nie poszły za nią żadne dodatkowe warunki. Tak – rządzący powinni zarabiać bardzo przyzwoicie, ale powinno się to łączyć z ograniczeniem ich przywilejów. Tymczasem rozliczanie ryczałtów paliwowych posłów pozostanie fikcją, od czasu do czasu tylko obnażaną przez media. Najwyżsi urzędnicy nadal nie uważają za stosowne rozdzielać swoich obowiązków służbowych od spraw prywatnych i w przypadku tych ostatnich za swoje wydatki płacić samemu. To da się zrobić, czego przykładem są wspomniane już Niemcy (podobne zasady obowiązują w wielu państwach), gdzie pani kanclerz musi płacić za korzystanie ze służbowej limuzyny poza oficjalnymi obowiązkami – gdyby na przykład miała chęć przejechać się do teatru.

Drugi, poważniejszy kłopot to – by użyć rynkowego kryterium – relacja ceny do jakości. Płacąc więcej politykom, moglibyśmy mieć nadzieję, że dostajemy lepszą usługę – bo przecież sprawowanie władzy, czy to ustawodawczej, czy wykonawczej, jest usługą na rzecz obywateli. Żaden

tego typu mechanizm nie został jednak wypracowany. Proporcjonalny system wyborczy sprawia, że wciąż bezwzględny panem list pozostaje lider danej formacji. Wynagrodzenia członków rządu zaś nie są w żaden sposób powiązane z ich dokonaniami. Co gorsza, cały system jest obecnie w tak silnym stopniu podporządkowany potrzebom partyjnym – w przypadku Zjednoczonej Prawicy wchodzi w grę skomplikowane układy pomiędzy poszczególnymi członkami koalicji – że następuje odwrócenie pożądanej logiki. To nie wyższe wynagrodzenia będą umożliwiały przyciąganie do pracy lepszych ludzi, ale gorsi ludzie, wybierani z powodu partyjnego zapotrzebowania, będą nagradzani lepiej opłacanymi teraz stanowiskami. Realistycznie rzecz biorąc, żadna demokracja nie jest stuprocentową merytokracją, ale w tym wypadku nie zbliżyliśmy się do ideału ani o krok.

To prawda, że niełatwo byłoby znaleźć kryteria, pozwalające kształtować wynagrodzenia władzy w zależności od jakości jej pracy. Co przyjąć jako punkt odniesienia? Wzrost PKB? Ale ten może być zależny od wielu różnych czynników, również całkowicie zewnętrznych, gospodarka zaś ma swoją bezwładność. PKB może rosnąć jeszcze jakiś czas po podjęciu przez rząd fatalnych decyzji. Więc może wzrost przeciętnego wynagrodzenia? Lecz przeciętne wynagrodzenie jest uzależnione w dużej mierze od bezpośrednich decyzji rządu, który proponuje, a ostatecznie może sam wyznaczyć (jak to się zresztą ostatnio dzieje wobec braku porozumienia w Radzie Dialogu Społecznego) wielkość wynagrodzenia minimalnego, windującego to przeciętne. Zatem może wziąć jakąś sondażową średnią poparcia i przyznawać premie, gdy ta przekroczy odpowiedni poziom? Biorąc pod uwagę, jaką jakość mają badania opinii publicznej w Polsce, można to uznać za dość ekstrawagancki pomysł.

Na razie rozporządzenie głowy państwa doprowadziło do politycznego zwarcia. Platforma Obywatelska postanowiła wykrzystać okazję – czemu trudno się dziwić, bo PiS podłożył się koncertowo – i złożyła w Sejmie projekt ustawy, mającej zamrozić podwyżki, choć ma to raczej znaczenie PR-owe niż realne, bo prezydenckiego rozporządzenia nie da się unieważnić ustawą. Sporo racji mają ci, którzy wskazują, że z wizerunkowego punktu widzenia dobrego czasu na taki ruch nie ma nigdy. Są jednak momenty mimo wszystko lepsze i gorsze. Ten jest wyjątkowo zły.



Tomasz Rowiński

Ofensywa unijnych instytucji przeciwko Polsce trwa. Główny atak idzie poprzez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej

Komisja Europejska dała naszemu państwu czas do 16 sierpnia, aby zastosowało się do orzeczenia TSUE, nakazującego zawieszenie działalności Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. W innym wypadku mamy stać się jako kraj – według formułowanych gróźb – wobec kar finansowych. Można powiedzieć, że Komisja Europejska całkowicie zignorowała wyrok polskiego Trybunału Konstytucyjnego, który orzekł, że TSUE „nie jest uprawniony do »zawieszenia« Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego ani do stosowania jakichkolwiek innych środków tymczasowych w sprawach sądownictwa” – relacjonowało wyrok TK Ministerstwo Sprawiedliwości.

Działania instytucji europejskich już zupełnie jawnie wykorzystują konflikt z Polską do poszerzenia zakresu swojej realnej władzy. „Po co miałyby istnieć Trybunał orzekający zgodność polskich ustaw z polską konstytucją, jeśli w stosunku do tych ustaw i do tego Trybunału nadrzędną funkcję sprawuje TSUE? Idąc tym tokiem myślenia, jeżeli już pozbylibyśmy się TK, to pojawiłoby się pytanie, jaka jest sensowność funkcjonowania innych instancji narodowych, skoro o wszystkim i tak ma decydować Komisja Europejska. Utrzymywanie np. Sejmu i Senatu też nie wydaje się z tego punktu widzenia trafne, ponieważ ich decyzje wyrażające wolę narodu mogą być zakwestionowane i odrzucone przez sądy albo inne instancje nie pochodzące w demokratyczny sposób z woli polskiego narodu” – mówił niedawno ironicznie Paweł Lisicki.

SPÓR O STREFY, KTÓRYCH NIE MA

Nie mniej poważną sprawą – a może nawet poważniejszą, ponieważ zagrażającą publicznemu porządkowi moralnemu w naszym kraju – jest wszczęcie przez KE procedury przeciwko Polsce o naruszenie unijnego prawa w zwią-

ku z tzw. strefami wolnymi od LGBT. Ponieważ sprawa owych „stref” była tyle razy wyjaśniana, trudno przyjąć, że Komisja Europejska działa w dobrej wierze. Uchwały przyjmowane w formule samorządowych kart rodziny przede wszystkim miały na celu potwierdzenie konstytucyjnych wartości dotyczących szczególnej roli podstawowej komórki społecznej w ładzie społecznym Rzeczypospolitej. Część z nich także przeciwstawiała się ideologii gender czy też postulatowi politycznego ruchu homoseksualnego, jednak nie – po prostu – osobom o skłonnościach homoseksualnych czy cierpiącym na zaburzenia tożsamości płci. Ta sprawa także zakończy się zapewne w TSUE.

Komisja Europejska wykorzystuje tę sprawę w walce o swoje wpływy, czyli o władzę – większą, niż przewidują traktaty. Robi to także, stosując – równolegle do naciskania polskich władz centralnych – swoją starą metodę, czyli próbuje pomijać instytucje państwa, tak jakby sama posiadała bezpośrednią władzę nad samorządami państw tworzących UE. Dlatego na początku czerwca KE skierowała do marszałków województw lubelskiego, łódzkiego, małopolskiego i podkarpackiego list, który miał na celu zastraszenie władz lokalnych poprzez gróźbę nieprzyznania im środków

z powodu niezdolności do kierowania się zasadą niedyskryminacji.

W prorodzinnej deklaracji województwa małopolskiego – w kwietniu 2019 r. – napisano: „Jako radni województwa małopolskiego deklarujemy wsparcie dla rodziny opartej na tradycyjnych wartościach oraz ochronę systemu oświaty przed propagandą LGBT zagrażającą prawidłowemu rozwojowi młodego pokolenia”. Tymczasem 2 sierpnia br. pochodzący z Porozumienia Jarosława Gowina wicemarszałek sejmiku Tomasz Urynowicz zaczął nawoływanie do unieważnienia antygenderowej deklaracji, ponieważ – jak stwierdził – „niebezpieczeństwo jest bardzo poważne”. Co jest jednak tym niebezpieczeństwem? Mgliste ostrzeżenie, że Polska nie otrzyma środków finansowych, czy realne niebezpieczeństwo, że unijne środki staną się funduszami kolonizacyjnymi korumpującymi polskich samorządowców i wspierającymi implementację niszczącej społeczeństwa ideologii?

Spójrzmy, co liczy się dla Tomasza Urynowicza i czego tak się wystraszył. „Przed wszystkim wstrzymanie negocjacji nowej perspektywy unijnej. Dzisiaj wiemy, że te środki to 2,56 mld euro. Środki od edukacji do drogownictwa, rozwój szpitali [...]. Z drugiej strony wstrzymanie bieżących wydatków.

FOT. ADRIAN STOK



Korumpowanie



To jest bardzo dotkliwe już dzisiaj dla urzędu marszałkowskiego, gdzie wiele etatów, ok. 50 proc. etatów u nas i w jednostkach zależnych, jest finansowanych wprost ze środków europejskich. Ale to przede wszystkim bardzo niebezpieczne dla beneficjentów naszych projektów, przedsiębiorców, wielu partnerów. Trzecim ryzykiem jest niefinansowanie kampanii promocyjnej województwa małopolskiego”.

Widać zatem, że Komisja Europejska traktuje swój budżet, który nie bierze się przecież z niczego innego, jak tylko ze składek państw członkowskich, jako zasób finansowy będący narzędziem dla coraz dalszego ograniczania suwerenności instytucji takich krajów jak Polska. Połowa etatów urzędu marszałkowskiego istniejących dzięki pieniądзом unijnym to mocny argument polityczny. I wszystko to w perspektywie coraz bardziej kreatywnych interpretacji traktatów unijnych. Czy Polska nie pogrąży w kryzysie swojej niezależności, tak dalece uzależniając swoje instytucje od brukselskich pieniędzy? Wiceprezes TK Mariusz Muszyński w obszernym tekście dla portalu rp.pl napisał 25 lipca br.: „Nie może być tak, że wypełnianie traktatu prowadzi do naruszenia żywotnych interesów państwa, które ten traktat zawarło. To państwo, a nie traktat jest

panem stosunku prawnego”. Może faktycznie czas na ekscepcję traktatową, o której mówi art. 60 konwencji wiedeńskiej o prawie traktatów, polegającą na jednostronnym zawieszeniu lub odrzuceniu traktatu albo jego części w relacjach między stronami?

Przedstawiciele polskich władz zdają się zapominać często, że polityka jest grą o władzę, i to grą na serio, a także że podejmowane działania niosą zwykle ze sobą określone koszty. Na przykład takie, że suwerenność, możliwość samodzielnego kształtowania środowiska prawnego i społecznego może oznaczać, iż zamożniejsi partnerzy Polski, którzy lubią udawać sympatycznych „dobrych wujków”, przestają wysyłać swoje euro lub tym grożą. Władze Kraśnika zaś zapomniały np., że słabość wynikająca z niezdolności do brania odpowiedzialności za swoje działania jest w polityce karana najbardziej.

W roku 2019 Kraśnik przyjął uchwałę przeciwko ideologii LGBT, jednak wycofał się z niej po deklaracji Ine Marie Eriksen Søreide, szefowej norweskiego MSZ, która powiedziała, że „Kraśnik oraz inne gminy, które przyjęły podobne deklaracje, nie otrzymały wsparcia projektowego w bieżącym okresie finansowania i nie otrzymają takiego wsparcia dopóty, dopóki te deklaracje pozostaną w mocy”. Jak się okazało, upokarzająca rejterada zrobiona dla wirtualnych pieniędzy nie zdała się na nic, ponieważ fundusze norweskie do Kraśnika nie trafiły i tak.

Inicjator rejterady, burmistrz Wojciech Wilk, zadeklarował w lipcu, że chętnie pozna uzasadnienie decyzji o nieprzyznaniu środków z należącego do mechanizmu funduszy norweskich programu „Rozwój lokalny”. Smutno-śmieszne w tej sprawie może okazać się to, że symboliczne podważanie przez Kraśnik – razem z unieważnieniem uchwały antygenderowej – polskich wartości konstytucyjnych w kwestii szczególnej ochrony rodziny mogło nie mieć znaczenia w ocenie wniosku. „Rozwój lokalny” nie należy do puli programów zarządzanych bezpośrednio przez darczyńców, którymi są Norwegia, Liechtenstein i Islandia.

Przypomnijmy też, że kraje te nie działają bezinteresownie. Dzięki mechanizmowi redystrybucyjnemu znanemu jako fundusze norweskie mogą one korzystać z przywilejów, jakie wiążą się z udziałem w Europejskim Obszarze Gospodarczym. Tak czy inaczej, norweskie

pieniądze sprawiły, że cel ideologicznej kolonizacji został w Kraśniku osiągnięty. Wysłałem pytanie do burmistrza Kraśnika, czy podjął – jak zapowiedział – próbę dotarcia do treści uzasadnienia, na co otrzymałem odpowiedź: „Nie mamy żadnej wiedzy na temat ewentualnego wpływu uchwały dotyczącej ideologii LGBT na ocenę naszego projektu. Nie wiemy, czy był on oceniany przez ekspertów norweskich czy tylko polskich. Nie wiemy również, jakie ostatecznie były kryteria oceny, skoro wnioski aplikacyjne były składane na kwotę 39 mln zł, a dofinansowanie przyznano wybranym miastom na kwotę ok. 16 mln zł”. Pozostaje jednak jeszcze inne pytanie: Czy polskie państwo i polski samorząd są wystarczająco przygotowane do reagowania na sytuacje medialnej manipulacji połączonej z groźbami finansowych restrykcji ze strony KE? Budzi to wątpliwość, kto jest tu podmiotem polityki.

FUNDUSZE KOLONIZACYJNE?

Refleksem w zeszłym roku wykazało się Ministerstwo Sprawiedliwości, które zareagowało na odrzucenie przez Komisję Europejską wniosków sześciu miast w ramach programu „Partnerstwo miast”. Uzasadnieniem tej decyzji KE był właśnie fakt przyjęcia przez samorządy Karty praw rodziny. „Gmina Tuchów stała się przedmiotem sztywno unijnej komisarzy do spraw równości Heleny Dalli, która decyzję ogłosiła, bo radni mieli odwagę upomnieć się o prawo rodziców do wychowywania dzieci zgodnie ze swymi przekonaniami. Mamy dla Tuchowa dobrą informację – ministerstwo przyznało gminie wsparcie z Funduszu Sprawiedliwości trzy razy wyższe niż środki, o jakie zawnioskowała” – mówił w lipcu 2020 r. Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości. Tyle że chodziło o 250 tys. zł, a dotacje z Norwegii idą w grube miliony.

Być może zbliża się czas, by Polska przemyślała to, na ile chce korzystać z pieniędzy unijnych, które jawnie przybierają charakter funduszy kolonizacyjnych. Czy nie czas na to, byśmy tworzyli własne instytucje refundacyjne, które będą działały – przynajmniej – jako osłona dla polskich podmiotów zagrożonych ze strony UE dyskryminacją finansową z powodów ideologicznych? Pamiętajmy, że UE redystrybuuje także nasze pieniądze, ponieważ ona sama nie ma żadnych swoich pieniędzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Strajk w sierpniu 1988 r.
Od prawej: Mariusz
Wilczyński, stoczniowiec Jerzy
Kwestorowski, Maciej Grabski
i Piotr Semka redagują biuletyn
strajkowy w nieczynnej kuchni
stołówki Stoczni im. Lenina
FOT. JAROSŁAW RYBICKI

Ramię w ramię ze strajkującymi

**Kolejny fragment książki
„Piątka u Semki” (Zysk
i S-ka), wywiadu rzeki
z Piotrem Semką**

*przeprowadzonego przez
Jana Hlebowicza*



JAN HLEBOWICZ: Strajki w 1988 roku ujawniły
konflikt pokoleń w środowisku opozycyjnym
i solidarnościowym.

PIOTR SEMKA: To prawda. Stare elity
Solidarności na czele z Wałęsą były wtedy
systematycznie ignorowane przez władze.
Jerzy Urban na swoich osławionych kon-
ferencjach prasowych z wyraźną lubością
pouczał zachodnich dziennikarzy, że to, co
uważa na rozmaite tematy lider Solidar-
ności, nie interesuje władzy więcej niż
opinie wszystkich pozostałych trzydziestu
siedmiu milionów. Od początku 1988
roku wzrosły także wpływy Mieczysława
Rakowskiego, który demonstracyjnie po-
kazywał swoją niechęć do Wałęsy. Władza
nie zamierzała dogadywać się z „najstyn-
niejszym elektrykiem świata”, jeśli już – to

tylko z częścią lewicowej strony opozycji,
pokoleniem Marca '68.

**I w takiej atmosferze politycznej rozpoczęła się
tak zwana wiosna młodych, czyli najpierw strajk
majowy, a później sierpniowy.**

2 maja, nazajutrz po pierwszej od
paru lat ostrej pierwszomajowej za-
dymie zakończonej pałowaniem przez
ZOMO, młodzi robotnicy wywołali strajk
w stoczni. Podobnie jak w Sierpniu '80
wystarczyła iskra. Grupa młodych
stoczniowców z Janem Staneckim na
czele obeszała zakład, obsadziła bramę
główną i ogłosiła strajk z hasłem re-
legalizacji NSZZ „Solidarność”. Zaskoczyli
wszystkich – dyrekcję stoczni, lokalnych
kacyków PZPR, ale także Lecha Wałęsę
i władze pomorskiego podziemia.

Ty także pojawiłeś się w stoczni...

Tak. Strajk majowy obserwowałem
z bliska, spędzając dziewięć dni ramię
w ramię ze strajkującymi jako dziennikarz
„Regionówki”. Na ten gorący czas posta-
nowiliśmy razem z Jackiem i Mariuszem
przenieść redakcję właśnie na teren

stoczni. Otrzymaliśmy od Borusewicza
i Łopińskiego zadanie, by pomóc stocz-
niowcom w tworzeniu biuletynu strajko-
wego. Dla nas i dla młodych robotników
to było spełnienie snu. Nigdy nie zapomnę
słów Łopińskiego, który stwierdził, że
tak jak dla starszego pokolenia testem
z patriotyzmu był stan wojenny, tak dla
młodych tym sprawdzianem były właśnie
strajki 1988 roku. Uważam, że sprawdzian
ten zdaliśmy. My, którzy w 1980 roku
staliśmy po drugiej stronie bramy stoczni,
tym razem mieliśmy szansę wziąć udział
w prawdziwej rewolucji, którą wznicieli
wspaniali, ideowi, pełni zapału ludzie.

**Jak układały się wasze relacje z przywódcami
strajku?**

Zaprzyjaźniliśmy się. Uważam, że
odegraliśmy rolę pomostu pomiędzy nimi
a członkami starej opozycji, których zdą-
żyliśmy poznać w latach poprzedzających
strajk. Nigdy nie zapomnę takich postaci
jak Jan Stanecki, Jan Górczak, Zbigniew
Stefański czy nieżyjący już niestety Tade-
usz Duffek. Młodzi liderzy strajku, dzisiaj
praktycznie zapomniani. To właśnie oni

obsadzili stoczniove posterunki, musieli słuchać pogroźek lokalnych dygnitarzy, znosić psychicznie pozorowane ataki ZOMO na stocznie. Oni też stworzyli specyficzny strajkowy folklor.

À propos folkloru. Powstało wtedy specjalne wydanie pisma „BITO-MONITO”, które przygotowaliście razem z działaczami FMW i stoczniovcami. Pisaliście, że jesteście w stoczni po to, by w końcu „dać komuchom po dupie”. No i zamieściliście na łamach ciekawe wierszyki: „Wyrwij krówkom różki z główki, napal się trawy, zerwij makówki. A krówkę runą, runą, runą i nie dadzą mleczka nam [...] Główna już urwana, rączki jeszcze nie. Krew z główki ścieka, widać ją z daleka”.

(Śmiech) Nie pamiętałem treści tamtych wierszyków. Pamiętam za to, że pisaliśmy je także z anarchistami z RSA. Wiesz, myślę, że one dobrze oddają klimat tamtego czasu. Byliśmy zmęczeni ciągłą groźbą brutalnej pacyfikacji, którą dzień w dzień nas straszono. Trzeba też pamiętać, że służby wyciągnęły wniosek po Sierpniu '80 i nie dopuściły do głównej bramy stoczni gdańszczan stanowiących moralną podporę protestujących. My czuliśmy się osamotnieni. W takim gęstym tłumie ciągle padało pytanie: „A jak zacząć strzelać?”. Krążyły też plotki, że po stoczni kręcą się ubecy w cywilu i lada chwila nastąpią masowe aresztowania. Zazwyczaj tych, którzy tak gadali, uspokajaliśmy albo kazaliśmy im przestać, by nie opadało morale. Ale każdy z nas trochę się bał. Sposobem na odreagowanie stresu było właśnie tworzenie takich śmiesznych, nierzadko wulgarnych, trochę makabrycznych wierszyków. Ale obok takiej strajkowej twórczości odbywały się na stoczni happeningi szydzące z zomowców, a z drugiej strony modlitwy pomagające przegnać lęk.

Wieczorem 2 maja odbyło się spotkanie podziemnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów, które postanowiło wesprzeć robotniczy protest. Jak zareagowaliście?

Szczerze? Na tle tego, co działo się w stoczni, to była zabawa w strajk. Koncerty jazzowe, pokazy filmów, luz-blues. Nie chcę tego dyskredytować, bo wiem, że studenci też ryzykowali między innymi wyrzucenie z uczelni. Jednak trzeba uczciwie powiedzieć, że prawdziwe serce strajku '88 biło w stoczni.

Wróćmy więc do stoczni. Mówiłeś, że młodym przywódcom strajkowym umożliwiliście kontakty ze starszą opozycją. Stanecki i spółka oczekiwali wsparcia?

Dążyli do nawiązania tych kontaktów? Zdecydowanie. Onieśmieleni rolą przywódców, chcieli, by Lech Wałęsa jak najszybciej stanął na ich czele. A legendarny przywódca Solidarności zachował się wówczas zgodnie z tymi oczekiwaniami. Dość szybko przyjechał na strajk. Wprowadził się do stoczni i nocował w ciasnych pokoikach przy stołówce. Dokuczały mu wówczas choroby, ale nie okazywał słabości na zewnątrz. Mówił prostym, zrozumiałym językiem, charakterystycznym dla czasu Sierpnia '80. Jego rola w podtrzymywaniu rewolucyjnych nastrojów była nie do przecenienia. Zagrzewał do walki, wlewał w serca młodych stoczniovców nadzieję i odwagę. Jednak to nie dzięki Wałęsie, ale właśnie dzięki inicjatorom strajku po raz kolejny w stoczni powstał kawałek wolnej Polski, z której można było wzywać władze do uznania Solidarności.

Po latach wydaje się jednak, że młodzi zostali instrumentalnie wykorzystani.

Rzeczywiście, bardzo szybko u boku Wałęsy pojawili się jego doradcy – Tadeusz Mazowiecki, Aleksander Hall, bracia Kaczyńscy. Wtedy zaczęliśmy z niepokojem obserwować, jak młodzi stoczniovcy są cynicznie traktowani przez „starych”. Zresztą takie sceny widzieliśmy też po stronie Kościoła. Nigdy nie zapomnę, jak do stoczni przyjechał reprezentant biskupa Tadeusza Gocłowskiego, ksiądz Zbigniew Bryk. W odpicowanym audi 80, z luksusowym jak na tamte czasy zegarkiem marki Omega na ręku. Widziałem, w jaki sposób rozmawia z robotnikami – z góry i z chłodnym dystansem. Podobnie zaczęli spoglądać na stoczniovców „warszawiacy”. Oczywiście nie wszyscy.

Nie przesadzasz? Przecież to był jeszcze ten czas, kiedy doradcy-intelektualiści spali na tych samych styropianach co robotnicy.

To prawda. Do dziś pamiętam ze strajku nieco surrealistyczny obrazek, kiedy obawiający się podsłuchów szacowni doradcy debatowali nad strategią protestu, siedząc wokół Wałęsy na ogromnych szpulach z kablem. Prawdą jest też, że intelektualiści spali obok robotników na wielkich płytach styropianu – po latach obiekcie niezasłużonych drwin, a wówczas symbolu braku barier. No właśnie, symbol. Bo te podziały w świecie opozycji i Solidarności, a także skomplikowana



hierarchia były już wówczas namacalne. Pamiętam przyjazd z Warszawy do stoczni niejakiego Tomasza Tabaki z Archiwum Solidarności. Nikt nie wiedział, kim on jest i w jakim celu przyjechał. Tymczasem Tabako był na jakichś specjalnych zasadach wpuszczany na wszystkie

zamknięte narady doradców. Wydawało nam się, że skoro strajk jest w Gdańsku, to my jako redaktorzy pisma regionu gdańskiego „S” powinniśmy mieć podobne uprawnienia co Tabako. Tak nie było. Po raz kolejny okazało się, że są równi i równiejsi, a warszawskie koneksje pracownika Archiwum Solidarności były warte więcej niż nasze. To tylko dygresja, pokazująca pewną narastającą już wtedy tendencję. Nominalnie decydowali o wszystkim działacze robotniczej „S”, ale doradcy coraz mniej się z ich opiniami liczyli. W maju widzieliśmy niesłychaną próbę cynizmu, zapowiadającą to, co miało się wydarzyć na kolejnym strajku oraz przy Okrągłym Stole. Pamiętam, jak Mazowiecki powiedział w pewnym momencie, że strajk trzeba kończyć na honorowych warunkach. Dla młodych robotników i dla nas to były kpiny. Jaki koniec? Nic nie wywalczyliśmy! O czym ty, człowieku, mówisz?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- „*Jak Semkowie Polskę wybrali*” – nr 16/2021
- „*Dziadek Jan i dziadek Józef*” – nr 17/2021
- „*Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową*” – nr 18/2021
- „*Niepokorna Topolówka*” – nr 19/2021
- „*Dramatyczny czas*” – nr 20/2021
- „*Licealna konspira*” – nr 21/2021
- „*Koledzy z konspiry*” – nr 22/2021
- „*Prywatna wojna z komunizmem*” – nr 23/2021
- „*Uciekaliśmy od bezruchu*” – nr 24/2021
- „*Pobudzający mętnik idei*” – nr 25/2021
- „*Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk*” – nr 26/2021
- „*Pierwsze niepokojące sygnały*” – nr 27/2021
- „*Spełnione marzenie młodego opozycjonisty*” – nr 28/2021
- „*Era młodych*” – nr 29/2021
- „*Eksperyment Borusewicz się opłacił*” – nr 30/2021
- „*Niebezpieczne związki*” – nr 31/2021



Lewy magister?



Łukasz Zboralski

Afera z kanclerzem prywatnej uczelni, który oferował znanym sportowcom kupno dyplomów, pokazuje dwa problemy: sieć mizernej jakości szkolnictwa i celebrytów, którzy takim „wykształceniem” próbują leczyć swoje kompleksy

Właściwie powinniśmy się z tego trochę cieszyć. Wciąż jeszcze bowiem wykształcenie jest czymś, co nobilituje. Przecież starają się o nie często już ci, którzy mogliby na własność kupować sobie całe uczelnie. A jednak chcą mieć „dyplom”. Chcą dołączyć do tego grona osób, które może o sobie powiedzieć, że ukończyło wyższą uczelnię. To jednak koniec zalet tego stanu rzeczy. Biorąc pod uwagę, że sportowcy, celebryci czy politycy często legitymują się wykształceniem, które

właściwie niczego nie oznacza, dotykamy w zasadzie systemu psucia poziomu wykształcenia, deprecjacji dokumentów, które mają poświadczać wiedzę.

O SOBIE SAMYM

Bo przecież, zanim wybuchła afeta z kanclerzem prywatnej Uczelni Nauk Społecznych, który miał fałszować m.in. dyplomy magisterskie, licencjackie, a nawet świadectwa maturalne – o czym za chwilę – wiedzieliśmy już od dawna, że celebryci zdobywają wykształcenie... nieco inaczej.

Weźmy choćby Roberta Lewandowskiego. Cztery lata temu ten wspaniały polski piłkarz obronił pracę licencjacką w Wyższej Szkole Edukacji w Sporcie. Tytuł dysertacji: „RL 9. Droga do sławy”. Tak, dobrze się państwo domyślają. Po prostu napisał o sobie.

„Robert opisał cały swój życiorys od podwórka do mistrzostwa. Były tam wątki bardzo mocno osobiste, o rodzinie, wsparciu od mamy, żony. Jest dużo o ambicji, rywalizacji. Merytorycznie dysertacja była bardzo dobra, fajnie napisana i na pewno będzie opublikowana” – komentował wówczas w mediach prof. Marek Rybiński, recenzent pracy, pracownik WSEwS.

Czy już wówczas nie było to w zasadzie deprecjacja nauki? Było. Jednak wiadomość przemknęła raczej jako ciekawostka przez polskie portale plotkarskie.

KANCLERZ DAJE WIEDZĘ

Okazało się, że już rok po licencjacie Lewandowski mógł być magistrem. A przynajmniej dyplom dla niego był już przygotowany w 2018 r. u kanclerza prywatnej szkoły – Uczelni Nauk Społecznych w Łodzi.

Wszystko wyszło na jaw przez przypadek. Jak ujawnił Onet.pl, kanclerz Zbigniew D. zaoferował kobiecie dyplom uczelni bez konieczności uczęszczania na zajęcia. Kobieta powiadomiła służby i pomogła policji przygotować zasadzkę. Jak informowała potem prokuratura, mężczyzna został zatrzymany tuż po przyjęciu pieniędzy za dokument poświadczający ukończenie studiów podyplomowych.

Zbigniew D., który w przeszłości był dyrektorem Łódzkiego Klubu Sportowego, usłyszał zarzuty wzięcia łapówki w związku z pełnieniem funkcji publicznej. Śledczy zaczęli przeszukiwać jego mieszkanie oraz telefon. Okazało się, że kanclerz prowadził korespondencję z wieloma znanymi sportowcami.

Wiadomo, że kontaktował się z Anną Lewandowską. Spotykał się nawet z nią osobiście. A wizytę Roberta na tej uczelni umawiali już w 2016 r. Śledczy znaleźli zdjęcie dyplomu magisterskiego wystawionego dla piłkarza. Według tego dokumentu kapitan naszej reprezentacji miałby obronić 24 marca 2018 r. pracę z pedagogiki „Przedsiębiorczość i zarządzanie w usługach społecznych i edukacyjnych”. Tak się jednak złożyło, że w tym czasie był na zgrupowaniu kadry

narodowej (dzień przed rzekomą obroną grał w towarzyskim meczu z Nigerią).

Lewandowscy na temat tej sprawy się nie wypowiedzieli. Ich rzeczniczka przekazała, że o postępowaniu prokuratorskim w sprawie kanclerza D. nie zostali poinformowani i nic im o tej sprawie więcej nie wiadomo.

Na korzyść Lewandowskiego przemawia fakt, że nigdy takim dyplomem się nie pochwalił. Co więcej – w październiku ubiegłego roku piłkarz poinformował o zdobyciu tytułu magistra na tej samej uczelni, na której wcześniej dorobił się licencjatu. Tym razem temat był dużo bardziej naukowy. „Tematem pracy była analiza składu ciała i wydolności tlenowej studentów Wyższej Szkoły Edukacji w Sporcie. To jest efekt jego dwuletnich badań. Przebadał prawie 400 osób na wydolność na tancie i składu ciała” – opowiadał Sportowym Faktom WP prof. Rybiński. Od 5 października 2020 r. Lewandowski jest więc pełnoprawnym magistrem wychowania fizycznego.

Lewandowscy nigdy nie chwalili się też żadnymi innymi dokumentami z łódzkiej prywatnej uczelni. Choć – jak wynika ze śledztwa dziennikarskiego

Onetu – kanclerz tej uczelni proponował Annie Lewandowskiej i jej mężowi dyplomy MBA (bez uczęszczania na zajęcia, za 25 tys. zł). Jej samej proponować miał też zrobienie doktoratu z zakresu alienacji wśród opiekunów dorosłych z niepełnosprawnością.

PIŁKARSKI POKER

U łódzkiego kanclerza policja natrafiła na więcej zdjęć dyplomów dla polskich piłkarzy. I korespondencję z nimi lub ich znajomymi.

Zabezpieczono np. zdjęcie dyplomu maturalnego dla innego z naszej narodowej kadry – Arkadiusza Milika. W dodatku dyplom był tłumaczony m.in. na język włoski. A został wystawiony w okresie, gdy Milik grał we włoskim klubie SSC Napoli. Arkadiusz Milik nie odpowiedział w tej sprawie dziennikarzom.

Policja znalazła też zdjęcie dyplomu maturalnego dla Łukasza Milika, brata Arkadiusza, dyrektora akademii piłkarskiej Górnik Zabrze. Łukasz Milik w rozmowie z Onetem stwierdził jednak, że matury nie ma.

W materiałach śledztwa jest również korespondencja kanclerza D. ze znanym

dziennikarzem sportowym Mateuszem Borkiem. Dziennikarz dziękował w niej za przesłanie dyplomu. Borek przyznał, że za namową D. uczył się na tej uczelni kilkanaście lat temu. Najpierw zrobił licencjat, a potem magisterkę. Dziennikarzom zaproponował nawet wgląd do swoich indeksów.

Nie wszyscy światowi piłkarze – tak jak w Polsce – gonią za wykształceniem. Argentyńczyk Leo Messi czy Portugalczyk Cristiano Ronaldo do dziś są jedynie sportowcami po podstawówce. Obaj nie ukończyli nawet szkoły średniej. I chyba jakoś potrafią żyć z tym, że są genialni na boisku, więc nie muszą już niczego nikomu udowadniać w szkolnych ławach.

Wydaje się, że w Polsce piłkarze tak nie potrafią. No dobrze, może nie tylko w Polsce. Jeden z aktualnych mistrzów Europy w piłce nożnej – Włoch Giorgio Chiellini – też ma tytuł magistra. Na Uniwersytecie Turynskim na Wydziale Zarządzania i Ekonomii obronił pracę z zakresu zarządzania w biznesie, zatytułowaną... „Model biznesowy Juventusu Football Club w międzynarodowym kontekście”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 25 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00

www.podtezniemi.pl

Pobyty: 08.08-26.09 oraz 26.09-24.10.2021r.

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

Morze głów i zatory na tatrzańskich szlakach, las parawanów nad Bałtykiem czy wojny wczasowiczów o leżaki na wyjazdach all-inclusive w Egipcie albo Tunezji niejednego są w stanie zniechęcić do wakacyjnych wyjazdów. Nic dziwnego, że coraz większym zainteresowaniem cieszą się nietuzinkowe wyprawy poza utartymi szlakami. – Od 30 lat Polacy jeżdżą, gdzie się da, bo wreszcie mogą, mają paszporty w kieszeniach. W tym czasie wielu z nas odwiedziło popularne miejsca w kraju i za granicą, nic więc dziwnego, że teraz staramy się szukać czegoś oryginalnego, miejsc mniej tłumnie odwiedzanych – mówi dr Krzysztof Łopaciński, ekspert w dziedzinie turystyki ze Szkoły Głównej Turystyki i Hotelarstwa Vistula.

Możliwości jest sporo i nie trzeba od razu jechać na drugi koniec świata.

TURYSTYKA INDUSTRIALNA

Ci, których ciekawią zakłady przemysłowe, kopalnie, obiekty techniczne, powinni wybrać się do Zagłębia Ruhry. Zeche Zollverein to obowiązkowy punkt na mapie miłośników turystyki industrialnej. W tym kompleksie przemysłowym kopalni i koksowni na północ od Essen wydobyto 200 mln ton węgla. W 1986 r. zamknięto kopalnię, w 1993 r. koksownię, ale koniec wydobywania był początkiem nowego życia dla Zeche Zollverein. W 2001 r. kompleks trafił na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Dziś jest tętniącym życiem muzeum, w którym zwiedzający mogą zobaczyć, w jaki sposób wydobywano węgiel, obejrzeć olbrzymie maszyny, piece koksownicze. To także centrum kultury z wystawami, koncertami, ogródkami restauracyjnymi. W lecie można skorzystać z basenu, w zimie z lodowiska. Ceny biletów wstępu zaczynają się od 7 euro.

Kto zamiast niedziałających zakładów woli obserwować pracowników w działaniu, powinien pomyśleć o wyprawie na Ukrainę. Trasę turystyczną uruchomiła kopalnia rudy żelaza w Krzywym Rogu. Z przewodnikiem można tam zjechać na głębokość 1556 m pod ziemię – to najniższej położona trasa turystyczna na świecie. Przed zjazdem trzeba wykonać pomiar ciśnienia krwi, założyć ubranie robocze łącznie z onucami. Całodniową wycieczkę można wykupić w biurach turystycznych w Krzywym Rogu. Koszt oscyluje w granicach kilkudziesięciu złotych.

Spragnionych nieszablonych podróży przyciąga Czarnobyl. Na teren pobliskiego nieczynnego parku rozrywki w Prypeci warto zabrać dozymetr

FOT. ADOBE STOCK



Jeszcze przed pandemią pojawił się trend na wyprawy do Korei Północnej

FOT. ADOBE STOCK

Wakacje bez sztampy



Agnieszka Niewińska

Zjazd 1500 m pod ziemię do czynnej kopalni, zwiedzanie Czarnobyla albo podglądanie reniferów na Spitsbergenie. Urlopowe marzenia Polaków to już nie tylko all-inclusive w popularnych kurortach

Kto jednak nie jest pewien, jak zareaguje na podziemne korytarze 1,5 km pod ziemią, może dokonać próby w kraju – np. w Złotym Stoku na Dolnym Śląsku. Dawną kopalnię złota (wydobyto tu 16 ton tego kruszcu) zamieniono na atrakcję turystyczną. Z przewodnikiem można przejść kopalnianymi szymbami, zobaczyć podziemny wodospad czy wziąć udział w podziemnym spływie łodzią (zwiedzanie standardowe dla dorosłego – 33 zł).

Spragnionych nieszablonych podróży na Ukrainę przyciąga także Czarnobyl. Na tereny dawnej elektrowni atomowej pierwszych ciekawskich zaczęto wpuszczać 15 lat temu. Od dziewięciu lat wycieczki do Czarnobyla organizuje Biuro Turystyki Ciekawej Aliena Tours z Białej. Liczbę turystów, których przez te lata tam zawiozło, trzeba liczyć w tysiącach. Biuro w swojej ofercie ma kilka „atomowych” pakietów – najtańszy (to koszt 940 zł) pozwala zobaczyć wszystkie najciekawsze miejsca na terenie czarnobylskiej zony. Można też wybrać wycieczkę typu „hardcore” (pięć dni w strefie wykluczenia wokół czarnobylskiej elektrowni jądrowej za 2,3 tys. zł) albo „Blok nr 4 Tour” (cena 1,5 tys. zł), w ramach którego można wejść m.in. do sterowni bloku 4. To tam zastępca naczelnego inżyniera elektrowni Anatolij Diatłow przeprowadził eksperyment, który doprowadził do katastrofy w elektrowni. – Ten słynny blok to historyczne miejsce. Został udostępniony zwiedzającym półtora roku temu. Jest opuszczony, zakurzony, ale guziki sterowania elektrownią są te same co przed ponad 30 laty. To miejsce robi na zwiedzających niesamowite wrażenie – opowiada Bartosz Żukowski z Aliena Tours.

Jak mówi Małgorzata Busz z wrocławskiego Biura Aktywnych Podróż Barents.pl, które też ma w ofercie wyprawę do Czarnobyla, miejsce to stało się popularne ze względu na to, że przez lata byliśmy nim straszani i nie było do niego wstępu. – Wielu z nas pamięta przecież podawany nam po wybuchu płyn Lugola. Czarnobyl to dla wielu podróży z dreszczykiem, choć dziś promieniowanie w miejscach udostępnionych dla turystów jest tam mniejsze niż w centrum Warszawy. Miejsce to jest częścią naszej regionalnej historii i ludzie są ciekawi, jak teraz wygląda. Dzisiaj jest świadectwem tego, jak przyroda potrafi przejąć to, co do niej należało. Okazałe niegdyś budynki, rozległe place w sowieckim stylu są dziś zdominowane przez naturę – mówi Małgorzata Busz. I dodaje, że w Czar-

Chcemy być tam, gdzie jest coś niespotykanego i skąd można przywieźć ciekawe zdjęcie

nobylu pojawia się coraz więcej turystów.

– Nie jest to już tak oryginalna wyprawa jak jeszcze kilka lat temu. Wielu ludzi wciąż jednak kusi możliwość zrobienia selfie z miejsca, gdzie wybuchł reaktor, i wrzucenia go do mediów społecznościowych.

SPITSBERGEN CZY PJONGJANG?

Aliena Tours osmiokrotnie zabierało podróżników do Serbii na Festiwal Trąbek w Gucy. – Można tam posłuchać Bregovicia, braci Marković i nie tylko. Koncerty odbywają się na stadionach i na ulicach, gdzie ludzie tańczą do rana – opowiada Żukowski. Po muzycznych atrakcjach jest też czas na zwiedzanie – odwiedźmy w wiosce Emira Kusturicy, zbudowanej na potrzeby jego filmu, czy wyprawę zabytkową koleją wąskotorową zwaną Ósemką Szargańską. – Chętnych na ten wyjazd nigdy nie brakuje, choć w tym roku plany pokrzyżowały covidowe obostrzenia. Nawet osoby zaszczepione muszą wykonać test PCR, co znacznie podnosi koszt wyjazdu – mówi Żukowski. Za to proponuje wyprawę do Uzbekistanu samochodami 4x4. W pakiecie m.in. jazda po dnie Jeziora Aralskiego z przystankiem na degustację wielbłądziej mleka. To już jednak oferta dla podróżnych z grubszy portfelem. Jedenastodniowa wyprawa to koszt blisko 7 tys. zł.

W ofertach biur podróży można znaleźć wycieczki tematyczne: Rumunia śladami Draculi czy Sztokholm śladami trylogii „Millennium”. Jeszcze przed pandemią pojawił się trend na wyprawy do Korei Północnej. Część biur terminy dobierała tak, by w czasie wyprawy turyści mogli doświadczyć jakiegoś narodowego koreańskiego święta. „Korea Północna to jeden z najbardziej niedostępnych i tajemniczych krajów świata. Zadziwia wszystkich, a wielu także trwoży, nie tylko całkowitą odmiennością kulturową i archaicznym ustrojem społeczno-gospodarczym, lecz także monumentalnymi budowlami w stylu socrealizmu” – kusi poznańskie biuro Logos Travel. Oferuje „wyprawę studyjną” do tego państwa. W programie jest zwiedzanie Pjongjangu, Gór Diamentow-

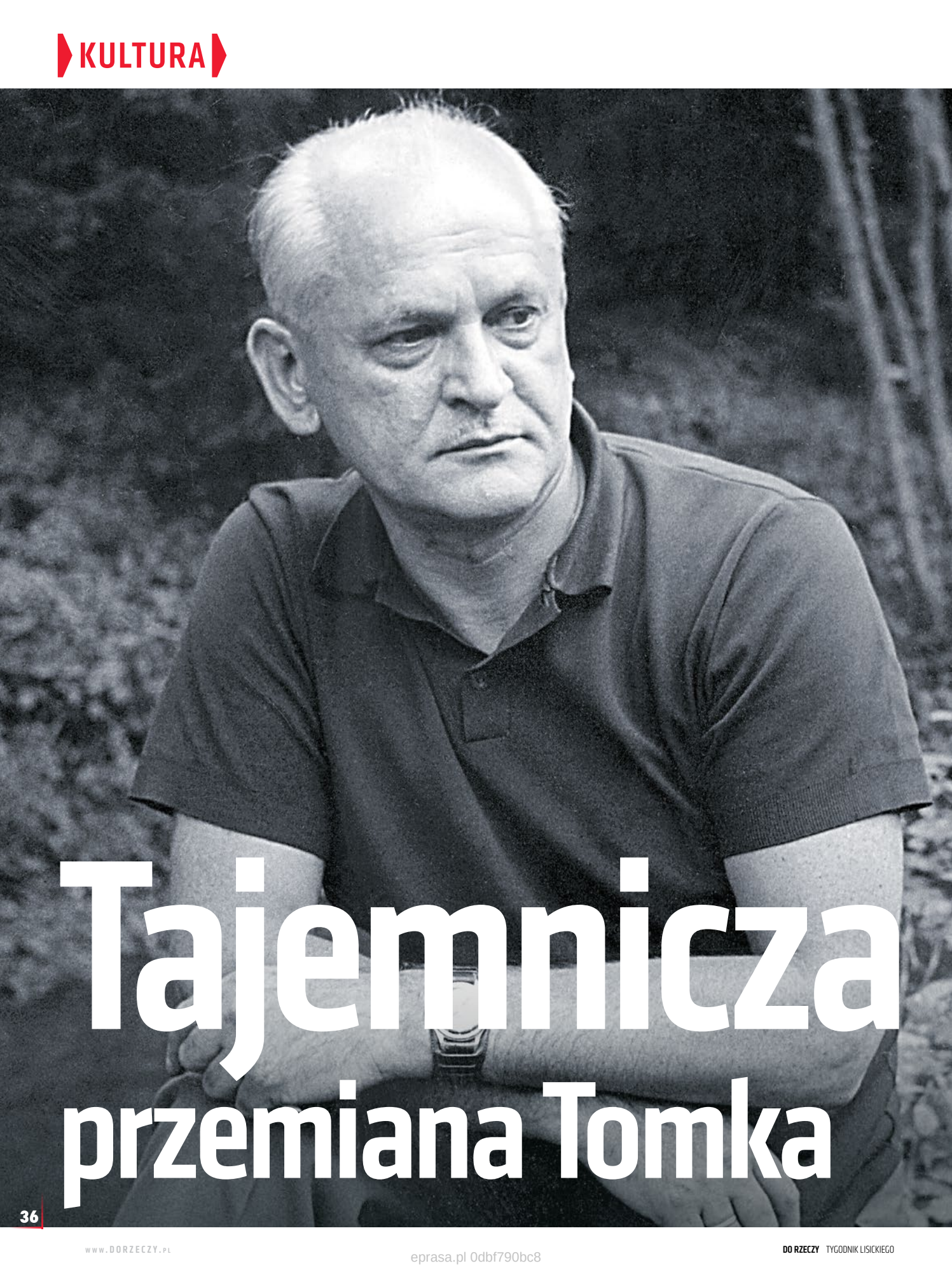
wych, Kesongu i Wonsan oraz „podglądanie codziennego życia w Korei Północnej”. Chętni do odwiedzenia komunistycznego skansenu muszą przygotować większą kwotę. Dziesięć dni we wrześniu to koszt blisko 7,5 tys. zł plus 1,7 tys. euro.

Hitem tego sezonu w biurze Barents.pl są wakacje na Spitsbergenie. W programie jest m.in. spacer arktyczną tundrą do polskiej stacji badawczej Petuniabukta, rejs motorówką do fiordu Nordfjord, podglądanie reniferów czy lisów polarnych.

Kto nie przepada za chłodem, ten może zdecydować się np. na wyprawę trekkingową bezdrożami rumuńskiego Banatu – z noclegiem w tamtejszych czeskich wioskach i posiłkiem u czeskich gospodarzy. Z kolei ci, którzy zdecydują się na podróż do mało znanej u nas Estonii, będą mogli przemierzyć dziewicze torfowiska w regionie Soomaa na raketach śnieżnych. – Z naszej oferty korzystają osoby, które podróżują w duchu odpowiedzialnej turystyki. Wiedzą, jak negatywne skutki społeczne, ekonomiczne i ekologiczne niesie ze sobą masowa turystyka, i chcą jeździć inaczej, poza utartym szlakiem. Unikamy sieciowych hoteli, zapewniamy noclegi u miejscowych gospodarzy, korzystamy z usług lokalnych kierowców – opowiada Małgorzata Busz z biura Barents.pl. – Poza tym coraz większa jest grupa tych, których znudziły wakacje all-inclusive w zagranicznych kurortach i chcą spróbować czegoś innego. Intensywnie podróżujący młodzi ludzie organizują sobie wyprawy do ciekawych, ale nie odwiedzanych masowo miejsc, na własną rękę. Osoby starsze, również z zasobniejszym portfelem, mają na to mniej czasu, więc korzystają z ofert biur podróży. Wśród podróżujących z nami największy odsetek stanowią osoby w wieku 40+.

SPRAWDZIĆ SIEBIE

Doktor Łopaciński zaznacza, że choć wciąż największy odsetek będą stanowili ci wybierający wypoczynek na plaży i wyjazdy do kurortów, to decydujących się na niecodzienną turystykę będzie przybywać. – W XIX w. chodziło o to, żeby być gdzieś pierwszym, potem – by dojechać jak najdalej. Jeszcze niedawno zależało nam, żeby odwiedzić miejsca kultowe. Teraz chcemy być tam, gdzie jest coś niespotykanego i skąd można przywieźć ciekawe zdjęcie, bo we współczesnym świecie zdjęcia stały się nieodłącznym elementem podróżowania – kwituje.



Tajemnicza przemiana Tomka

Szczyt popularności powieści Alfreda Szklarskiego przypada na lata 60. zeszłego wieku. FOT. EAST NEWS



Krzysztof Masłoń

Do 10 powiększyła się seria powieści podróżniczych Alfreda Szklarskiego o Tomku Wilmowskim i grupie jego przyjaciół, zapoczątkowana „Tomkiem w krainie kangurów” w roku 1957

Nakładem Muzy ukazał się właśnie „Tomek na Alasce”, firmowany dwoma nazwiskami – Macieja J. Dudziaka i nieżyjącego od roku 1992 Szklarskiego. To zresztą już drugi „Tomek”, jaki ukazał się po śmierci pisarza; wcześniej (1994) przyjaciel zmarłego, ks. Adam Zelga, sfinalizował niedokończony „Tomka w grobowcach faraonów”.

„Tomka na Alasce” Alfred Szklarski rzeczywiście planował. Pozostawił nawet jakieś zapiski, które teraz posłużyły do powstania jeszcze jednej książki z niegdyś bestsellerowego cyklu powieści dla młodych czytelników. Książki – powiedzmy od razu – marnej, w najmniejszym stopniu niewzbogacającej poczytnej serii, z fabułą mającą się nijak do historycznych realiów, pozbawioną specyficznego humoru, ze sztywnymi dialogami, nasyconą przy tym ponad miarę poprawnościowymi wtrętami.

Rzecz cała opiera się na fantastycznym pomysle odebrania Amerykanom Alaski przez rosyjskich separatystów, którzy chcą stworzyć tam odrębne państwo. Żeby było już całkiem nieprawdopodobnie, pierwsze skrzypce grają wśród nich byli katorżnicy, uciekinierzy z Kamczatki, gdzie porwali parowiec. Następnie, już na Alasce, budują wielką agenturę szpiegowską i terrorystyczną, w czym wspierają ich władze carskie (te same, które skazały ich na katorgę), Czarna Sotnia i wszechwładna w Rosji ochrana. Już tego wystarczy, by darować sobie lekturę, ale w końcu wszyscy czytaliśmy kiedyś „Tomki” nie po to, by uczyć się historii, a nawet geografii, ale dla świetnie opowiedzianych przygód z udziałem dzielnych podróżników: ojca Tomka – pana Andrzeja Wilmowskiego, Jana Smugi, a także bosmana, a potem kapitana Nowickiego i, oczywiście, samego Tomka. A że przy okazji, jakoś

mimoходом, geografia i historia same nam wchodziły do głów, to pozostanie wielką zasługą autora, wykładającego nam także lekcję patriotyzmu, jako że w każdej z książek cyklu aż roi się od historii o sławnych Polakach – wybitnych odkrywca, naukowcach, żołnierzach. Alfred Szklarski deklarował zresztą wprost, podczas pisania „Tomków” założył sobie, że o Polakach mówić będzie wyłącznie dobre rzeczy. Czyli dokładnie odwrotnie jak ci nasi pisarze współczesni, którzy uchodzą za nowoczesnych i postępowych, za co nagradzani są literackimi laurami i wychwalani przez mainstreamowe media.

BIAŁE ZAGROŻENIE

Szczyt popularności powieści Alfreda Szklarskiego przypada na lata 60. zeszłego wieku. Między rokiem 1957 a 1967 ukazało się siedem „Tomków”, a pisarz stał się ostoją Wydawnictwa Śląsk, w którym zresztą przez pewien czas – mieszkając na stałe w Katowicach – pracował. Oficyna ta, która jeszcze w 1987 r. wydała Szklarskiemu „Tomka w Gran Chaco”, z początkiem lat 90. chyliła się ku upadkowi. Wtedy właśnie w domu bardzo już chorego pisarza zjawił się... Włodzimierz Czarzasty, rozpoczynający właśnie swoją edytorską karierę i jako szef nowo powstałego Wydawnictwa Muza (z udziałem kapitałowym spółki Transakcja, będącej w istocie własnością PZPR) kupił od niego prawa do edycji „Tomków”. W 1991 r.

ukazały się już te książki pod egidą Muzy i był to strzał w dziesiątkę debiutującego na rynku wydawnictwa, które miało niebawem przeżyć swoje złote lata, gdy stało się jednym z najważniejszych w Polsce i niewiele zabrakło mu do przejścia podręcznikowego giganta – Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Ten biznes w końcu nie wypalił, Czarzasty



ALFRED SZKLARSKI, MACIEJ DUDZIAK „TOMEK NA ALASCE” MUZA 2021

W 1999 r. wycofał się z władz oficyny po powołaniu do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Redaktorem naczelnym Muzy, a potem wiceprezesem spółki Muza SA została jego żona, Małgorzata. „Tomki” były tam jeszcze wznowione w roku 1996, a niewątpliwie teraz, gdyby „Tomek na Alasce” „zaskoczył”, cała seria mogłaby znaleźć nowych czytelników, zwłaszcza że najnowszy produkt adresowany jest, jak czytamy, do odbiorców w wieku 9–12 lat.

Tomek Wilmowski jako bohater naszych czasów wydawać się może jednak nadto archaiczny, dlatego też próby dostosowania jego przygód do dzisiejszej rzeczywistości da się nawet usprawiedliwić, byle te próby nie rozmijały się z minimalnym choćby prawdopodobieństwem, no i nie obrażały inteligencji czytających. Nie da się tego, niestety, powiedzieć o „Tomku na Alasce”.

Bolał zęby od jedynie słusznych deklaracji wygłaszanych przez bohaterów, których czytelnicy zdążyli poznać jako ludzi czynu, unikających czczych deklaracji, mających zdeklarowane poglądy, nieobnoszących się jednak z nimi. Jedyne, co manifestują, to przywiązanie do polskości, dlatego niektóre ekspedycje prowadzili pod flagą biało-czerwoną, na początku XX w., kiedy rozgrywa się akcja powieści – mocno egzotycznej. Polski przecież nie było wtedy na mapach.

Teraz jednak pan Dudziak, antropolog kultury, etnolog i kulturoznawca, a okazało się, że i pisarz, wkłada w usta znanego dotąd raczej z mocnej pięści niż skłonności do filozofowania bosmana Nowickiego (w międzyczasie awansowanego do stopnia kapitana) przemowy o tym, że „gdziekolwiek pojawia się biały człowiek, tam zawsze zaczyna się śmierć, wyzysk i niewola”.

UZASADNIONA NIENAWIŚĆ

„W dawnych »Tomkach« – pisze na portalu pch24.pl Andrzej Solak – żadna rasa ani narodowość nie miały monopolu na dobro, ani na zło. Dla odmiany w »Tomku na Alasce« oglądamy monolit szlachetnych tubylców, monolit zbrodniczych Rosjan, wreszcie białą rasę brutalnie eksploatującą i dewastującą Ziemię (z wyjątkiem kilku osobników dokonujących rytualnego samobiczowania). Na kartach powieści sączona jest agresywna, jednostronna tyrada przeciw białemu człowiekowi. Tomek peroruje z patosem w duchu współczesnego lewackiego rasizmu: »Teraz wydaje mi się,

że największym zagrożeniem nie tylko dla was Indian, ale dla tego świata, dla tej przyrody jest biały człowiek«”.

Niby nic nowego... Już w pierwszej części cyklu Szklarskiego ojciec Tomka Wilmowskiego poucza go: „Europejczycy nigdy nie przebiegali w środkach, zagarniając nowe kontynenty. Ludność miejscowa zawsze musiała ustępować z najlepszych ziem i podporządkowywać się całkowicie ich woli lub ginąć. Krajowców, którzy mieli odwagę upominać się o swe słuszne prawa, mordowano bez litości, oskarżając o dzikość, wrogość i brak kultury. Tak się działo w Afryce, Ameryce oraz w Australii i Tasmanii”.

W książce „Tomek u źródeł Amazonki” znajdujący się w śmiertelnym niebezpieczeństwie Smuda, „nie żywił wrogości do czerwonoskórych wojowników. Rozumiał, że ich nienawiść do białych ludzi była uzasadniona. Oni przecież widzieli w nim tylko białego człowieka, który sprowadził na nich tyle nieszczęść”. Tomek natomiast zauważa, że „u nas w kraju ziemia przeważnie jeszcze należy do obszarników, a tutaj jest jej pod dostatkiem”, tyle że bosman Nowicki kontruje to, skądinąd prawdziwe w 1908 r. zdanie, retorycznym pytaniem: „Po jakie lichy polscy chłopcy tak pchają się do tej Brazylii? Nędzne tu życie i bieda aż piszczą”. W kontynuacji powieści, ostatniej wydanej za życia autora, czyli w „Tomku w Gran Chaco”, współzucie tego samego Nowickiego dla Indian uzasadnione jest faktem, że „jego ukochana ojczyzna również już od przeszło stu lat była okupowana przez trzech znienawidzonych zaborców”. I o to właśnie chodziło!

Także o takie stwierdzenie kuzyna Tomka, Zbyszka Karskiego z tego samego tomu: „Od przeszło stu lat zaborcy usiłują nas wynarodowić, tępią język polski, wszędzie roi się od szpicli, patriotów wieszają bądź wywożą na Sybir, my jednak nie zatracamy swojej odrębności narodowej. Kwitnie tajne nauczanie, gdy nadarzy się okazja, chwytamy za broń i hojnie płacimy daninę krwi, a mimo to codzienne życie toczy się swoim trybem!”.

KROKODYLOWE ŁZY

Bohaterowie serii przygód z Tomkiem w tytule są zawodowymi łowcami zwierząt, współpracując głównie z niemieckim handlarzem Hagenbeckiem. Okazy egzotycznej fauny dostarczają do ogrodów zoologicznych, wykonując rów-

nież innego rodzaju zlecenia (w „Tomku na Alasce” badają złoża naturalne Alaski, które zamierza eksploatować Rockefeller). Zwierząt nie zabijają, chyba że w obronie życia, zgodnie z zasadą wyartykułowaną przez Smudę już w pierwszym tomie cyklu: „Bezmyślne zabijanie dzikich zwierząt jest zwykłym barbarzyństwem”.

Co innego jednak wierność przyjętym zasadom, a co innego czułość wobec wzięcia z innej epoki. Nowicki, chłop twardy, gdy trzeba, bez wahania sięgający po broń, nagle zaczyna się użalać nad zabijanymi wielorybami. Tomek, widząc szczątki zwierzyny w spalonym lesie, roni łzy niczym Szymon Hołownia nad konstytucją.

„Tomek na Alasce” usiłuje się poza tym, a może przede wszystkim, wpisać w działania antyreligijne czy może dokładniej – antychrześcijańskie. Jest to tym bardziej przykre, że we wcześniejszych tomach wierzenia ludów zamieszkujących Afrykę, Azję czy Amerykę wprawdzie traktowane są przez polskich podróżników z respektem, gdy jednak w „Tomku na Czarnym Łądzie” młody Murzyn Sambo, pochodzący z plemienia zamieszkującego Ugandę, zamierza złożyć ofiarę złym duchom, Tomek napomina go: „Dlaczego składasz ofiarę złym duchom? Przecież to grzech! Módl się do jednego i sprawiedliwego Boga, a nie stanie ci się żadna krzywda”.

Teraz jednak kapitan Nowicki, ze swoimi przodkami w Jabłonnie i wychowaniem na warszawskim Powiślu, prosi o modlitwę „każdego do własnego Boga”, a Tomek użala się nad poganami, że „zabieramy im wiarę we własnych bogów”. Szczycem wszystkiego jest utożsamienie prawosławnego krzyża z symbolem oprawców.

A żeby nie było za poważnie, to dodajmy jeszcze, że Tomek, który odkąd opuścił Warszawę, wspominał głównie Ogród Botaniczny i Łazienki, nagle zachwyca się warszawską synagogą i rabinackim liberalizmem. Co do treści „Tomka na Alasce” ma się to jak... No, w ogóle się nie ma.

ŚLADAMI STASIA I NEL

Edycja jeszcze jednego „Tomka” – sama w sobie bez większego znaczenia – jest okazją do przypomnienia postaci autora cyklu, bynajmniej niejednoznacznej. Urodził się w 1912 r. w Chicago, był synem zmuszonego do emigracji

działacza PPS. Do Polski Alfred Szklarski wrócił jako 16-latek, studiował w Szkole Nauk Politycznych. 1 września 1939 r. się ożenił. W tym samym roku zadebiutował, jako Alfred Murawski, „Wróżbą”. W czasie okupacji współpracował z koncesjonowanymi przez Niemców pismami, publikując w nich opowiadania i powieści o tematyce sensacyjnej i erotycznej. Wziął udział w Powstaniu Warszawskim, po upadku którego zamieszkał na krótko w Krakowie, by następnie przenieść się do Katowic, gdzie osiadł już na stałe.

Po wojnie, pod innymi pseudonimami, wydawał kolejne książki, raczej dla dorosłych i bez większego powodzenia. W 1949 r. został skazany na osiem lat więzienia za współpracę z prasą gadzinową: tygodnikami „7 dni” i „Fala”, a przede wszystkim z „Nowym Kurierem Warszawskim”, za co już wcześniej władze konspiracyjne

pisarza. Nawiasem mówiąc, Szklarski pisał o dalekich podróżach, nie ruszając się z domu. Jego książki zawsze miały solidny podkład historyczny i geograficzny, ale powstawały za biurkiem. A jakie były? Autor „Tomków” powtarzał, że zawsze chciał pisać takie książki, które sam chętnie czytał.

Jeśli dodamy tu, że w komunistycznej Polsce granice były na ogół „nieprzejezdne”, rozumiała stąd się czytelniczka tęsknota za literaturą podróżniczą i przygodową, za tchnieniem wielkiego świata, za egzotyką. Właśnie na nią odpowiadał Szklarski, pełną garścią czerpiąc zresztą z klasyki takiej literatury, na czele z „W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza, dziś przez poprawnościowych oszołomów uznawaną za klasykę literatury kolonialnej.

W samej postaci Tomka Wilmowskiego znajdujemy wiele podobieństw

myśliwych, bez umiaru strzelających do wszystkiego, co ma cztery łapy, a i – prościej wybaczyć kolejność – za kobietami, w wielu plemionach pełniących funkcje niewolnicze. Generalnie, mimo wyraźnych akcentów antyrosyjskich (naturalnie, antycarskich) i z lekka antyangielskich, Szklarski dzieli ludzi na dobrych i złych, w zasadzie niezależnie od nacji. Poza nacją polską, bo w tej – jak już zostało powiedziane – zła nie uświadczymy.

W rzeczywistości PRL-owskiej bezboleśnie lykalimy historie wymyślone i opowiadane przez Szklarskiego, co więcej – z uznaniem przyjmowano rozsiane w całym cyklu informacje ukazujące prawdziwą twarz rosyjskiego zaborcy, bo w edukacji szkolnej obowiązywał wtedy wzorzec „przyjaciela Moskale”. A wszystkie akcenty brzmiące dziś poprawnościowo tłumaczyły względy edukacyjne. W końcu propagandy kolonializmu nikt nie miał zamiaru uprawiać, a ochrona przyrody wydawała się z polityką nie mieć nic wspólnego.

Ale że porobiło się tak, jak jest, oczami wyobraźni widzę już kolejne „Tomki”. Alfred Szklarski nie wykluczał przecież dalszych tomów, na które, po prostu, życia mu nie starczyło. Naturalnym zwieńczeniem przygód Tomka Wilmowskiego powinien być przecież jego powrót do wolnej od zaborców Warszawy. Piórami antropologów (co za cholera, że co drugi nadmiernie skory do redefiniowania polskości ma takie właśnie wykształcenie) można będzie opisać nędzę chłopów traktowanych jak niewolników, ucisk Ukraińców, Berezę Kartuską i polski antysemityzm, a dalej to już nawet nie chcę się zapędzać w podrzucaniu podobnych, jakże nośnych tematów. Do tego dołoży się problemy bohaterów z identyfikacją płciową: kapitan Nowicki, jak można się tego spodziewać, zwiąże się z Tomkiem, którego skrycie kochał od zawsze, porzucana Sally znajdzie ukojenie w ramionach Nataszy i zostanie ikoną feminizmu, zaś Zbyszek wstrząśnięty tymi wszystkimi wypadkami powróci do Ameryki Południowej, znajdzie pracę w banku, wejdzie w krąg argentyńskich gejów i zostanie najwybitniejszym polskim pisarzem. To, że wszyscy przejdą na weganizm, jest oczywiste.

Czytelnicy przywiązani do dawnych „Tomków” losem starszego pana Wilmowskiego, Smudy, a zwłaszcza psa Dingo nie powinni się martwić. W „Tomku na Alasce” już ich nie ma. Ssensu także.

„Tomek na Alasce” usiłuje się wpisać w działania antyreligijne czy może dokładniej – antychrześcijańskie

wymierzyły mu karę infamii, co zostało ogłoszone w „Biuletynie Informacyjnym”.

Wyjaśnienia Szklarskiego, że w redakcjach pism gadzinowych znalazł się, wykonując rozkazy swoich konspiracyjnych dowódców, nie znalazły potwierdzenia, faktem jest jednak jego walka w powstaniu, gdzie był strzelcem ochotnikiem w II Plutonie Kompanii Lotniczej Batalionu „Piorun” w Zgrupowaniu „Zaremba-Piorun” Armii Krajowej. Budzi też zdumienie wysoki wyrok wydany za kolaborację z okupantem, sprowadzającą się do druku apolitycznych tekstów – było nie było – literackich, nawet jeśli były one niskich lotów. W tym samym czasie – zauważmy – ci wszyscy ludzie pióra, którzy publikowali zaprzańskie, antynarodowe artykuły, wiersze i opowiadania w tytułach ukazujących się za przyzwoleniem drugiego okupanta – sowieckiego, otrzymywali nagrody, wydawano im książki w wysokich nakładach, stali się elitą Polski Ludowej.

Alfred Szklarski siedział w więzieniu prawie pięć lat, zwolniony został w wyniku amnestii. Podjął pracę w Wydawnictwie Śląsk, postanowił też pisać odtąd wyłącznie dla młodzieży. I tak doszło do narodzin cyklu o Tomku Wilmowskim, który stać się miał wizytówką

do Sienkiewiczowskiego Stasia Tarkowskiego, Sally do Nel, a nawet psa Dingo do Saby. Proza Sienkiewicza odciska się w „Tomkach” wielokrotnie, a dotyczy to także innych powieści naszego noblisty, na czele z „Potopem”, o którym opowiada Smudze kapitan Nowicki w „Tomku w Gran Chaco”. Z kolei w „Tajemniczej wyprawie Tomka” kłania się nam Bolesław Prus i jego „Lalka”, z której Szklarski „pożyczył” scenę pojedynku Wokulskiego z baronem Krzeszowskim, by w identyczny sposób (strzał prosto w zamek pistoletu) rozwiązać spor Tomka ze sztabskapitanem Gołosowem. Ale to sprawa marginesowa.

ULUBIONY CIĄG DALSZY

Generalnie nad dziwactwami i głupstwami nowego-starego „Tomka na Alasce” przejść można by do porządku dziennego, gdyby nie wspomagały one działań sprowadzających literaturę polską do karykatury. Nieprzypadkowo wielokrotnie odwoływałem się w tym tekście do przykładów z dawnych „Tomków”, które przecież też ujmowały się za ciemieźnymi tubylcami, wyzyskiwanymi, a często i mordowanymi przez kolonizatorów, za zwierzętami tępiącymi przez rzekomych



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Jutro była wojna



★★★★★

REŻ. CHRIS
MCKAY„WOJNA O JUTRO”
(„THE TOMORROW
WAR”)
USA 2020,
AMAZON PRIMEwyst. Chris Pratt,
Yvonne Strahovski

Miał to być przedświąteczny hit końcówki minionego roku (akcja rozpoczyna się w Boże Narodzenie dwa lata później), ale z powodu pandemii trafił do widzów dopiero teraz. I nie na ekrany kin, ale do serwisu Amazon Prime. Dla reżysera Chrisa McKaya to pierwsze wyjście poza świat animacji (ma w dorobku „LEGO® BATMAN: FILM”). Efekt jest umiarkowanie pomyślny, a odbiór zależy od obyczajów widzów. Kto potrafił wyłączyć myślenie przy „Dniu Niepodległości” albo nowym „Predatorze”, ten będzie się bawił niezłe. Kto lubi, żeby kinowa fantastyka prócz rozrywki przynosiła nieco logiki, ten mocno się rozczaruje.

Jedni i drudzy zauważają, że „Wojna o jutro” sklejona jest z kawałków innych historii. „Na skraju jutra”, „Bitwa o Los Angeles”, „Terminator”, a nawet (pod koniec) „The Thing” i „Obcy” – wszystko to (i więcej) przychodzi na myśl, gdy oglądamy zmagania niedobitków ludzkości z inwazją krwiożerczych obcych. Wojna toczona jest w odległej o dwie dekady przyszłości i mocno bierzemy w skórę. By zwiększyć szanse na przetrwanie, przyszli dowódcy sięgają poprzez portal czasowy do naszych czasów, prosząc o pomoc (czyli wsparcie w ludziach). Wkrótce rządy całego świata ogłaszają pobór, ale mało kto wraca

z przyszłości, a sytuacja i tak staje się coraz trudniejsza – na obydwu planach czasowych.

W centrum tej opowieści znajduje się nie wojna z obcymi, ale relacje między rodzicami a dziećmi, przede wszystkim między głównym bohaterem i jego córką (co przypomina z kolei „Interstellar”) oraz jego wyobcowanym ojcem (świetny J.K. Simmons). Jak to zwykle bywa z popcorn movies, „Wojna o jutro” rozpęda się, gdy oglądamy sceny akcji, a twórcy nie zapominają o przyprawieniu ich humorem. Tam, gdzie zaczyna się psychologizowanie, rzecz robi się męcząca i okrutnie sztampowa. Cały film natomiast zdaje się za długi o pół godziny i w wielu partiach opowiedziany bez wigoru. Kto narzekał kilka lat temu (ja nie!) na superprodukcję „Na skraju jutra” z Tomem Cruisem, ten po obejrzeniu „Wojny o jutro” Chrisa McKaya dojdzie do wniosku, że film Douga Limana był – w tym porównaniu – dziełem wybitnym. Popkultura zżera od dłuższego czasu własny ogon, tym razem danie przyprawione jest średnio i niedosmaczone. ©©



NOWE SERIALE: „POGOŃ ZA MIŁOŚCIĄ”

Trzyczęściowy miniserial produkcji BBC to ekranizacja popularnej powieści Nancy Mitford. Opowieść o dwóch kuzynkach poszukujących prawdziwej miłości w czasach niezbyt sprzyjających kobiecej niezależności i przedsiębiorczości (zaczynamy w międzywojniu, finał nadejdzie podczas niemieckich bombardowań Londynu). Książka Mitford

była przenikliwą satyrą społeczną, serial to bardziej opowieść z feministycznymi narzekaniami na złych samców. Produkcja trzyma jednak poziom. ©© **Piotr Gociek**
• reż. Emily Mortimer „Pogoń za miłością” („The Pursuit of Love”), Wielka Brytania 2021, wyst. Lily James, Emily Beecham

prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Stéphane Demoustier „Dziewczyna z bransoletką” („La fille au bracelet”), Francja 2019
- sezon 1 „Jego królestwo” („El Reino”) Argentyna 2021
- sezon 1 „Mr Corman”, USA 2021

CINEMA

apple tv+

Przystanek Alaska



Natura ciągnie człowieka w las, lecz biada temu, kto syreniego śpiewu posłucha. Chris McCandless, dobrze zapoziwiający się młodzieniec, pod wpływem lektury dzieł Byrona, Tolstoja, Londona tudzież XIX-wiecznych transcendentalistów porzucił rodzinę, studia i przeżarte hipokryzją społeczeństwo. Rozdał pieniądze, spalił dokumenty i wyruszył tradycyjnym szlakiem buntowników na zachód, potem zaś zapragnął sprawdzić się na dalekiej północy, w dzikich okolicznościach przyrody. Dla jednych był idealistą, szukającym prawdy i prawdziwej wolności, dla innych awanturnikiem z genem autodestrukcji. Rzecz działa się w epoce grunge'u, jednak dziś też nie

brak fanów i naśladowców „Alexa Supertrampa”, próbujących żyć za pan brat z naturą.

Jeśli myśl o karierze, kompromisach i ustatkowaniu się napawa cię wstrętem, wierzysz w samodoskonalenie, tęsknisz za przygodą – to jest kino dla ciebie. Sean Penn nie oparł się pokusie, by postać i perypetie „duchowego rewolucjonisty” uromantyczyć i upiększyć. No cóż, pochwała outsiderstwa jest mocno zakorzeniona w amerykańskiej kulturze. Nie zmienia to faktu, że film zapada w pamięć i prowokuje do dyskusji. Czy ucieczka od cywilizacji jest również buntem przeciwko zdrowemu rozsądkowi? Czy pościg za marzeniami zawsze kończy się kapitulacją? Oto są pytania. ©

Wiesław Chełminiak



★★★★★
„WSZYSTKO ZA ŻYCIE” („INTO THE WILD”)
USA 2007

wyst. Emile Hirsch,
Catherine Keener,
Hal Holbrook



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POPOŁUDNIE FAUNA

KINO



★★★★★
REŻ. JAN JAKUB KOLSKI
„REPUBLIKA DZIECI”
POLSKA 2021

wyst. Karolina Rzepa, Łukasz Simlat,
Olgięder Łukaszewicz, Mateusz Grys

Jan Jakub Kolksi wyrpawlił się do familijnej krainy zwanej Mszarami, ale GPS znów zawiódł i reżyser fatalnie się pogubił. Po-mysł zły nie był. Nawiązać do „Hobbita” i „Króla Maciusia”, wesprzeć się wyobraźnią młodopolskich artystów, popłynąć z ro-snącym w siłę, ekologicz-nym nurtem – to mogło wypalić. W „Republice dzieci” nic się jednak nie klei. Zamiast szczypty magicznego realizmu dostaliśmy worek banałów i nonsensów, rwaną, irytującą powolną narrację oraz grubo ciosane postacie. Z małoletnich aktorów egzamin zdał tylko Mateusz Grys, zaś weterani, odkrywcy, jak mało mają do zagrania, po prostu się wygłupiają. Szkoda zmarnowa-nego wysiłku scenografów, kostiumografów tudzież charakteryzatorów. Rusalki, fauny, utopce i chimery nigdy nie wyglądały lepiej. Zabłąkanych widzów pocieszy również uroda Stawów Milickich i Gór Stołowych. Jeśli tak ma wyglądać „świat zapasowy”, to apokalipsy już się nie boję.

OCZAMI NASTOLATKÓW

vod.pl



★★★★★
REŻ. PAWEŁ KĘDZERSKI
„POWSTANIE ZWYKŁYCH LUDZI”
POLSKA 2004

Zbliża się moment, gdy umrą ostatni świadkowie i o Powstaniu Warszawskim będzie już można pleść wszystko, co ślina na język przyniesie. Siedemnaście lat temu Paweł Kędzierski usta-wił kamerę przed ludźmi, którzy nie walczyli z Niemcami, lecz za rozpaczliwą próbę ratowania suwerenności zapłacili cenę najwyższą. W 1944 r. byli młodzi i bardzo młodzi. Wybuch powstania przyjęli z entuzjazmem, nie wiedzieli, że mocarstwa już zdecydowały o losie Polski. Dziwili się, że Niemcy zamiast uciekać, wściekle kontratakują, a wokół coraz gęściej padają ranni i zabici cywile. Wspomnień naocznych świadków zbrodni, gwałtów i rabunków, gnanych przed czołgami, ukrywających się w piwnicach, głodujących, cudem ocalonych powinni przymusowo wysłuchać wszyscy, którzy sądzą, że taka tragedia już nigdy więcej się nie powtórzy, boiska i podwórka nie zamieniają się w cmentarze, zaś Warszawa jest tak samo wieczna jak Rzym. ©

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „WIEDZMIN: POGROMCA POTWORÓW”

„Ta piosenka jest śpiewana dla pieniędzy... Nie bądźmy naiwni, wiadomo, w jakim celu robi się dziś gry, nawet te „free to play”. Można jednak sięgać po karty kredytowe graczy w sposób subtelny, a można robić tak, by bez mikropłatności grało się dość uciążliwie. Twórcy mobilnego, wykorzy-

stującego rozszerzoną rzeczywistość „Wiedźmina”, czyli Spokko z grupy CD Projekt, poszli raczej w tym drugim kierunku. I jest to jeden z najpoważniejszych zarzutów stawianych ich dziełu. Bez płacenia da się jednak grać, a „Pogromca potworów” ma potencjał i potrafi wciągnąć. Warto



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dać mu szansę choćby po to, by mieć motywację do ruchu. Grając, trzeba się ruszyć z kanapy. ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** Mobilne RPG, AR
• **Platforma:** Android, iOS
• **Producent, wydawca PL:** Spokko, CD Projekt

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wojenna tragifarsa

Absurd wojny domowej ukazany został w powieści chorwackiego pisarza i dziennikarza Borisa Dežulovicia w całej swej okazałości. Oto w czasie wojny w Bośni i Hercegowinie kilku członków chorwackiego oddziału do zadań specjalnych otrzymało zadanie zebrania informacji o przegrupowaniu nieprzyjacielskich wojsk i w tym celu przebrało się we wrogie mundury, udając tych, kim nie są. Bardzo szybko doszli do przekonania, że przyszło im się mierzyć z przeciwnikiem stosującym tę samą mistyfikację. Nie byli jednak pewni jednego: czy to aby na pewno są przeciwnicy...

Co wiązało tych młodych ludzi w 1993 r., gdy ni z tego, ni z owego stali się ważnymi postaciami teatru wojny? Mieli różne pochodzenie, różnili się też wiarą, ale podobne były ich doświadczenia szkolne, sportowe, erotyczne. Żyli na tej samej prowincji, słuchali tej samej muzyki – punk rocka, po 10 razy chodzili do kina na „Wejście smoka”, marzyli o karierze zawodowego futbolisty (w ich rozmowach pojawiają się nazwiska gwiazd Juventusu Turyn – Platini i Bońka), a najchętniej wyjechaliby do Ameryki. Tak naprawdę niczym się nie różnili od swoich rówieśników, choćby z Polski, tyle że nam nie zafundowano wojny domowej, poprzestając na stanie wojennym. Im zaś i owszem.

Ci chłopcy dokonywali na wojnie czynów heroicznych, a jakże. Na przykład „Papac i Kołek w vukovarskim piekle zostali ranni i na kanwie tego wydarzenia stworzyli w rodzinnym mieście legendę o błagojewickich bohaterach Vukovaru, przez co wszyscy schodzili im z drogi i stawiali w barze kolejki”, jak to zwykle z bohaterami bywa. Z czasem, gdy kombatantkie wspomnienia



FOT. TANJA DRAŠIĆ SVIČ

rozrastały się w ich ustach do rozmiarów istic epickich, słuchacze tych opowieści jak jeden mąż byli przekonani, że ich ziomkowie sami powstrzymali wrogie wojsko, unicestwiając nawet jego siły powietrzne.

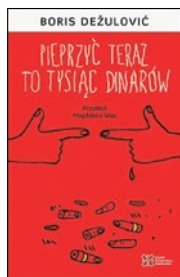
„To zaś, o czym w Błagojevcu nie wiedzano – wyjaśnia autor – to to, że Papac i Kołek w Vukovarze spędzili właściwie tylko pięć dni, jeszcze nim pierwszy granat spadł na miasto, że dostali tam cztery obiady, dwie pary wysokich butów z Borova i emblematy 214. Brygady Vukovarskiej, że przez wszystkie te dni razem z dziesięcioma Hercegowińczykami spali w jakiejś szkole i na coś czekali, nikt w zasadzie nie wiedział na co, że w końcu zamiast stingera lub osy Papac dostał do dyspozycji jakieś przestarzałe kombi i że akcja specjalna, podczas której razem z Kołkiem zostali ranni, polegała w istocie na tym, by kombi pełne brudnych żołnierskich gaci i skarpet odwieźć do pralni chemicznej przy Dalmatyńskiej”.

W powieści Borisa Dežulovicia słychać echo i „Paragrafu 22” Josepha Hellera, i „Przygód dobrego wojaka Szwejka” Jarosława Haška. I seitek innych książek w podobny sposób opowiadających o wojnie, bez wielkich słów, z humorem,

językiem potocznym, w tym wypadku do przesady wulgarnym. Kompletnie to nie razi, w armii w końcu k..... rzuca się na okrągło i trudno wymagać od nie za mądrych, najdelikatniej rzecz ujmując, żołnierzy, by usiłując wyjść cało z opresji, w jakich się znaleźli, prowadzili akademickie dysputy. Toteż Pako i Papac, Kołek i Zagor, a także ich, przynajmniej potencjalni, antagoniści – Dzio, Cygo czy Wungiel pieprzą jak potłuczoni, głównie o dziewczynach, piłce, ale i o wojnie. Na którą trafili, na ogół, przez pomyłkę. Tylko że ta pomyłka okazać się miała niesłuchanie kosztowna.

Zanim udratyzowana przez Dežulovicia prawdziwa (!) historia ukaże cały swój tragizm, zaśmiewamy się, czytając np. o przemytniku o pseudonimie Chińczyk, który wzbogacił się na „słynnym handlu czetnickimi, ustaszowskimi i mudžahedińskimi insygniami. Oznakowania wojskowe kupowali członkowie wszystkich trzech zwaśnionych armii, żeby po całej Gracanickiej krainie chwalić się przy piwie wojennymi trofeami, takimi jak nieprzyjacielskie flagi, emblematy i kasetki, czetnickie kokardy i ustaszowskie szachownice oraz niezrozumiałe kaligrafowane arabskie rebusy, które w odróżnieniu od kokard i szachownic kupowali zarówno żołnierze wojsk nieprzyjacielskich, jak i sami muzułmanie. Żaden z nich, naturalnie, nie miał pojęcia, że emblematy i taśmy z groźnym mudžahedińskim wezwaniem do świętej wojny to w rzeczywistości logo jakiejś libańskiej restauracji, której wizytówkę Chińczyk przywiózł z jednej ze swoich podróży”.

Ta restauracja nazywała się Pod Trzema Wesołymi Owieczkami. Ale wydana przez oficynę Sedno książka wesoła nie jest. Wręcz przeciwnie. ©©



★★★★★
BORIS DEŽULOVIĆ
„PIEPRZYĆ TERAZ TO TYSIĄC DINARÓW”
SEDNO
WYDAWNICTWO
AKADEMICKIE,
WARSZAWA 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

A ty skąd jesteś?

Shaun Tan jest geniuszem powieści graficznej. Osiągnąć ma wiele: okładki, ilustracje, komiksy, książki dla dzieci, także animacja – zdobył Oscara za adaptację własnej krótkiej powieści graficznej „Zguba”.

„Przybysz” to chyba jego najważniejsze dzieło, obsypane nagrodami (m.in. uznane za najlepszy komiks roku na najważniejszym branżowym festiwalu w Angoulême); dzieło tak udane i nietypowe, że aż nie wiem, od czego zacząć. Przede wszystkim mamy do czynienia z opowieścią w pełni obrazkową: w „Przybyszu” nie ma ani słowa, stworzony jest jedynie z kadrów, niczym dawne wielkie osiągnięcia kina niemego. W niczym nie przeszkadza to podczas lektury, co więcej, to milczenie potęguje jeszcze efekt, jaki wywiera na nas opowieść.

Świat, w którym rozgrywa się akcja „Przybysza”, jest odrealniony, robi wrażenie snu, który śnią wspólnie autor, czytelnik i bohaterowie. Zamiast zwierząt domowych oglądamy dziwne stworki, architektura oglądanych miast przypomina zarazem dzieła surrealistów i kubistów (a chwilami niemiecki ekspre-

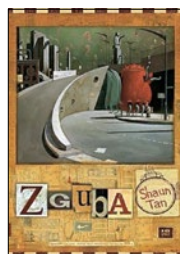
sjonizm). Jednocześnie świat „Przybysza” jest bardzo realny i niemal namacalny, bo są w nim też sepiowe kadry przypominające stare fotografie (często zresztą taki materiał fotograficzny był podstawą rysunków).

Jest to saga o emigracji zbudowana ze wspomnień i anegdot rodzin z rozmaitych części świata. Shaun Tan, którego ojciec przybył do Australii z Malezji, zbierał materiały do „Przybysza” przez cztery lata. Na wyklejkach komiksu widzimy kilkadziesiąt portretów prawdziwych emigrantów, ale to nie jest

komiks historyczny, lecz wielka metafora. Można oczywiście doszukiwać się w dziejach poszczególnych bohaterów inspiracji prawdziwymi miejscami i wydarzeniami, to nie jest jednak powieść z kluczem, tylko najsmaczniejszy rodzaj fantazji: fantazja wywiedziona z rzeczywistości, a poprzez nałożenie fantastycznego filtra wzmacniająca jeszcze wrażenie, że mamy do czynienia z prawdziwymi emocjami. Potrafi to niewielu pisarzy, a twórców komiksów – jeszcze mniej. Shaun Tan jest dla mnie jednym z wielkich artystów XXI stulecia. Aż mi wstyd, że piszę o nim dopiero teraz. ©©



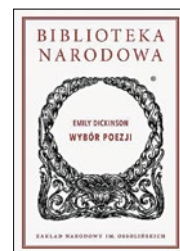
★★★★★
SHAUN TAN
„PRZYBYSZ”
KULTURA GNIWU
2021



★★★★★
SHAUN TAN
„ZGUBA”
KULTURA GNIWU
2021

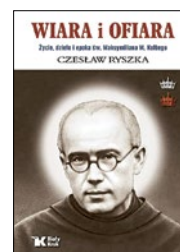
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Obszerny zbiór utworów amerykańskiej poetki w wyborze i układzie Agnieszki Salskiej. Szczególnie ciekawy fragment jej eseju dotyczy polskich przekładów i recepcji twórczości Dickinson. Nowość Biblioteki Narodowej.



EMILY DICKINSON
„WYBÓR POEZJI”
OSSOLINEUM

„Życie, dzieło i epoka św. Maksymiliana M. Kolbego” – prócz rysu biograficznego także sporo o współczesności: o kulcie „totalnego świętego” (jak nazywa go Ryszka) i znaczeniu pamięci o ojcu Kolbem w XXI w.



CZESŁAW RYSZKA
„WIARA I OFIARA”
BIAŁY KRUK

Droga Edwarda Popielskiego wiedzie tym razem do Wolnego Miasta Gdańska. Jest rok 1933, trup ściele się gęsto, a Abwehra zastawia pułapki. Mistrz polskiego kryminału retro i jego nowa powieść z podcyklu szpiegowskiego.



MAREK KRAJEWSKI
„MIASTO SZPIEGÓW”
ZNAK

Wbrew hasłu z okładki nie idzie o „Świat bez wody”, lecz o katastrofalną suszę w Kalifornii. Opowieść, która zdaje się być ekologicznym thrillerem, ma jednak także drugie dno – nic dziwnego, skoro autorem jest znany spec od horroru ©©



GRAHAM MASTERTON
„SUSZA”
REBIS

poleca Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„FISTASZKI ZEBRANE”
Klasyka nad klasykami, czyli „Fistaszki zebrane”, tom przedostatni sagi powstającej przez pół wieku, zawierający paski z lat 1997–1998. A w nich między innymi szajka fałszerzy autografów, kościół Wielkiej Dyni i prawo jazdy dla Snoopy’ego. Przy okazji tego ostatniego: warto zwrócić uwagę także na dwie wspaniałe serie animowane na podstawie arcydzieła humoru amerykańskiego



CHARLES M. SCHULZ
„FISTASZKI ZEBRANE 1997–1998”
NASZA KSIĘGARNIA 2021

mistrza. W Apple TV+ dostępne są serie inspirowane historyjkami Schulza: „Snoopy in Space” oraz „The Snoopy Show”. Cudna animacja, wielkie serce i wiele ciepła – czyli to, co w komiksowym oryginale. ©©

poleca Piotr Gociek

Co miesiąc jeden utwór. I tak od stycznia do września, kiedy to z dziewięciu wypuszczanych w każdy ostatni piątek miesiąca piosenek zbierze się cała płyta. Taki sposób na wydanie debiutanckiego krążka wymyśliło sobie warszawskie trio Pozory.

– Ta płyta powstała już w marcu 2020 r. Mieliśmy plan, żeby wypuścić ją w całości w kwietniu. Tylko że przyszła pandemia i nie było sensu tego robić, ponieważ nie moglibyśmy zagrać żadnego koncertu i wyjść do słuchaczy – tłumaczył na antenie Radia Koszalin gitarzysta i wokalista zespołu Michał Ochijewicz. – Ten projekt trochę przeleżał i to chyba dobrze, że tak się stało, ponieważ mogliśmy się zastanowić nad tym, co zrobić, żeby te piosenki nie zginęły. Dużo dobrych zespołów,



Dziewięć miesięcy Pozorów

dużo naszych znajomych wypuszcza cały album naraz i on przepada, on się znajduje później na cmentarzysku na Spotify – dodaje.

Zespół w obecnym składzie – Michał Ochijewicz na gitarze i wokalu, Maciej Dawidczyk na basie i Jan

Wojnar na perkusji – działa od 2019 r., ale muzycy go tworzący grali ze sobą już wcześniej. – Mieliśmy swoje mniejsze i większe sukcesy, ale nie mieliśmy do końca pomysłu, jak w muzyce funkcjonować. Na przełomie lat 2018 i 2019 odszedł od

nas gitarzystę. Przez jakiś czas szukaliśmy kogoś, ale stwierdziliśmy, że najlepiej to działa, jeśli gramy we trzech – mówi Michał Ochijewicz.

Powstająca przez dziewięć miesięcy płyta będzie nosić tytuł „Wahania”. ©

Radosław Wojtas



Pierwszy



*Grzegorz
Brzozowicz*

W sobotę 31 lipca 2021 r. w swoim domu w Warszawie o godz. 12.39 zmarł Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz. Pionier polskiego jazzu i wybitny kompozytor muzyki filmowej. Miał 93 lata.

Urodził się 10 kwietnia 1928 r. w Jaśle. Wojenne dzieciństwo spędził we Lwowie, skąd w 1944 r. wraz z rodzicami przeniósł się do Krakowa. Tam dwa lata później zaczął grać na klawirze i saksofonie. Wirus zachodniej muzyki zainfekował go

tak mocno, że założył pierwszy profesjonalny krajowy zespół jazzowy Melomani (’50). Jak łodolamacz torował w Polsce drogę wraz z socrealizmowi dźwiękom. Występował z zespołem na nielegalnych „katakumbowych” koncertach, na pierwszych krakowskich „Zaduszkach Jazzowych” (’54), pierwszym Festiwalu Muzyki Jazzowej w Sopocie (’56), pierwszym jazzowym koncercie w Filharmonii Narodowej (’58)...

Wcześniej, w 1949 r., rozpoczął studia na wydziale operatorskim nowo powstałej łódzkiej Szkoły Filmowej. Kolegami Matuszkiewicza na roku byli: Andrzej Wajda, Roman Polański, Janusz Morgenstern, Kazi-

mierz Kutz, Jerzy Wójcik czy Witold Sobociński (jeden z Melomanów). Nie dziwota zatem, że najwybitniejsi przedstawiciele polskiej szkoły filmowej w ścieżkach dźwiękowych swoich obrazów postawili na jazz.

„Duduś” (przydomek nawiązywał do cyklu rysunków Gwidona Miklaszewskiego „Ojciec i syn”; puszysty syn niewielkiego wzrostu z wielką głową przypominał jazzmana) zadebiutował jako kompozytor muzyki filmowej w 1963 r. w filmie „Dwa zebra Adama” Janusza Morgensterna. I już w pierwszym obrazie uwidoczniła się nieprawdopodobna zdolność Matuszkiewicza do pisania tematów błyskawicznie wpadających w ucho. Debiut przyniósł przebój „Piosenka z przedmieścia” ze szlagwortem „Nie dla nas sznur samochodów”.

W następnych latach kompozytor zauroczył wszystkich tematami przewodnimi z seriali: „Stawka większa niż życie”, „Alternatywy 4”, „Czterdziestolatek”, „Janosik”, „Wojna domowa”, „Kolumbowie”, „Podróż za jeden uśmiech” czy filmów „Nie lubię poniedziałku”, „Zakłète rewiry”, „Poszukiwany, poszukiwana” i „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”.

Utwory napisane przez Matuszkiewicza nuciła cała Polska, bo „Duduś” komponował również muzykę do tak popularnych piosenek jak m.in.: „Zakochani są wśród nas”, „W siną dal”, „Tak bym chciała kochać już”, „Jeszcze w zielone gramy” czy „Tylko wróć”. Wykonywali je: Kalina Jędrusik, Irena Santor, Wojciech Młynarski, Iga Cembrzyńska, Bogdan Łazuka oraz Hanna Banaszak, którą Matuszkiewicz uważał za królową polskiej piosenki.

W 1997 r. Jerzy Matuszkiewicz został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, w 2002 r. otrzymał Grand Prix na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu za muzykę do seriali telewizyjnych, cztery lata później Diamentową Tarkę na Międzynarodowym Festiwalu Jazzu Tradycyjnego Old Jazz Meeting w Iławie, w 2008 r. Złotego Fryderyka w kategorii muzyka jazzowa, w 2013 r. Złoty Medal „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis” od ministra kultury. Był honorowym członkiem Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

Cztery lata temu ukazał się siedmiokompaktowy album „Antologia” doskonale podsumowujący twórczość pioniera polskiego jazzu. ©



Krzysztof Masłoń



Przesławne lanie

Polscy lekkoatleci (sztafeta mieszana) z olimpijskim złotem

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Niewyspany przez dwa tygodnie ślecząłem po nocach przed telewizorem, czekając na zapowiadane przez działaczy sportowych, a potwierdzone prognozą amerykańskich ekspertów za pośrednictwem Associated Press 22 medale, które jakoby miała zdobyć reprezentacja Polski na igrzyskach olimpijskich w Tokio. W chwili, gdy piszę ten tekst, mamy trzy medale i w klasyfikacji 214 państw zajmujemy miejsce 30. Za takimi potęgami jak m.in.: Hongkong, Tajpej, Ekwador, Wenezuela czy Kosowo.

Mniej więcej w połowie olimpijskich zmagani postawiłem sobie za cel przypomnieć o przesławie rzekomo polskich sportowców kłutwie 10 medali stanowiących dla nich barierę nie do przebycia i zacząłem trzymać kciuki, by nasz plon na tokijskich igrzyskach był obfity nie tylko od tego z pierwszej powojennej olimpiady w Londynie w roku 1948 (dla przypomnienia: jeden medal brązowy), ale i z Helsinek, gdzie w roku 1952 na pierśiach naszych olimpijczyków zawisły aż cztery krążki.

O tym, że w tym samym Tokio w roku 1964 zdobyliśmy 23 medale, plasując się na siódmym miejscu w świecie, że tę samą lokatę zajęliśmy osiem lat później w Monachium, a w 1976 r. w Montrealu z 26 medalami było to już miejsce szóste, zdążyłem już zapomnieć choćby po osiągnięciach sportowców z orłem na piersi w Atenach, skąd przywieźliśmy właśnie 10 medali, z czego sama Otylia Jędrzejczak zdobyła trzy.

W gruncie rzeczy doszedłem do wniosku, walcząc z sennością przy oracjach telewizyjnych wystanników na olimpiadę wychwalających

naszych reprezentantów za miejsca w którychś tam dziesiątkach („liczy się udział!”) i sławiących ich za wolę walki i wytrwałość, że zamiast wysłać setki zawodników uprawiających najprzedziwniejsze dyscypliny, lepiej byłoby pół budżetu resortu sportu skierować na parę utalentowanych osób, a może doczekamy się wtedy i swojego Caeleba Dresela, drugiej Sifan Hassan czy Lisy Carrington. Śladami Krysciny Cimanouskiej mogłaby też pójść reszta olimpijczyków białoruskich, choć sportowcom z kraju rządzonego przez Aleksandra Łukaszenkę wiedzie się jeszcze gorzej niż nam (na tę chwilę miejsce 48. i dwa medale).

Wielce prawdopodobne, że po igrzyskach nasza nieoceniona opozycja orzeknie, że winę za olimpijski niedosyt ponosi wicepremier i minister sportu w jednej osobie – Piotr Gliński – i zażąda jego odwołania, co się, oczywiście, nie uda. Ale może w bliżej nieokreślonej przyszłości ten, jak widać i słychać, niesłychanie ważny resort objąłby osobiście Donald Tusk? Z całą pewnością lepiej gra w piłkę od Jarosława Kaczyńskiego.

Usportowiony za to nad wyraz jest prezydent Andrzej Duda, oberwał mu się jednak za niespieszne – zdaniem progresywnej części opinii społecznej – pogratulowanie srebrnego medalu naszym

wioślarkom, a to z tej ponoć przyczyny, że jedna z medalistek jest lesbijką. Procentowo zresztą udział pań kochających inaczej w naszej reprezentacji śmiało dorównuje światowym potęgom, a może i je przewyższa. Wprawdzie największe halo zrobiła wokół siebie i tak wyjątkowej urody (nie tylko jak na kręgi LGBT-owskie) amerykańska kulomiotka Raven Saunders, ale i przedstawicielki naszego żeglarstwa, wioślarstwa i strzelectwa pokazały światu swe nowoczesne oblicze. Niestety, musieliśmy też oglądać popisy przybyłych z dalekiej Namibii biegaczek (?), głównie wyróżniających się ponadnormatywnym poziomem testosteronu. Dlaczego Christine Mboma i Beatrice Masilingi nie zostały dopuszczone z tego powodu do rywalizacji na 400 metrów, za to bez problemu mogły biegać na metrów 200, nie wie nikt, a próby wyjaśniania tego zadziwiającego faktu świadczą wyłącznie o utracie przez członków Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego rozumu.

Z władzami umysłowymi najwyraźniej rozstał się też Władysław Kozakiewicz, mistrz olimpijski z 1980 r. z igrzysk w Moskwie, gdzie pokazał Ruskim – jak wiedzą w naszym kraju wszyscy od niemowląt do starców – „takiego wała”. Nie wszyscy wiedzą jednak, że był mistrzem w ska-

kaniu o tyczce nie tylko w Polsce, lecz także w RFN, gdzie pięć lat po swoim słynnym „geście” dostał obywatelstwo niemieckie i zamieszkał pod Hanowerem. Teraz – jako nie-zrealizowany polityk, kandydujący na radnego z listy AWS, na posła do Sejmu z list PSL i Koalicji Obywatelskiej i na europosła z ramienia Platformy Obywatelskiej – oburzył się na inną medalistkę olimpijską, Zofię Klepacką, tyle że wciąż jeszcze uprawiającą sport i to z sukcesami, za przypisywaną jej nietolerancję wobec innych orientacji seksualnych. „Chciałoby się – westchnął urodzony w podwileńskich Solecznikach »Kozak« – wszystkim Polakom kibicować. Ale jej nie umiem”. Co do mnie, to może i mógłbym ustosunkować się do tej wypowiedzi, używając jednak języka redaktora Karola Stopy z Eurosportu, za co jego stacja przeproszała potem telewizorów, zapewniając, że dołoży wszelkich starań, by jej komentarze były zawsze zgodne z najwyższymi standardami.

Franc Fiszer, sławny filozof i sybaryta, a przede wszystkim facecjonista, na widok przedstawianego mu młodego człowieka zapytał: „Lekkoatleta? A co on robi?”. „Jak to, nie wiesz? – usłyszał w odpowiedzi. – Biegał!”. „To szalenie interesujące – odrzekł bohater anegdoty. – A w którą stronę?”.

No właśnie. ©©

Z Grzegorzem Płaczkiem, fotografikiem i blogerem
rozmawia Jan Pospieszalski

Nie obrażam, czekam i sprawdzam

JAN POSPIESZALSKI: Moje życie gwałtownie zmieniły stan wojenny i Smoleńsk. W obu przypadkach mieliśmy do czynienia z pochodzącym z zewnątrz silnym wstrząsem, po którym życie biegnie już inaczej. Czym dla ciebie było pojawienie się pandemii?

GRZEGORZ PŁACZEK: Dla mnie i dla mojej rodziny pandemia jest jak wybuch wulkanu. Kompletna zmiana zawodowa,

społeczna... a przy tym odkrycie ludzi, grup, środowisk, które nie zgadzają się z oficjalną narracją...

Ale zanim doszło do tych nowych spotkań, jaka była twoja pierwsza reakcja?

Pojawił się strach. Lęk o życie, o rodzinę. Mieszkamy w jednym domu ze starszymi rodzicami. Wystarczyło

włączyć telewizję, aby mieć wrażenie, że za chwilę wszyscy umrzemy. Ale później zaczęły się pojawiać pytania i uzasadnione wątpliwości, które trwają do dziś.

A co z pracą?

Niemal wszystko się urwało – przewartościowało. Razem z moją żoną, Alą, jesteśmy fotografami. Prowadziliśmy



powiedział, że muszę się przebranzowić. Spędziłem lata, szkoląc się i... nagle musiałem się zatrzymać i zapytać siebie, co dalej. Pan premier Morawiecki prosił o 100 dni solidarności – ja naliczyłem już 400 dni i nic.

Zostałeś odcięty od źródła dochodów. Jak sobie radzisz? Bo te 100 dni solidarności rozciąga się jak guma.

Zaczynam panikować, bo zdałem sobie sprawę, że dotychczasowe życie szybko nie wróci (o ile kiedykolwiek wróci). Więc muszę znaleźć inny model, żeby dbać o bezpieczeństwo mojej rodziny. Patrę na żonę, która także jest bez pracy i próbuje odnaleźć się w nowej dla nas wszystkich rzeczywistości.

A może trzeba posłuchać ministra? Przecież nie musisz do końca życia robić zdjęć. Może powinien zacząć wysyłać CV?

Na spokojnie. Jestem po marketingu i zarządzaniu. Byłem stypendystą na Ohio State University. Były jeszcze studia doktoranckie w SGH. W międzyczasie przyszedła w Parlamencie Studentów RP, nagroda dla szczególnie uzdolnionego studenta śląskich uczelni za rok 1999, stypendium Fundacji Edukacyjnej Przedsiębiorczości, praca w Komitecie Badań Naukowych czy Ministerstwie Nauki i Informatyzacji, współpraca z Dyрекcją Generalną ds. Przedsiębiorstw w Unii Europejskiej i KPRM. Miałem też możliwość robienia doktoratu w USA, ale moja mama bardzo nalegała i przekonała mnie, że moje miejsce jest w Polsce. Wróciłem.

To mama przekazała ci ten zwrot, którym witasz się na swoim profilu: „Droga Polko, drogi Polaku”? Czy bycie Polakiem to dla Ciebie ważne?

Tak. W życiu miałem możliwość odwiedzić kilkadziesiąt różnych krajów i wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma... Przypominam sobie takie zdanie: „Często nie wystarcza nam los darowany”. Szukamy ciągle czegoś lepszego, a ja chcę żyć w Polsce. Mamy wspaniałych ludzi, osiągnięcia, przepiękną historię, głębokie tradycje i powinniśmy o tym pamiętać i uczyć młodych, by nie dali sobie narzucić tej nowomowy, która przychodzi z Zachodu.

To dlatego w wizytówce internetowej akcentujesz nazwę swojej gminy – Kobiór? Było Ohio, była Warszawa, a ty wybierasz powrót na Śląsk?

Za miłością, za żoną, za rodzinną tradycją. Tutaj, na Śląsku, w moim domu,

mimo że możesz pomalować ściany na kolor, jaki chcesz, i tak pytasz rodziców, co o tym myślą, bo masz poczucie przynależności do kultury, w której starszyzna się liczy. Promuję Kobiór, żeby pokazać, że mieszkając w małej gminie (4,8 tys. mieszkańców), można mieć głębokie poczucie sensu swoich działań.

Ale wróćmy do początków – jest marzec ubiegłego roku. Słyszemy: zostań w domu, nic nie rób, nie spotykaj się... Kiedy pojawia się myśl: „Dosyć tego! Nie będę siedział bezczynnie”?

We wrześniu 2020 r., kiedy opublikowałem pierwszy post na FB z odpowiedzią z Ministerstwa Zdrowia. Zadałem pytanie, w trybie dostępu do informacji publicznej, ilu z nas zmarło na COVID-19 od początku pandemii.

Ilų?

Do 9 września 2020 r. zmarły 292 osoby! W ciągu sześciu miesięcy na COVID-19, bez chorób współistniejących, zmarły w Polsce 292 osoby.

Dlaczego postanowiłeś o to pytać?

Żeby zweryfikować doniesienia mediów społecznościowych i zestawieć je z liczbami z konferencji prasowych, na których straszy się nas licznymi zgonami i śmiertelnością wirusem.

I zdjęcia ciężarówek z trumnami z Bergamo, i masowe groby na Long Island?

Tak. Wszyscy to widzieliśmy. Przecież mieliśmy wrażenie, że umierają miliony osób. Napisałem więc, jako obywatel, do urzędu z prośbą o informacje. Choć tak naprawdę nie liczyłem na odpowiedź.

I gdy dostałeś odpowiedź, co pomyślałeś?

Że coś tu jest nie tak. Jeżeli od marca do września 2020 r. na straszną chorobę zmarły w Polsce 292 osoby, a tygodniowo w Polsce umiera ok. 8. tys., to pojawił się u mnie dysonans poznawczy. Zacząłem wysyłać kolejne pytania, dużo czytać i robiłem notatki. To trwa do dziś. Na przykład jeżeli pan premier mówił, że za trzy tygodnie czeka nas trzykrotny wzrost zachorowań, to zacząłem takie informacje spisywać i potem sprawdzać.

I był wzrost?

Nic podobnego! Albo w październiku 2020 r. – masowe demonstracje na ulicach i tysiące ludzi, ramię w ramię, bez maseczek. W telewizji minister zdrowia ostrzegał, że w ciągu 10 dni wzrosną

szkolenia dla Akademii Nikona, pisaliśmy książki, fotografowaliśmy w odległych zakątkach świata – żyliśmy. W ciągu jednego dnia okazało się, że nie mogę robić tego, co robiłem 20 lat, co potrafię i kocham. Myślałem, że „zawieszenie” potrwa krótko – czekałem. Do momentu, gdy w listopadzie 2020 r. 29-letni wice-minister finansów pan Piotr Patkowski

FOT. ALIJA PRAZEK

■ zakażenia. Czekam i sprawdzam. Zamiast zatkanych szpitali mamy spadek zachorowań. Gdzie tu logika? Gdzie skutek i przyczyna? Wysyłam kolejne zapytania o podstawy naukowe obostrzeń i lockdownu. Okazuje się, że ani Ministerstwo Zdrowia, ani GIS nie mają badań. Uzasadnień też nie potrafią wskazać. Łącznie, do ministerstwa, KPRM i do różnych urzędów administracji publicznej, wysyłam ponad 200 zapytań. Zaczęłam publikować to wszystko na moim profilu i ruszyła lawina. Tysiące ludzi zaczęło udostępniać moje wpisy i pojawiło się morze komentarzy. Nie mogłam uwierzyć, że to naprawdę się dzieje. Przecierałam oczy ze zdumienia.

Co wtedy pomyślałeś?

Że z tymi wątpliwościami nie jestem sam. Że jest bardzo dużo ludzi, którzy myślą podobnie, i że warto ich skomunikować, zjednoczyć.

Od razu miałeś ten pomysł?

Od razu. Intuicyjnie poczułem, że to trzeba zrobić. Widziałem, jak zagubieni ludzie odzyskują poczucie podmiotowości i wspólnoty. Kibicują mi, bo przecież

Spór, ale nie agresja. Ja wolę inny świat. Chcę, żebyśmy się dzielili miłością, żebyśmy próbowali działać wspólnie. Ktoś powie, że to naiwne, ułuda, ale ja próbuję.

W mediach raczej na to nie licz. Konflikt nakreśla oglądalność. Zaprasza się ostrych oponentów i jest jazda. Coś o tym wiem...

Mnie na tym nie zależy. Nie walczę o oglądalność. To nie wynika z chęci zysku... Trudno mi to wytłumaczyć.

Czyli nie miałeś planu? To nie był plan?

To nie był plan. I ja dalej nie mam tego planu. Spróbuj zrozumieć... ja po prostu daję się ponieść tej fali.

Pojawia się fala i ty, jak surfer, wskazujesz na deskę, a ona cię niesie?

Płynę na tej fali i nie wiem, czy się za chwilę nie zderzę z jakąś skałą lub nie zostanę wyrzucony na brzeg, osamotniony. Nie wiem... A może za chwilę będę miał kilku surferów obok siebie? Ja płynę i czuję, i wiem, że nie jestem sam.

Kiedy spostrzeżesz, że nie możesz się cofnąć? Że to punkt zwrotny?

Pytam np., skąd pan minister zdrowia wie, ilu Polaków nabyło odporność, jeśli GIS w swoim piśmie z 24 maja 2021 r. twierdzi, że nie ma danych dotyczących liczby osób, które przeszły bezobjawowo COVID-19. Agencja Badań Medycznych także nie posiada takich danych, co potwierdza w piśmie z 2 lipca 2021 r.

Tymczasem dociera coraz więcej sygnałów, że kraje o bardzo wysokim procentowym wskaźniku szczepień notują wzrost zakażeń. W Singapurze 75 proc. nowych zakażonych to zaszczepieni.

Pytałem też o to, kto w mniejszym stopniu zaraża kolejne osoby: ci po szczepieniu czy osoby, które przeszły COVID-19 bezobjawowo i nie są zaszczepione?

I dostałeś odpowiedź?

Tak. 16 maja 2021 r. KPRM odpisała, że nie ma danych świadczących, kto bardziej zaraża. Daje do myślenia?

A co w sytuacji rosnącej presji na obowiązek szczepień. Jak się wtedy zachować?

Nauczyciele, żołnierze, pracownicy mają prawo przeciwstawić się przymusowi „dobrowolnych” szczepień. Pisma przygotowali prawnicy – są gotowe do pobrania z mojej strony. Można się przeciwstawić – wystarczy odwaga. Prawo jest po stronie ludzi wolnych.

To wszystko opisujesz w książce, po czym idziesz do dystrybutora i mówisz: „Może weźmiecie książkę?”

Miałem wiele myśli. Gdy książka była gotowa, zrobiłem wirtualny wieczór promocyjny na moim profilu i wtedy okazało się, że FB zablokował mi możliwość płatnej promocji. Posmutniałem... ale na krótko. Siła i determinacja w ludziach są wielkie. Zainteresowanie książką przerosło moje najśmielsze oczekiwania.

Wiesz, że minister finansów może przeczytać ten wywiad?

Nie obawiam się, a książkę z dedykacją wysyłam także do pana prezydenta i Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Część zysku ze sprzedaży przekazywana jest na cel charytatywny.

Jaki?

Stypendium dla najzdolniejszych dzieci w szkole podstawowej w Koźmierze. Kupujący sam wybiera opcję, czy kupuje tylko książkę, czy też chce zapłacić więcej, żeby wesprzeć większą

Nauczyciele, żołnierze, pracownicy mają prawo przeciwstawić się przymusowi „dobrowolnych” szczepień

pytam ważnych ministrów w ich imieniu. Dali mi sygnał, że to, co robię, jest potrzebne.

Czy masz jakieś doświadczenie, np. czy byłeś drużynowym w harcerstwie?

Nie. W czasie studiów byłem wiceprezydentem Europejskiego Forum Studentów, jednak z działalnością społeczną nie miałem nic wspólnego. A teraz poczułem, że mogę pomóc ludziom, środowiskom – Polakom. To coś bardzo dziwnego. Nie chcę, aby zabrzmiało to w sposób megalomański. Trudno mi o tym mówić. Staram się tworzyć przestrzeń dialogu. Rozmawiam z dyrektorami, posłami i z prostymi ludźmi. Od początku wyszedłem z założenia, że nie chcę nikogo obrażać. Mamy dość inwektyw i obrażenia się błotem.

Gdy zgłosiły się do mnie poważne stowarzyszenia, ludzie z pierwszych stron gazet, prosząc o wykorzystanie któregoś z moich urzędowych pism do swoich opracowań. To mnie przeraziło, ale też potwierdziło, że robię coś ważnego.

I dlatego powstała książka „#ToSieSamoKomentuje”?

Książkę pisałem z myślą o mojej pięcioletniej córce. Wiedziałem, że jeżeli ja tego nie spiszę i nie pokażę tych absurdów, to Hanka za 20 lat nie uwierzy, że takie rzeczy się działy.

Czyli?

Wszechobecne budowanie poczucia strachu. Kłamstwa wypowiedane przez osoby publiczne przed kamerami, bez zmużenia oka. Ograniczanie wolności, tworzenie podziałów i brak debaty dotyczącej fundamentalnych kwestii.

No coś ty! Przecież spór jest naturą demokracji.

ceną zdolnych uczniów. Dzięki dobrym ludziom mamy już fundusz stypendialny na najbliższe cztery lata. Jest pięknie.

Mówisz o szacunku do tradycji, o nieobrażaniu nikogo, tymczasem w jednym z twoich nagrań, wobec abp. Jędraszewskiego, z uporem powtarzałeś „pan ksiądz”. To język Władysława Gomółki i Marty Lempart.

Dziękuję, że mi na to zwracasz uwagę. To niesamowite, ale wczoraj to samo mówiła mi moja mama. Jestem osobą wierzącą i jeśli ktoś poczuł się urażony – to przepraszam. Nie taka była moja intencja.

Jak zareagowałeś, gdy FB zablokował ci możliwość promocji książki?

Z jednej strony pojawia się strach. Jednym kliknięciem można cię wyłączyć i już cię nie ma. Z drugiej strony dokładnie w tym czasie pojawiają się zaproszenia od różnych środowisk, stowarzyszeń i jest ich coraz więcej. Opole, Warszawa, Karpacz, Białystok... Na te spotkania przychodzi nieraz po kilkaset osób. To jest ta fala pokojowego buntu. Ale to dopiero początek – czuję to. Pomyśl – rozpoczynasz spotkanie i wiesz, że ludzie przyszedli, bo chcą być razem. Ale też na serio martwią się o Polskę. Często przyjeżdżają wiele kilometrów. Uwierzyć, że ostatnio podczas spotkania na krakowskim rynku ludzie podeszli i chcieli się po prostu przytulać? Potrzebujemy wsparcia, otuchy i poczucia, że jesteśmy razem.

Jak to przebiega? Masz jakiś scenariusz?

No coś ty! Mówię po prostu od serca, o książce – dlaczego i jak powstała. A potem nawiązuje się rozmowa. Co ciekawe, bywa, że na spotkania przychodzą samorządowcy, księża, byli wiceministrowie, byli europarlamentarzyści czy posłowie. Spójrz, jaki paradoks. Na spotkania, które teoretycznie są uznawane za nielegalne (część z nich była w czasie restrykcyjnych obostrzeń), przychodzą politycy etc., czyli osoby, których tam teoretycznie nie powinno być. Oni też chcą się spotkać i szukają prawdy.

Czy pojawiają się tam hasła np. „Rząd pod sąd”?

Nie rozmawiamy w ten sposób. To zupełnie inny poziom dialogu. Osoby, które przychodzą na spotkania, wiedzą, jaką mam postawę. Nikogo nie obrażam. Wiem, że są grupy, które potrafią krzy-

czeć i wyrzucać z siebie agresję, ale ja tak nie chcę budować Polski.

A jednak. Wreszcie to powiedziałeś... Chcesz budować Polskę!

Myślę, że razem z Polakami poniekąd to robimy. Jednocząc się i szukając prawdy.

Jakbyś scharakteryzował te środowiska i grupy? Co to są za ludzie? Co ich łączy?

Chcę budowania spokojnej, dobrej Polski bez kłamstw, bez lęku, bez ograniczania wolności i łamania naszych praw, z szacunkiem wobec wszystkich i z możliwością wyboru, np. szczepić się lub nie. Bo dziś taka jest linia podziału. Kiedyś się mówiło: „Jesteś za PO czy za PiS?”. Dziś się nas pyta: „Czy jesteś zaszczepiony?”.

A sami uczestnicy? Są zaskoczeni, że tak wielu ich przyszło? Że mogą się policzyć?

Tak, to widać wyraźnie. Zachęcam też, żeby się wymieniać doświadczeniami. Dzwoni np. do mnie lider jednej z grup i mówi: „Robimy ulotki, żeby uświadamiać policjantów, że łamią prawo”, a ja mówię: „Czekaj, czekaj – takie ulotki ma już grupa, u której byłem wczoraj. Wystarczy zadzwonić i masz ulotkę”. Te spotkania w całej Polsce tworzą też sieć powiązań wolnych ludzi. Czas się jednoczyć.

Czyli jednak przyznajesz, że zależy ci na tworzeniu ruchu?

Można to tak nazwać. Chodzi o to, by zaproponować jakąś alternatywę wobec tego, z czym mamy do czynienia.

Czyli masz plany polityczne?

Osobiście nie mam. Na razie czuję, że dzieje się coś nienazwanego w moim życiu. Moja żona mocno trzyma mnie za rękę. Nie wiem, czy mnie tym gestem hamuje, czy chce mi pomóc iść szybciej. Boję się pytać.

Ale Kukiz też nie mówił o planach politycznych... Przynajmniej tak utrzymywał. Hołownia na początku też... A tu jednak powstaje ruch...

To złożona sprawa i wyzwanie. Dużo rozmawiam z lokalnymi liderami stowarzyszeń – czuję, że mam wsparcie. Jeżeli założymy, że mamy praktycznie możliwość zbudowania grupy reprezentantów naszego ruchu społecznego, to jak zrobić krok w stronę tego politycznego Rubikonu i nie wpaść w przepaść? Jak przekonać ludzi, że ktoś chce iść dalej, by

dostać się do parlamentu, i idzie tam, bo naprawdę chce zmienić Polskę? Czy to możliwe, skoro wszyscy, którzy tam już są, zawiedli?

Co ty opowiadasz! Wszyscy? Nie wierzysz, że w grupie tych 460 posłów są uczciwi, ideowi ludzie?

Wierzę. Tylko że obowiązuje ich dyscyplina klubowa, więc często stoją przed wyborem mniejszego zła.

Czy spotykasz się z propozycjami: „Grzegorz, stań na czele, poprowadź, zostań liderem...”?

Oczywiście. Wielu uczestników spotkań oczekuje, że ktoś będzie miał odwagę ich reprezentować i wziąć odpowiedzialność. Jeżeli stajesz na czele ruchu, sprzeciwiając się ograniczaniu wolności, łamaniu praw człowieka, segregacji, zmuszaniu do szczepień, buntujesz się wobec bezkarności wielkich koncernów – to idziesz po zmianę. Idziesz na konfrontację z tymi, którzy chcą zachować status quo. Pytanie: Czy jesteśmy gotowi zbudować w Polsce taki ruch? Większość tych stowarzyszeń ma kilkumiesięczną historię i brak doświadczenia politycznego, ale ma energię, której wcześniej nie widziałem. Zauważyłem tłumy osób, które chciałyby coś zmienić. Odbieram telefony od ludzi, których słyszę pierwszy raz w życiu, a rozmawiamy, jakbyśmy byli z jednej rodziny. Ewidentnie coś się w Polsce dzieje. Wiem jednak, że stojąc naprzeciw maszyny propagandowej, ogromnych pieniędzy i służb, jest się w bardzo trudnym położeniu. Poza tym czy lokalni liderzy są gotowi, w imię jedności, podzielić się władzą? Na ile my wszyscy, w tej swojej spontaniczności i patriotycznym zrywie, jesteśmy dojrzały?

Czy widzisz również krzywdę ludzką?

Ogromną. Spotykam osoby, które przystąpiły do tego zrywu, bo ktoś z ich bliskich zmarł. Nie na COVID-19. Miał mieć operację, ale doczekał teleporady. Czy może być czystszy powód, że ktoś postanawia powalczyć o Polskę, niż śmierć najbliższych? A z drugiej strony ta postawa buty, arogancji władzy, przy jednoczesnym braku logiki. Jeżeli na ringu wiesz, że przeciwnik ma mocny prawy prosty, to robisz unik. Ale jeśli masz do czynienia z kimś nieprzeważonym, to nie wiesz, czy nagle nie wsadzi ci gwoźdź w oko. To przeciwnik nieprzewidywalny. Skąd to wiem? Z tych oficjalnych odpowiedzi. Nie chcę nikogo obrażać. To się samo komentuje. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Jurek

Realne wsparcie i czytelne znaki solidarności z wiernymi tradycji łacińskiej mogą tylko wzmocnić autorytet naszych biskupów, tak dziś potrzebny Kościołowi i Polsce

Napięcia wywołane ogłoszeniem restrykcyjnego wobec liturgii tradycyjnej listu „Traditionis custodes” to paradoksalnie szansa dla polskiego Kościoła. Szansa na umocnienie więzi naszych biskupów z jedną z najbardziej świadomych grup wiernych, którzy dziś wymagają szczególnej solidarności i ojcowskiego wsparcia. To również szansa na konkretne przeciwdziałanie dzisiejszemu kryzysowi. Oczywiście wymaga to odwagi, ale przecież ona należy do powinności stanu biskupiego. Nie chodzi przy tym o rzeczy niebywałe. Przykład reakcji w obronie tradycyjnej liturgii dają wybitni kardynałowie – Gerhard Müller (który służył dwóm papieżom, Benedyktowi XVI i Franciszkowi, jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary) czy Raymond Burke – albo amerykańscy biskupi, z metropolitą San Francisco abp. Salvatore Cordileone na czele.

W OBRONIE KATOLICKIEGO LUDU

Gdy po pierwszej wojnie światowej toczyła się walka o polski Śląsk, zaangażowało się w nią szczególnie dwóch biskupów, książę-biskup Adam Sapieha oraz abp Józef Teodorowicz, ormiański metropolita Lwowa. W sprawie śląskiej kwestia narodowa miała bowiem istotny aspekt kościelny. Kardynał Bertram z Wrocławia, kierujący Kościołem również na Górnym Śląsku, chciał zakazać księżom udziału w kampanii plebiscytowej i w tym duchu wpływał (bezpośrednio) na stanowisko rzymskiego Sekretariatu Stanu i (pośrednio) nuncjatury w Warszawie. Biskupi Sapieha i Teodorowicz musieli interweniować w Rzymie, by tłumaczyć, że polski katolicki lud Śląska, oddzielony granicą przez pięć wieków od reszty narodu, nie ma innej inteligencji prócz księży. Zmuszanie polskiego duchowieństwa do milczenia to jednocześnie kneblowanie żyjących na Śląsku polskich wiernych.



Ówczesny nuncjusz w Warszawie, abp Achille Ratti, gorąco identyfikował się ze sprawą niepodległej Polski (czego dał później dowód, pozostając w atakowanej przez bolszewików Warszawie, opuszczonej przez niemal wszystkich dyplomatów), ale w sprawie granicznych sporów plebiscytowych był rzecznikiem neutralistycznej polityki Rzymu. Z jego stanowiskiem zderzyły się rzymskie „opozycyjne” interwencje obu polskich biskupów. Gdy krótko potem abp Ratti wyjechał z Warszawy i został kardynałem, a pół roku później papieżem – dla księcia-biskupa Sapiehy i abp. Teodorowicza przyszedł czas niełaski. Kardynałem książę-arcybiskup został dopiero za Piusa XII.

W czasie „kampanii śląskiej” biskupom Sapieze i Teodorowiczowi zarzucono bowiem nie tylko „upolitycznianie” Kościoła, lecz także jego dzielenie. Kardynał Bertram – zgodnie z interesem Niemiec – chciał utrzymać górnośląskie duchowieństwo poza narodowym sporem ple-

biscytowym, powoływał się na „jedność Kościoła” (mimo że żaden z zaangażowanych polskich księży nie naruszał ani joty katolickiego credo). A potem okazało się jeszcze, że to Polska przez resztę XX w. broniła cywilizacji chrześcijańskiej.

KRYZYS JAKO PRZESILENIE

Arnold Toynbee, w swym słynnym prawie „wyzwania i odpowiedzi”, wyjaśnił znaczenie kryzysów dla rozwoju cywilizacji. Często to, co wygląda na nieroztropność, okazuje się bowiem unikatową szansą. W historii polskiego Kościoła znakomitą przykładem działania tego prawa były wydarzenia skumulowane w uwięzieniu kard. Wyszyńskiego. Komunistyczne władze, nie mogąc znieść nieugiętej postawy prymasa, oskarżyły go o wykorzystywanie „funkcji kościelnych do łamania zasad porozumienia” między Episkopatem a rządem z 1950 r. W wymuszonej deklaracji Konferencja Episkopatu zobowiązała się po aresztowaniu kard.



FOT. DAWID KLAWA, EWT NEWS

wości, że gdy wyzwaniem jest ochrona praw ludu, to właśnie mężna odpowiedź (nawet jeśli przybiera tak charakterystyczną dla życia katolickiego postać biernego oporu) wzmacnia więź kościelną, buduje autorytety, obraca „serce ojców ku synom, a serce synów ku ich ojcom” (Mt 3,24) – tworząc zupełnie nową jakość społeczną.

JAKA WIARA?

W istocie chodzi bowiem o rzecz zasadniczą dla przyszłości Kościoła. Również u nas, w Polsce. Zaraz za granicą Rzeczypospolitej, w sąsiedztwie naszych metropolii szczecińskiej i wrocławskiej, są po prostu beczeszczone kościoły, biskupi i księża udzielają „religijnego błogosławieństwa” politycznemu ruchowi homoseksualnemu, a także podważają zasady czci dla Eucharystii (w kwestiach interkomunii z protestantami czy dopuszczania do niej osób żyjących w nowych związkach po rozejściu się z małżonkiem). Trudno powiedzieć, co jest gorsze, bo porządek nadprzyrodzony jest wyższy, przyrodzony łatwiej dostępny dla rozumu, a oba pochodzą od Boga. Dzieje się to przy tym przy praktycznie niedosłyszalnych zastrzeżeniach i faktycznej aprobachie Rzymu. Czy w takich realiach właściwą postawą wiernych jest – nawet historycznie zrozumiałą – fideistyczny klerykalizm?

Czy nasi biskupi chcą mieć wiernych, którzy – gdyby w Polsce ich następcy chcieli tak sponiewierać ich dziedzictwo – powiedzą swoim przełożonym „non licet”, którzy przypomną im o świętości zasad katolickich i zachowają rzeczywiste posłuszeństwo wiary, czy też wiernych, którzy „posłuszeństwo” zamienią w konformizm w służbie czysto socjologicznej i przyrodzonej „jedności”? Czy chcą mieć wiernych broniących Kościoła w kryzysie czy porzucających swą wolność i odpowiedzialność, bo w kryzysie widzących po prostu element „świata współczesnego”?

Jest przecież rzeczą oczywistą, że w nadchodzącym czasie rodziny katolickie będą musiały uczyć dzieci nie tylko odrzucenia oportunizmu, lecz także konformizmu, że może skończyć się czas „kolektywnej tożsamości”, a przyjść czas coraz bardziej indywidualnej odpowiedzialności. Odpowiedzialności, do której trzeba wychowywać w rodzinach i w Kościele.

SAKRAMENT DIACHRONICZNEJ JEDNOŚCI

Benedykt XVI w Mszy tradycyjnej widział nie jakąś „szczepionkę” przeciw

różnicom i krytyce, ale prawdziwy sakrament diachronicznej jedności Kościoła, widzialny znak jego jedności z własną przeszłością, mimo mutacji, którą przeszedł w drugiej połowie XX w. Trwanie tradycyjnych liturgii – nie tylko rzymskiej, lecz także wschodnich – świadectwo ich zbieżności samo w sobie jest wielkim znakiem niezmienności i nienaruszalności wiary. Świadectwem służącym również nowej liturgii, pokazującym jej duszpasterski, a nie rewolucyjny status. Instynktowne, kierowane „sensus fidei” zrozumienie wiernych dla tych spraw jest skarbem Kościoła.

W kryzysach ważne jest zachowanie solidarności, a to wymaga wielkoduszności. Zupełnie zrozumiałą jest wstrząs, jaki wśród wiernych wywołało wykreślenie post factum pięknego fragmentu z wielkokwartkowego listu biskupów polskich „Zgromadzeni na Świętej Wierzy”: „To poprzez nieustanną dbałość o liturgię, o jej piękno i szlachetność wielu z nas wchodziło na drogę kapłańskiego życia. Dziś także widać to w pewnej fascynacji liturgią sprawowaną w formie nadzwyczajnej. Niezaprzeczalny pozostaje fakt, że wielu młodych ludzi pociąga dziś taka dbałość o piękno celebracji eucharystycznej. Poszukują oni Chrystusa i pragną Go odkrywać w Kościele. To pragnienie musi być na nowo odczytane”.

Od chwilowej dezorientacji ważniejsza jest jednak prorocka wartość słów ogłoszonych ledwie cztery miesiące przed „Traditionis custodes”. Skupić się trzeba na przyszłości, o której mowa w wielkokwartkowym liście. Realne wsparcie i czytelne znaki solidarności z wiernymi tradycji łacińskiej mogą tylko wzmocnić autorytet naszych biskupów, tak dziś potrzebny Kościołowi i Polsce.

Artykuł ten nosi tytuł „Czas episkopatu”. Bo nie tyle chodzi o Konferencję Episkopatu, ile najpierw o biskupstwo, osobisty charyzmat każdego z biskupów. Jeśli jest ordynariuszem – to ponosi przed Bogiem odpowiedzialność za całą swoją diecezję, za ogół żyjących w niej wiernych. Jeśli nie ma tej władzy – to również jest następcą apostołów, na tym polega jego godność. Dlatego odpowiedzialność, o której piszę, dotyczy nie tyle kolegialnych uzgodnień, ile osobistej reakcji każdego z nich. Wyzwania i szanse dla każdego z naszych biskupów.

Wyszyńskiego „nie dopuścić na przyszłość do wypaczania intencji i treści” porozumienia z władzami, a także „zdecydowanie potępiać” „fakty ujawnione” w stalinowskim procesie bp. Kaczmarska. Przyszłość była niepewna, chodziło o ocalenie życia katolickiego, więc wobec tego przynębiającego dokumentu nie chcę czynić łatwych, ahistorycznych zarzutów. Jedno jest natomiast pewne, że to właśnie „ryzykowna” strategia prymasa Wyszyńskiego, której częścią było zarówno chroniące podstawowe prawa Kościoła porozumienie z 1950 r. (na co nieufnie patrzone w Rzymie), jak i jego „non possumus” oraz uwięzienie zbudowały tę niezwykłą więź Episkopatu i ludu, która nie tylko ochroniła elementarną wolność Kościoła i narodu, lecz także pod koniec życia prymasa zaowocowała ruchem Solidarności i wejściem Polski na drogę ku wyzwoleniu.

Nie chodzi tu o żadne porównania, ale jedynie o stwierdzenie ogólnej prawdo-



FOT. ANNETTE SCHREYER / JAFFORD

PAWEŁ LISICKI: Księżę kardynale, po publikacji artykułu w piśmie „Theologisches” sąd rejonowy w Kolonii nałożył na jego autora, księdza profesora Dariusza Oko, nakaz karny nakładający grzywnę w wysokości 4,8 tys. euro. Alternatywą jest to, że ks. Oko może odsieść w więzieniu 120 dni. Nie jest on jedynym skazanym. Tego samego dnia 27 lipca 2021 r. sąd wydał podobny wyrok skazujący w stosunku do redaktora naczelnego pisma, 90-letniego księdza profesora Johannes Ströhra, również nakładając grzywnę z możliwą zamianą na wielomiesięczne więzienie. Oba oskarżono o podżeganie do nienawiści. Początkowo w Polsce nie sposób było w to uwierzyć: przecież to jaskrawy zamach na wolność słowa i wyraźny przykład cenzury z powodów ideologicznych. Co sądzi ksiądz kardynał o tym zdarzeniu?

KARDYNAŁ GERHARD L. MÜLLER: Jako Niemiec wstydę się za to, że w mojej ojczyźnie znowu jest możliwe stawianie zarzutów o tzw. podżeganie do nienawiści przeciw społeczeństwu i skazanie polskiego naukowca dlatego, że podał fakty. W związku z tym, co przydarzyło się polskiemu uczonemu z Krakowa, powinni, u ludzi mających wykształcenie historyczne, natychmiast włączyć się dzwonki alarmowe; powinni oni sobie z przerażeniem przypomnieć o pewnym „prawniku”, który działając jako tzw. generalny gubernator, posłał całą krakowską profesurę do obozu koncentracyjnego.

Artykuł prof. Oko to naukowy raport na temat ciężkich przestępstw popełnionych na młodych mężczyznach i chłopcach, które popełnili postawieni wysoko w hierarchii duchowni, na czele z byłym kard. McCarrickiem. Albo ci sędziowie nie przeczytali artykułu, albo nie są w stanie ocenić go za pomocą kryteriów naukowych, albo też nie dostrzegają jasno przestępczego charakteru działań tych osób, które żyją w Kościele, ale chroniąc się za tarczą bezkarności, którą daje im sprawowany urząd, prowadzą licznych młodych mężczyzn do zguby. Potępienie tych przestępstw przy użyciu mocnych słów nie jest podżeganiem społeczeństwa do nienawiści, ale aktem odwagi, który zasługuje na szacunek wszystkich przyzwyczajonych ludzi.

Nie wolno unieważniać znaczenia tych przestępstw tylko dlatego, że ich sprawcy byli aktywnymi homoseksualistami, którzy mogli się poczuć obrażeni z tego powodu, że ktoś im powiedział prawdę w twarz. Tysiące niewinnych

Z kard. Gerhardem L. Müllerem, byłym prefektem Kongregacji Nauki Wiary, autorem kilkuset publikacji naukowych, doktorem honoris causa siedmiu polskich uczelni rozmawia Paweł Lisicki



Wstydzę się za to, co spotkało ks. Oko

księży w Niemczech codziennie obraża się jako pedofilów, mimo to nie reaguje na to żaden sąd i nie sprzeciwia się temu żaden organ prasowy. Czy znowu doszliśmy do tego, że chroni się winnych, a karze niewinnych? Nikomu, zdaje się, nie przeszkadza nagonka na kler katolicki i zachęta do przemocy przeciw tej grupie osób: wszystko to mieści się rzekomo w ramach wolności słowa.

Niektórzy niemieccy dziennikarze, np. w „Süddeutsche Zeitung”, popierają ten wyrok. W ten sposób, wierzą, sąd chroni społeczeństwo przed nienawiścią. Jakie jest w tej sprawie zdanie księdza kardynała? Dlaczego niemiecka opinia publiczna, wydaje się, jest tak pasywna i nie chce bronić wolności słowa? Dlaczego nie widać znaków oporu?

Naturalnie, tzw. niemieccy dziennikarze cieszą się, kiedy chodzi o działanie przeciw Polakom. Zamiast dziękować Polakom i Węgrom za obalenie totalitarne go, sowieckiego komunizmu, europejscy politycy i prawnicy szykanują tych ludzi, którzy musieli znieść tyle cierpienia ze względu na swoją miłość wolności, bo rzekomo zagrożone są wartości europejskie. Te same, których łamanie toleruje się u najgorszych dyktatorów, jeśli robi się z nimi interesy.

Oczywiście owi liderzy opinii nie cenią zbyt wysoko chrześcijaństwa, na szczęście są przeciw ciężkiemu grzechowi nienawiści. Szkoda, że obwiniają innych całkiem niedorzecznie o nieistniejącą nienawiść do grupy homoseksualistów, która to zresztą grupa objawia swą własną nienawiść do katolickiej Polski. Ci ludzie, przypisujący sobie moralną wyższość, powinni się zająć badaniem historii czterech rozbiorów Polski i nienawiści Prusaków i narodowych socjalistów wobec Polaków. Powinni to zrobić, zanim będą występować jako nauczyciele swoich słowiańskich sąsiadów.

Przeciwnicy ks. Oko zarzucają mu, że w swoich tekstach nazywał homoseksualnych duchownych „grupą pasożytów”, ich działanie przyrównywał do rozwoju raka i wspominał o „pladze homoseksualizmu”. Nie chcą uznać, że wolno mu było mówić o „homoideologii” i „homoherezi”. Ksiądz Oko pisał, że należy stworzyć cały system ochrony „bezbrotnych dorosłych”, którzy stali się lub staną się ofiarami homoseksualnych drapieżników w sutannach czy habitach. Czy to jest faktycznie zbyt ostry język? Tak brzmi najważniejszy zarzut przeciw księdzu. A może, przeciwnie, zło musi zostać wyraźnie napiętnowane?

Sąd nie może domagać się tego, by autor naukowej analizy poświęconej najgorszym przestępstwom i najcięższym grzechom używał mowy rozmytej i rozrzedzonej. Jeśli kościelni zwierzchnicy niszczą młodych mężczyzn, to należy się odwołać do mowy Jezusa, który gorszył cięłom najmniejszych i dzieci groził piekłem, jeśli się nie nawrócą. Świeckie sądy istnieją po to, aby pociągać do odpowiedzialności przestępców, a nie tych, którzy nazywają po imieniu niegodziwość.

Osobą, która skierowała akt oskarżenia przeciw księdzu profesorowi Oko i księdzu profesorowi Stöhrowi, był ksiądz Wolfgang F. Rothe, znany aktywista na rzecz praw homoseksualistów w Kościele. Dla polskiego czytelnika to coś szokującego. Czy homohereza całkiem opanowała Niemcy?

Każdy, kto zna jego rolę w wydarzeniach w St. Pölten wie, co znaczy przysłowie: na złodzieju czapka gore. W jaki sposób wykształceni prawnicy mogli pozwolić na to, że stali się narzędziem w tej intrydze, pozostaje dla człowieka rozsądnego zagadką. We wspomnianym artykule nie podlega się do nienawiści przeciw nikomu, nie nawołuje się społeczeństwa do przemocy przeciw niewinnym czy stojącym z boku, lecz przeciwnie, wzywa się do ochrony niewinnych młodych mężczyzn przed takimi zwierzchnikami, którzy celowo i w sposób zorganizowany nadużywają swoich przywilejów i zaufania, aby egoistycznie zaspokoić swoje zdeprawowane żądze. Kto pod pozorem prawnej obrony mniejszości umniejsza znaczenie przestępstw, których dopuszczają się indywidualni sprawcy, jest faktycznie kimś gorszym niż zaciągnięci przed sąd obrońcy tych niegodziwości.

Czy w Niemczech wolno jeszcze w ogóle krytykować homoseksualistów? A może mamy tam już do czynienia z prawdziwym kultem gejów? Czy w Niemczech wolno jeszcze mówić o Dekalogu?

Tak długo, jak długo uznaje się w Niemczech prawo człowieka do wolności sumienia i wolności wyznania, będziemy jako chrześcijanie jednocześnie bronić godności ludzkiej tych, którzy odczuwają pociąg homoerotyczny, oraz bez trwogi głosić przykazania Boże. Będziemy mówić, że prawo do życia przysługuje bez względu na okoliczności także człowiekowi w embrionalnym stadium rozwoju, że eutanazja, czyli

aktywna pomoc w zabijaniu, stanowi grzech śmiertelny i że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, a relacje seksualne powinny mieć miejsce jedynie w obrębie prawowitego małżeństwa. Jeśli my, katolicy, będziemy prześladowani jak podczas kulturkampfu Bismarcka lub w epoce Trzeciej Rzeszy albo jeśli będzie się na nas nakładać grzywny lub karać więzieniem pod pozorem troski o prawo, to prawda pozostanie dla nas zawsze prawdą. Żaden parlament i żaden sąd nie mogą zmienić bezprawia w prawo i postawić nad rozpoznaniem przez rozum prawem moralnym woli mocy.

W jak dużym stopniu rewolucja seksualna zmieniła na Zachodzie, szczególnie w Niemczech, Kościół i społeczeństwo? Czy po jej zwycięstwie istnieje jeszcze przyszłość dla chrześcijan w Europie?

Chodzi o dwie różne wizje tego, kim ma być człowiek: albo o wizję nihilistyczną, albo o wizję człowieka stworzonego na obraz Boży. Małżeństwo ma, zgodnie z wiarą katolicką, wielką wartość duchową i moralną. Postępowanie w taki sposób, jakby sens życia polegał tylko na gromadzeniu pieniędzy i władzy lub na „seksie”, stanowi zaprzeczenie chrześcijańskiego obrazu człowieka, który to był źródłem kultury europejskiej. Bez chrześcijaństwa Europa nie będzie mieć przyszłości. Nie da się jej zbudować w oparciu o drugorzędne dobra, takie jak potęga gospodarcza czy konsumpcja.

Co powinno się teraz stać? Nakaz karny nie jest prawomocny i obrońcy skazanych odwołali się już od wyroku. Ale jak w tej sprawie powinni postępować katolicy? Czy ksiądz kardynał sędzi, że w tej sprawie powinni zająć stanowisko również niemieccy biskupi?

Na niemieckich biskupów można długo czekać. Prace ks. Oko powinno się jak najszybciej przełożyć na niemiecki. Chociaż tylko niewielu Niemców umie czytać po polsku, to przecież są jeszcze miliony przyzwyczajonych niemieckich obywateli wszystkich wyznań chrześcijańskich, a także niechrześcijan, którzy nie zgięli swych kolan przed Baalem, bożkiem zdeprawowanego myślenia, którzy zachowali jeszcze władzę osądu moralnego i którzy wstydzą się za tę ciężką nieprawość i krzywdę, którą wyrządzono polskiemu uczonemu.



Jan Bogatko

Monachijski ksiądz Wolfgang Rothe, autor donosu na ks. prof. Oko, nie jest ostoją moralności, lecz rzecznikiem upadku Kościoła. Cel jego działań jest oczywisty: wysoko trzymać sztandar rewolucji seksualnej w Kościele

Całkiem głupia sprawa" („Eine ganz dumme Sache") to tytuł korespondencji z Wiednia Ralfa Leonharda w skrajnie lewicowej niemieckiej gazecie „TAZ" z 14 lipca 2004 r. na temat homoseksualnego skandalu w austriackim seminarium duchownym w St. Pölten. Zapożyczyłem tytuł ten rozmyślnie, ponieważ najlepiej ilustruje on zarówno sam skandal, jak i jego ciąg dalszy – z roku 2021, zakończony nieprawomocnym nakazem karnym (*) niemieckiego sądu przeciwko polskiemu teologowi, ks. prof. Dariuszowi Oko, a ściślej: wyrokowi przeciwko wolności słowa. Sam wyrok nie zaskakuje – zapadały przecież takie w Niemczech zarówno w latach demokracji narodowo-socjalistycznej, jak i demokracji ludowej. Novum polega jednak na użyciu tej broni przeciwko myślobrodni w demokracji liberalnej.

„Ideologiczna prawica w Polsce ma nowego bohatera i męczennika: krakowskiego księdza i profesora teologii, Dariusza Oko. Niedawno otrzymał ów homofobiczny duchowny za obrazoburczy artykuł w bońskim czasopiśmie »Theologisches« nakaz karny nakładający karę w wysokości 4,8 tys. euro. Alternatywą jest – stwierdził koloński sąd rejonowy (Amtsgericht) – że Oko może odsiedzieć w więzieniu 120 dni" – z satysfakcją pisze na łamach „TAZ" 17 lat po aferze w seminarium duchownym w austriackim St. Pölten Gabriele Lesser, nieubłagana wojowniczką o liberalną demokrację, zresztą korespondentka tej berlińskiej gazety w Warszawie. Ale co łączy St. Pölten, uroczą mieścinę u podnóża Alp nad rzeczką Traisen, z sądem w Kolonii i wyrokiem przeciwko polskiemu teologowi? O tym także pisze Gabriele Lesser, aczkolwiek starannie unikając szczegółów, kompromitujących księży homofilów, do



Wolfgang Rothe, autor donosu na ks. prof. Oko
FOT. DPA/PAP

Całkiem głupia sprawa

jakich niewątpliwie należy autor donosu na ks. prof. Oko, Wolfgang F. Rothe.

OSKARŹCIEL Z MONACHIUM

Gabriele Lesser kontynuuje swą opowieść o artykule ks. prof. Oko w niemieckim, wydawanym w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy przez oficynę nova et vetera e.K w Nadrenii dwumiesięczniku „Theologisches". Pismo jest konserwatywne, a zatem podejrzane: „W Monachium czytał to [artykuł ks. prof. Oko – przyp. J.B.] katolicki ksiądz Wolfgang F. Rothe i był przerażony. Rothe od lat angażuje się na rzecz praw homoseksualistów w Kościele. Złożył on skargę karną przeciwko profesorowi, wykładającemu na Papieskim Uniwersytecie Jana Pawła II w Krakowie, i przeciwko Johannesowi Stöhrowi, redaktorowi odpowiedzialnemu »Theologisches«".

I tutaj pojawia się zaskakujący związek przyczynowo-skutkowy między ks. prof. Oko i księdzem z Monachium, Wolfgangiem Rothem, bojownikiem (podobnie jak aktywistka Lesser z „TAZ") o bliżej nieokreślone prawa homoseksualistów. Aby pojąć ów związek, musimy cofnąć się w czasie – do lipca 2004 r.

– i przenieść do uroczego miasteczka St. Pölten w Dolnej Austrii.

Co takiego obrazoburczego napisał ks. prof. Oko z Krakowa? Gabriele Lesser śpieszy donieść, że w wydaniu czasopisma „Theologisches" na styczeń/luty 2021 r. w artykule pod tytułem „O konieczności ograniczenia klik homoseksualnych w Kościele" ks. prof. Oko określa księży pedałów (w oryginale „schwule Priester") mianem „kolonii pasożytów", „raka" i „homoseksualnej plagi". Jej zdaniem naukowiec, podnosząc takie zarzuty, nie może powoływać się na wolność akademicką. Ta, jak wiadomo w kręgach Gabriele Lesser, zezwala na inwektywy (i to nawet nieoddające faktycznego stanu rzeczy!) tylko lewicowym aktywistom LGBT itd. i tylko wówczas nie pociąga za sobą kary, jako że mniejszość ta wymaga stałej ochrony.

Inaczej ochrona ta wyglądała jednak w roku 2004. Homoseksualizm był wówczas czymś nagannym, aczkolwiek niekaralnym, szczególnie gdy można go było wykorzystać w walce z Kościołem katolickim. Ralf Leonhard, korespondent gazety „TAZ" w Wiedniu, nie kryjąc schadenfreude, pisał 14 lipca 2004 r.:

„W seminarium duchownym w St. Pölten promuje się chrześcijańską »miłość bliźniego«. Jednakowoż w formie, która niewiele zachwyca katolickich purpuratów. W ubiegłym tygodniu do licznych austriackich środków masowego przekazu przesłano zdjęcia, ukazujące obu kierowników seminarium w jednoznacznie homoerotycznych pozach z wychowankami. Biskup diecezjalny Kurt Krenn, przełożony seminarium, wymiguje się, dosłownie mówiąc o »chłopięcych żartach«, wprawdzie godnych potępienia, ale w żadnym razie nie wskazujących na seks z mężczyznami”.

A nawet jeśli byłby to seks z mężczyznami, to co w tym złego? – napisałaby pewnie dzisiaj na dalszym etapie rewolucji LGBT itd. Gabriele Lesser. Ale – by nie wywoływać wilka z lasu – woli nie wspominać o wydarzeniach za murami seminarium z aktywnym udziałem dzisiejszego oburzonego oskarżyciela z Monachium, ks. Wolfganga Rothego, ówczesnego wicekierownika (subregensa) seminarium duchownego, a dzisiejszego obrońcy nieokreślonych praw uciskanych homoseksualistów. Zburzyłoby to bowiem wizerunek „katolickiego księdza z Monachium”, zapewne człowieka o nieposzlakowanej moralności. Oddaję głos Ralfowi Leonhardowi, cytując z jego korespondencji z Wiednia do „TAZ” z 14 lipca 2004 r.: „Jedno ze zdjęć ukazuje wicekierownika (subregensa) seminarium duchownego, Wolfganga Rothego, podczas »francuskiego pocałunku« z jednym z podopiecznych. Nad nimi kołysz się gałązka jemioli. Na innym uśmiechnięty regens (kierownik seminarium) Ulrich Küchl łapie seminarzystę za krocze. Zdjęcia, o czym dzisiaj wiadomo ponad wszelką wątpliwość, ilustrują życie codzienne w zakładzie, w którym młodych ludzi przygotowywano do zawodu duchownego”.

Dalej Leonhard pisze o dramatycznym apelu anonimowego nadawcy zdjęć, najpewniej alumna seminarium, skierowanym do austriackiej prasy: „Działajcie dla dobra Kościoła w Austrii i St. Pölten”. Czy potrzebny byłby jakiś kolejny dowód na prawdziwość, zapewne bolesnych dla homoseksualistów, słów ks. prof. Oko? Wiedeński magazyn „Profil” niestrudzenie drążył dalej sprawę afery homoseksualnej w seminarium duchownym w St. Pölten. Okazało się, że szalone imprezy nie należały tam do rzadkości. Liczne zdjęcia, ukazujące alumnów

w kompromitujących pozach z kolegami i przełożonymi – jak pisze Leonhard – policja odnalazła w pokojach wychowanków. Skonfiskowano liczne komputery. Magazyn „Profil” cytuje jednego z prowadzących śledztwo: „Sami się fotografowali, bo to także ich podniecało. Czuli się bezpiecznie”. Wśród alumnów miało się znajdować jakoby „małżeństwo” – czytamy w „TAZ” – pobłogosławione przez kierownika seminarium. Egon Kapellari, biskup diecezji Graz-Seckau (wówczas wiceprzewodniczący konferencji biskupów w Austrii), uznał za nakaz chwili „jak najszybsze wysuszenie bagna”. Jednak żaden sąd nie skazał go za tę wypowiedź.

POLETKO DOŚWIADCZALNE HOMOSEKSUALISTÓW

Publiczna rozgłośnia niemiecka Südwestfunk (SWR) emitowała 20 sierpnia 2004 r. wywiad z seminarzystą z St. Pölten pod wszystkimi możliwymi tytułami „Moralność pod psem”. Wywiad na temat panujących tam stosunków i praktyk homoseksualnych przeprowadził pierwszy program niemieckiej telewizji ARD zaraz po zamknięciu seminarium duchownego w St. Pölten. Südwestfunk w Baden-Baden: „Przyszły ksiądz, który brał udział w różnych seksimprezach w seminarium, powiedział dosłownie: w seminarium panowała atmosfera homoseksualna. Między oboma regensami [jednym z nich był oskarżyciel ks. prof. Oko, Wolfgang Rothe – przyp. J.B.] a seminarzystami utrzymywano stosunki homoseksualne. Uprawiano je powszechnie”. I dalej: „To, co się tam działo, budzi grozę i jest obrzydliwe. To, że prowadzono podwójne życie, że to wykorzystano. Na zewnątrz jesteśmy na wskroś katolickim i konserwatywnym seminarium duchownym. Ale od wewnątrz było całkiem inaczej: moralność pod psem. Mimo że powołany przez papieża wizytator, bp Klaus Küng, nałożył na wszystkich, których sprawa ta dotyczy, rygorystyczny zakaz udzielania wywiadów, seminarzysta mówi: to było prawdziwe bagno”.

O tym, że seminarium duchowne w St. Pölten jest poletkiem doświadczalnym dla homoseksualistów, wiedziano już od pewnego czasu. Cytowany przez Südwestfunk zaufany biskupa przestrzegając nawet przed „seminarium duchownym jako burdelem dla homoseksualistów” i informował przełożonych, że „pan regens utrzymuje średnio trzy do czterech

relacji seksualnych, a pan subregens [Wolfgang Rothe – przyp. J.B.] średnio jedną relację homoseksualną”. Temat St. Pölten był obecny latem 2004 r. we wszystkich niemieckich mediach. W tym samym emitowanym 20 sierpnia 2004 r. materiale Südwestfunk informował o tym, że zakon jezuitów w wewnętrznym sprawozdaniu stwierdził, iż we wspólnotach zakonnych istnieją hierarchie homoseksualne. Kierownik ds. nauki w zakonie jezuitów, dr Stefan Kiechle, powiedział: „Jeśli któryś z biskupów stwierdza, że nie wyświadcza on homoseksualistom na księży, to mu nie wierzę”. Zdaniem Kiechlego temat ten nadal jest bardzo wypierany i zakłamywany, mimo że jest powszechnie dostrzegany wśród kleru.

W porównaniu z cytowanymi wypowiedziami dziennikarzy, księży i biskupów opinie wyrażone przez ks. prof. Oko na łamach niszowego, niestety, czasopisma „Theologisches” są niezwykle wyważone. Mając z kolei na uwadze postać kontrowersyjnego ks. Wolfganga Rothego, czynnego uczestnika imprez homoseksualnych w seminarium duchownym w St. Pölten, o czym – rzecz jasna – nie wspomina ani słowem korespondentka berlińskiej gazety „TAZ” w Warszawie, Gabriele Lesser, trudno się oprzeć wrażeniu, że samozwańczy kapłan homoseksualistów i bojownik o ich rzekome prawa, występując z oskarżeniem przeciwko teologowi z Krakowa, działał z najniższych pobudek, ukrywając jako heterofob swój interes w skazaniu duchownego. Wolfgang Rothe, wieloletni ksiądz z Monachium, nie jest bowiem ostoją moralności, lecz rzeźnikiem upadku Kościoła. Cel jego działań jest oczywisty: wysoko trzymać sztandar rewolucji seksualnej w Kościele – „a kto nie z nami, ten przeciwko nam”. Absolutnie wątpliwe, by ks. Wolfgang Rothe nie wiedział o pornografii dziecięcej, krążącej w seminarium w St. Pölten, o czym 19 lipca 2004 r. pisał tygodnik „Stern”. Ale wtedy czcigodny ks. Wolfgang Rothe jawiłby się nam już jako obrońca nie tyle homoseksualizmu, ile pedofilii, nowego frontu rewolucji seksualnej.

Wiele się zmieniło przez 17 lat.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

(*) STRAFBEFEHL – niemiecki nakaz karny, orzeczenie sądu bez udziału oskarżonego, bez procesu, oficjalnie dla uproszczenia postępowania. Jeśli skazany w tym paraprocesie nie wniesie sprzeciwu, to staje się on prawomocnym wyrokiem

MACIEJ PIECZYŃSKI: W książce „Polska i trzy Rosje” omawia pan relacje odrodzonej w 1918 r. Polski z trzema różnymi opcjami, które albo rządziły, albo walczyły o władzę na Kremlu po upadku caratu. Trzecia Rosja Sawinkowa była nam najbardziej przyjazna, tu raczej nie ma sporu. A porównując „białych” i „czerwonych” – która strona była dla Polski mniejszym złem?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Z późniejszej perspektywy wydaje się oczywiste, że „mniejszym złem” była biała Rosja. Wiemy bowiem, jaki bilans ofiar i zniszczeń, nie tylko fizycznych, lecz także moralnych, pociągnęło za sobą trwanie komunizmu. Bohaterowie mojej książki tego jeszcze nie mogli wiedzieć...

W 1920 r. było wiadomo, że „czerwoni” to barbarzyńcy, ale nie było wiadomo, do jakich zbrodni są zdolni, poza tym wciąż pamiętano niewolę za caratu, którego spadkobiercami w dużej mierze byli „biali”...

Józef Piłsudski i jego otoczenie wychowali się na walce przeciwko imperialnej Rosji, której spadkobiercami byli „biali” generałowie. Jednak to nie resentyment antycarski był tu najważniejszy. Piłsudski uważał, że wojna domowa w Rosji jest dla Polski korzyścią samą w sobie, niezależnie od oceny walczących stron. Czas, w którym „biali” i „czerwoni” będą się wzajemnie wykrwawiać, państwo polskie miało wykorzystać i umocnić się na tyle, by już żadna władza w Moskwie nie zagroziła Warszawie. Jednak ten czas okazał się krótszy, niż przewidywał Piłsudski. Naczelnik Państwa nie docenił bolszewików. Ponadto błędnie założył, że Zachód nie będzie chciał pogodzić się z ich zwycięstwem.

W swojej książce „Pierwsza zdrada Zachodu” przypominałem, jak błyskawicznie brytyjski premier David Lloyd George postanowił zaakceptować władzę Lenina, w myśl zasady: „W Moskwie rządzą ludożercy, ale przecież handlujemy z ludożercami”, a Rosja wciąż jest wielkim krajem, z którym musimy robić interesy, by utrzymać porządek w Europie. Cały pomysł Piłsudskiego polegał na tym, by wykorzystując wewnętrzne zamieszanie w Rosji i jej nieobecność na konferencji pokojowej w Paryżu, wzmocnić Polskę, rozszerzyć jej granice na wschodzie, a przede wszystkim stworzyć nowy układ geopolityczny w Europie Wschodniej z niepodległą Ukrainą jako buforem zabezpieczającym przed ekspansją Moskwy.

Czasu jednak zabrakło, bolszewicy wygrali wojnę domową i umocnili się



Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem, sowietologiem rozmawia Maciej Pieczyński



FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

u władzy. Od czasów Piotra I Zachód przyzwyczaił się, że jego najważniejszym partnerem na wschodzie Europy jest Rosja, a od czasów Katarzyny II odzwyczaił się od obecności Polski na mapie. Piłsudski mylnie zakładał, że Wielka Brytania, a przynajmniej Francja, z powodu niechęci ideologicznej do wrogów kapitalizmu, mając do wyboru „czerwoną” Moskwę i Warszawę, wybierze jednak Warszawę jako swojego sojusznika zastępczego, nowy filar bezpieczeństwa w regionie.

Zdaniem wielu badaczy bolszewicy wygrali, gdyż byli najbardziej bezwzględni i zdecydowani, inni przekonują, że partia Lenina odczytała najlepiej nastroje społeczne. Niektórzy twierdzą, że do zwycięstwa „czerwonych” przyczynił się Piłsudski, bo nie sprzymierzył się z białymi i nie ruszył na Moskwę...

Zrzucanie odpowiedzialności na Piłsudskiego to kompletna groteska. Gdy jesienią 1919 r. na Moskwę szła ofensywa

i Judenicza razem wziętych. Piłsudski oficjalnie pytał wtedy przywódców państw ententy, czy otrzyma od nich wsparcie sprzętowe i finansowe, jeśli zdecyduje się ruszyć na Moskwę, by wspomóc Denikina. Otrzymał odpowiedź odmowną. Zachodni przywódcy przekonywali, że taka ofensywa wzmocni nastroje patriotyczne Rosjan, którzy wobec zagrożenia z zewnątrz, zamiast walczyć z „czerwonymi”, skupią się wokół nich i na ochotnika pójść się bić pod ich sztandarami. Bolszewicy wystąpią w roli obrońców świętej Rusi przed najazdem polskich interwentów. Powróci widmo 1612 r.

Słuszność tych obaw pokazała kilka miesięcy później wyprawa kijowska, która została odebrana jako najazd na Rosję i popchnęła wielu rosyjskich patriotów o antybolszewickich poglądach do walki



ANDRZEJ NOWAK
„POLSKA I TRZY
ROSJE”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE

3,5-milionowej Armii Czerwonej mogła wystawić ledwie 550 tys. żołnierzy, w 80 proc. nieprzygotowanych do walki, niewyszkolonych, nieostrzelanych, a potrzebnych także na niepewnej granicy z Niemcami czy agresywną wówczas Czechosłowacją.

Skoro to nie Piłsudski uratował bolszewizm przed upadkiem, to jaka była najważniejsza przyczyna zwycięstwa „czerwonych” w wojnie domowej?

Anomia społeczna Rosji. Przed 1914 r. nie udało się w tym kraju zbudować nowoczesnego narodu. W okopach pierwszej wojny światowej nie walczyli patrioci, świadomi obywatele, tylko poddani cara. Gdy zaś car okazał się nieudolnym wodzem naczelnym, również od niego się odwrócili. Najbardziej cyniczni spośród sił rewolucyjnych, bolszewicy, zajęli obie stolicę, a następnie metodą krwawego podboju zagarnęli resztę kraju. Wielu Rosjan zaakceptowało ich rządy nie z miłości do komunizmu, nie ze strachu przed terrorem, ale dlatego, że od anonii społecznej lepsza jest jakakolwiek władza. W rewolucyjnej zawierusze panował zabójczy chaos, każdy miał broń i każdy o coś walczył, więc też każdy mógł w każdym momencie zginąć. Bolszewicy ten chaos brutalnie opanowali. Owszem, też zabijali, ale już bardziej selektywnie, nie wszystkich. Śmierć stała się jakby mniej przypadkowa i wszędobylska, można było, trzymając się pewnych reguł konformizmu i podporządkowania nowej władzy, jej uniknąć. Lenin przywrócił system silnej władzy w Rosji – a to dla Rosjan była wartość, której niestety nie umieli w roku 1917 pogodzić z wolnością.

Na początku 1920 r. bolszewicy proponowali Polsce rozmowy pokojowe, jednocześnie co prawda szykując się do ofensywy. Granica, na którą moglibyśmy wówczas liczyć, niewiele różniła się od tej, którą ostatecznie ustalono potem w Rydze. Może warto byłoby przyjąć pokój?

W 80. rocznicę Bitwy Warszawskiej zorganizowałem na łamach „Arkanów” obszerną ankietę na temat tego zagadnienia, z udziałem m.in. Jerzego Giedroycia, Piotra Wandycza czy Mariana Kamila Dziewanowskiego. Tylko PRL-owscy historycy twierdząc odpowiedzieli wtedy na pytanie, które pan postawił. Wierzyli bowiem w pokojowe intencje

Trzecia Rosja

– to mogło się udać

wa gen. Denikina, owszem, zatrzymał Wojsko Polskie kawałek za Mińskiem i prowadził tajne rokowania z bolszewikami, co pozwoliło Armii Czerwonej przerzucić 40 tys. bagnetów i szabel z przeciwpolskiego frontu na front walki z „białymi”. Tyle że ta liczba nie mogła przechylić szali zwycięstwa. Armia Czerwona i tak była bowiem siedmiokrotnie liczniejsza od sił Denikina, Kołczaka

u boku Lenina.

Słuszna uwaga. Kilkadziesiąt tysięcy carskich oficerów zaciągnęło się wówczas na ochotnika do Armii Czerwonej. Chcieli bronić Kijowa, nazywanego „matką grodów ruskich”, przed interwencją „polskich panów”. Wyobraźmy więc sobie, co by się wydarzyło, gdyby polskie wojska ruszyły na Moskwę... Ponadto jesienią 1919 r. Polska przeciwko

■ Lenina – wbrew faktom niestety. Na początku 1920 r. generalissimus Ferdynand Foch radził nie atakować bolszewików, tylko trzymać pozycje obronne. Polacy jednak nie byli w stanie obsadzić, a co dopiero utrzymać 1,5 tys. km linii frontu. Takie nastawienie dawałoby inicjatywę strategiczną bolszewikom. To oni wybraliby moment ataku. Piłsudski nie miał złudzeń co do Lenina, którego zresztą poznał wcześniej, nie miał żadnych wątpliwości, że jest to polityk o mentalności imperialnej, który dąży do absolutnej dominacji zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej w relacjach z sąsiadami.

Celem Sowietów była rewolucja europejska, którą można było rozpętać jedynie drogą podboju Polski. Rozmowy pokojowe były w dużej mierze zasłoną dymną. W 1995 r. odkryłem w moskiewskim archiwum wojskowym przygotowane w styczniu 1920 r. szczegółowe plany napadów Armii Czerwonej na Polskę, wyznaczonej na maj, w kierunku Warszawy. Wyprawa kijowska opóźniła próbę realizacji tego scenariusza o kilka czy kilkanaście tygodni. Uderzając jako pierwszy, Piłsudski uzyskał na chwilę inicjatywę strategiczną. Niestety, nie udało się stworzyć buforowego państwa ukraińskiego, które by Polskę od bolszewików odgrodziło. Ale to wiedza, którą my mamy. Piłsudski na początku 1920 r. mógł mieć nadzieję, że jego plan się powiedzie. Choć szans takich nie widzieli jego oponenti z obozu Narodowej Demokracji.

Endecy, jak widać, trafnie przewidzieli, że Ukraińcy nie będą w stanie zbudować własnego państwa.

Tak, z punktu widzenia kolejnych wydarzeń zastrzeżenia Romana Dmowskiego i Stanisława Grabskiego były słuszne. Piłsudski mógłby jednak na to odpowiedzieć: „Ale ja przynajmniej próbowałem”. Próbował postawić niepodległą Ukrainę i tym samym wzmocnić pozycję Polski, która przestałaby być słabą sąsiadką potężnej Rosji, zaprzyjaźnionej z Zachodem.

Przejdźmy do „białej Rosji”. Wiemy, że Kołczak i Denikin nie chcieli nawet rozmawiać o ustępstwach terytorialnych na rzecz Polski w zamian za pomoc w walce z bolszewikami. W ich wizji Polska na wschodzie miała w najlepszym przypadku sięgać granic dawnej Kongresówki...

Istotnie, „biali” generałowie konsekwentnie i honorowo, nie bawiąc się w żadne gry dyplomatyczne, mówili

Dzisiejsza Rosja łączy to, co najgorsze w spuściźnie imperium carów, z podobnymi cechami dziedzictwa Związku Sowieckiego

Polakom, że mają przywracać dwugłowe carskie orły w Wilnie, Grodnie, a nawet we Lwowie, który nigdy wcześniej do Rosji nie należał... Dziś też z łatwością w Internecie można znaleźć publikacje, podkreślające rosyjskość ziem nie tylko na wschód, lecz także na zachód od Bugu. Bo przecież Warszawa też kiedyś była pod berłem cara... Nie warto tych głosów lekceważyć, gdyż jest to sposób myślenia typowy dla rosyjskich elit imperialnych – zarówno w latach 1919 czy 1920, jak i w 2021. Sto lat temu owe elity z rozbrajającą szczerością apelowały do Polaków, używając takiego oto argumentu: „Musicie nam pomóc, bo my jesteśmy wielkim mocarstwem, a wy małym krajem, który musi istnieć obok nas albo wcale”. Oczywiście, gdyby zwyciężyli „biali”, nie byłoby GAŁagu, wielkiego terroru, być może nie wybuchłaby także druga wojna światowa. Polska też najpewniej stałaby się marionetkowym państwkiem, okrojonym do granic Kongresówki (plus zachodnia Galicja), należącym do rosyjskiej strefy dominacji. O ile porozumienie z bolszewikami było dla Zachodu możliwe, ale jednak problematyczne, o tyle z „białymi” Paryż, Londyn i Waszyngton znalazłyby momentalnie wspólny język.

W walce z bolszewikami mieliśmy po swojej stronie ententę, w przypadku konfliktu z „białymi” ententa stanęłaby po przeciwnej stronie. Nie mielibyśmy żadnych argumentów?

Żadnych. Zachód bardzo chciał odtworzenia starej, dobrej Rosji – przewidywalnego mocarstwa, które będzie równoważyć wpływy Niemiec. Bylibyśmy więc postawieni wobec dylematu, którego echa słyszymy w dzisiejszym układzie geopolitycznym – albo Polska będzie częścią niemieckiej Mitteleuropy, albo będzie autonomicznym, cieszącym się własną kulturą, ale pozbawionym szans na samodzielność kałubkiem w ramach rosyjskiej strefy wpływów. Gdyby wygrała „biała” Rosja, zapewne nie byłoby GUŁagu i 17 września, ale też nie byłoby – skoro tak już „gdybamy” – w końcu XX w.

niepodległego państwa polskiego. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek by powstało – nie byłoby bowiem komunizmu, do którego obalenia dążyłby Zachód. Nikt nie miałby interesu w wyzwaniu Polski spod „białego” rosyjskiego imperializmu.

Na koniec: trzecia Rosja Borysa Sawinkowa. Antysowiecka i antycarska jednocześnie, najbardziej skłonna do ustępstw wobec Polski. Dmitrij Fiałosofow, wybitny krytyk, związany z tym obozem, stwierdził nawet, że Rzeczpospolita powinna powrócić do swoich granic przedrozbiorowych...

Zaplecze intelektualne trzeciej Rosji reprezentowały rzeczywiście piękne, moralnie szlachetne postaci. Ważniejsze jednak, co mieli do powiedzenia polityczni liderzy tego obozu. Borys Sawinkow wywodził się z najpopularniejszej wówczas rosyjskiej partii socjalistów-rewolucjonistów. W jedynych względnie wolnych i wiarygodnych wyborach parlamentarnych w Rosji przed 1991 r., to jest w listopadzie 1917 r., eserowcy zdobyli najwięcej głosów – 40 proc. Ich elektoratem byli chłopci, czyli najliczniejszy żywioł w Rosji. Sawinkow wstawił się bezwzględnie walcą z caratem, organizował serie ataków terrorystycznych na członków rodziny carskiej. Jednocześnie już w 1918 r. organizował pierwsze wielkie powstania chłopskie przeciwko bolszewikom. Utrzymywał dystans wobec imperializmu „białych” i komunizmu „czerwonych”. Eserowcy już przed pierwszą wojną światową w swoim programie proponowali przekształcenie Rosji w federację. Nie brali, rzecz jasna, pod uwagę niepodległości Ukrainy, ale już daleko idącą jej autonomię – owszem. Piłsudski miał więc z nimi o czym rozmawiać.

Wspomniana wizja powrotu do granic z 1772 r. pewnie by się ziściła, ale też Sawinkow nie chciał zepchnąć Polski do linii Bugu?

Zapewne nie byłoby takiego ryzyka. Sawinkow nie rościł sobie praw do Litwy – tutaj więc Piłsudski miałby pełne pole do popisu. Trochę inaczej zapewne byłoby, gdy idzie o ziemie białoruskie i ukraińskie, które każdy Rosjanin tamtej epoki traktował jako swoje. Jednak dla Sawinkowa najważniejszym celem było pokonać bolszewików. Nie zależało mu na odbudowie imperium w starej formie, skoro był zwolennikiem federacji. Dlatego też, w odróżnieniu od „białych”, był gotów płacić ziemią byłego imperium w zamian za pomoc w walce z „czerwonymi”. Podobnie jak Fiałosofow uważał,



Borys Sawinkow wywodził się z najpopularniejszej wówczas rosyjskiej partii socjalistów-rewolucjonistów

FOT. DOMENA PUBLICZNA

że rozbiory Polski były zbrodnią. Trudno mu było jednak, jako rosyjskiemu patriocie, pogodzić się z powrotem do granic sprzed rozbiorów. Otwierało się jednak pole do negocjacji. Z pewnością jednak obóz trzeciej Rosji nie zamierzał spychać Polski do granic Kongresówki. Ta nowa Rosja byłaby nie tylko okrojona terytorialnie w porównaniu z imperium carów czy zakusami bolszewików, lecz także przestałaby być „jedinaja, niedielimaja”, a stałaby się wieloetnicznym, federacyjnym państwem, w którym etnosy inne niż rosyjski miałyby warunki do w miarę nieskrępowanego rozwoju. Ta wizja wydawała się realna w latach 1919–1920...

Dlaczego więc trzecia Rosja nie powstała?

Plan Piłsudskiego był następujący. Najpierw tworzy się niepodległą Ukrainą. Utrzymuje się ostatni przyczółek „białej” Rosji na Krymie, na czele z gen. Wranglem, jedynym spośród „białych” generałów, który był gotów na kompromis z Polską. Tymczasem na tyłach bolszewików wybuchają wielkie powstania chłopskie, zorganizowane przez Sawinkowa. Udało się zrealizować tylko tę ostatnią część scenariusza. Powstania wybuchały aż do 1921 r. i były tłumione przez Armię Czerwoną w sposób ludobójczy, z użyciem broni chemicznej. Potencjał antybolszewickiego buntu w Rosji istniał. Sawinkow mógł od wewnątrz pokonać Lenina, gdyby do tego doszło poważne militarne zwycięstwo Piłsudskiego. Niestety, Polakom nie udało się utrzymać w Kijowie i wojna o nowy układ geopolityczny w Europie Wschodniej zmieniła się w wojnę obronną, której stawką były już „tylko” niepodległość Polski i obrona centrum Europy przed eksportem leninowskiej rewolucji.

Gdyby Polacy pobili Armię Czerwoną nie pod Warszawą, ale gdzieś na wschód od Dniepru, antybolszewicki bunt, inspirowany przez trzecią Rosję, być może miałby szansę powodzenia. Jednak Polska nie była w stanie tego dokonać. Po pierwsze, nie było poparcia mocarstw zachodnich. Po drugie, również polskie społeczeństwo nie było zainteresowane realizacją planów Piłsudskiego. Polacy chcieli niepodległości, ale także pokoju, po sześciu już latach wojny przetaczających się przez nasze ziemie. Walka z bolszewikami do końca, walka o granice z 1771 r. była atrakcyjna dla znikomej mniejszości społeczeństwa.

Tylko czy taki plan mógł się w ogóle powieść? Przecież marsz Piłsudskiego na Moskwę mógł ponownie wywołać patriotyczne wzmożenie i zjednoczyć Rosjan wokół bolszewików, a Sawinkow zostałby uznany za zdrajcę.

Na pewno nie wchodził w grę marsz na Moskwę. Piłsudski nie był głupi. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zajęcie Kremla przez Polaków zostałoby fatalnie odebrane przez Rosjan...

Sawinkow zostałby uznany za nowego Dymitra Samozwańca, a Lenin mógłby się wcielić w postać księcia Pożarskiego – przywódcy ludowego buntu przeciwko polskiemu interwentom...

Chodziło o to, by pokonać najpierw „Pożarskiego”, niejako uprzedzając bunt przeciwko nowemu Dymitrowi Samozwańcowi. Polacy musieliby pobić Armię Czerwoną w decydującej bitwie nie w sierpniu pod Warszawą, lecz w maju gdzieś daleko na wschodzie. Gdyby Ukraina stanęła na własnych nogach do jesieni 1920 r., bolszewicka Rosja, pozbawiona ukraińskiego zboża, stanęłaby w obliczu klęski głodu. Głód

i tak wybuchł, choć Lenin utrzymał Ukrainę – można więc sobie wyobrazić, jakie rozmiary by przybrał, gdyby Armia Czerwona na dłużej została przepędzona z Kijowa. Chłopi byli jeszcze w stanie się zbuntować. Nie tak, jak podczas Hołodomoru na początku lat 30. Bez zwycięstwa Piłsudskiego cały plan jednak nie mógł wypalić.

Na ile dylematy sprzed 100 lat są nadal aktualne? Wydaje się, że współczesna Rosja jest połączeniem „białej” i „czerwonej”. Trzeciej, przysiężnej Polsce Rosji, ze świecą szukać – bo chyba nie uznamy za jej spadkobiercę Aleksieja Nawalnego...

Nawalny to skrajny wielkoruski szowinista. Więcej w nim z Denikina niż Sawinkowa. I mogłby być dla sąsiadów Rosji bardziej niebezpieczny od Putina, bo dla swych wielkoruskich, imperialnych ambicji mógłby jeszcze szybciej uzyskać poparcie Zachodu.

Dzisiejsza Rosja pod względem politycznym i społeczno-narodowym jest w zasadzie jedna. I rzeczywiście tworzy ją coś, co prof. Włodzimierz Marciniak, były ambasador RP w Moskwie, trafnie określił mianem „durnoj sintiez”. Czyli „zła synteza” – to, co najgorsze w spuściźnie imperium carów (czyli uwielbienie władzy i pociecha czerpana z imperialnej dominacji nad sąsiadami), łączy się z podobnymi cechami dziedzictwa Związku Sowieckiego. To połączenie tradycji podbojów, rozślawnionych przez kulturę rosyjską od Dierżawina i Puszkina do Dostojewskiego, z kultem dobrego czekisty, którego najdoskonalszym wcieleniem jest oczywiście strażnik imperium – Putin.

Jest jednak trzecia Rosja. Słaba, ale dzielna. Bohatersko dzielna, ale rozpaczliwie słaba. To szlachetni ludzie, którzy próbują reinterpretować historię swojego kraju w kierunku mniej imperialnym. Są gotowi mówić o błędach i zbrodniach swojego imperium. Wymienię choćby prof. Zubowa, wyrzuconego z uniwersytetu MGIMO za samo stwierdzenie istoty paktu Ribbentrop-Mołotow, czy działaczy partii Parnas, którzy zamiast o Iwanie Groźnym wołać pamiętać o republikańskiej tradycji Nowogrodu Wielkiego, wolnościowego dziedzictwa kultury rosyjskiej – i do niej wytrwale nawiązując przeciw oficjalnej Rosji Putina. Dopóki tacy ludzie są – dopóty jest jednak nadzieja. Dlatego warto tę trzecią Rosję przypominać.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

W cieniu gigantów

Z reguły w tej rubryce omawiam książki historyczne. Tym razem jednak – powieść. Myślę, że Czytelnicy mi to wybaczą. Po pierwsze, trwają wakacje. A po drugie, jest to powieść historyczna. Akcja „Przewozu” toczy się na Podlasiu w trakcie kilku dni poprzedzających wybuch wojny między III Rzeszą a Związkiem Sowieckim.

Jeżeli chodzi o walory artystyczne, to jest to bez wątpienia literatura najwyższej próby. Andrzej Stasiuk jest mistrzem plastycznego, obrazowego języka: „Toczyli brudny miód pogłosek”, „Rano krowy wlekły łańcuchy srebrne od rosy”. Na kartach „Przewozu” pełno jest takich passusów.

Powieść ma jednak mankamenty. Pierwszy to sprawa drobna. Groteskowe, nużące sceny erotyczne, które zamiast rozpalic wyobraźnię, wywołują zażenowanie i nudę.

Druga sprawa jest poważniejsza.

Chodzi o parę żydowskich uciekinierów – dziewczynę i chłopaka – którzy próbują przedostać się przez Bug, aby uciec pod okupację sowiecką. Są to postaci pozytywne. Wrażliwi, delikatni, inteligentni młodzi ludzie. Ocytani w literaturze pięknej, znający

języki obce, przed wojną podróżujący do Paryża.

I oto, w trakcie swojej tułaczki, para trafia w zwierzęcy, ordynarny świat Polaków z Podlasia. Świat pełen dzikiej przemocy, wódy, przekrwionych kaprawych oczu, tłustej wieprzowiny i pijackich rzygów.

„Po tych wszystkich dniach wydaje mi się, że śmierdzieć jak oni” – mówi żydowska dziewczyna. „Może i tak. Ale to nigdy nie będzie taki sam smród, Doris” – odpowiada chłopak.

Ten wątek książki to sztampa, którą czyta się jak parodię. Dużo lepiej Stasiukowi wyszło przedstawienie miejscowego polskiego oddziału partyzanckiego. Z jednej strony potężne, najeżone bronią pancerną i nowoczesną technologią Niemcy. Z drugiej – sowiecki kolos, miażdżący wszystko na swojej drodze. A w środku Polacy. Z wielkimi ambicjami, ale bez środków do ich realizacji. Zmuszeni do biernego przyglądania się, jak na ich ziemi ściera się wielkie mocarstwa.

„Bo jesteśmy słabi, kurewsko słabi – mówi plutonowy »Siwy« – a powinniśmy być mocni”.

No właśnie, powinniśmy być mocni. My zaś niestety nasze niewielkie zasoby lekkomyślnie trwoniliśmy. ©©



★★★★★
ANDRZEJ STASIUK
„PRZEWÓZ”
CZARNE 2021



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nowela sierpniowa

Przewrót majowy był ewenementem w dziejach świata. Rebelianci odnieśli zwycięstwo, ale nie zawieszono konstytucji, nie rozwiązano parlamentu, nie wprowadzono też stanu wyjątkowego na terenie całego kraju. Więzienia nie zapełniły się pokonanymi, a triumf Piłsudskiego natychmiast został zalegalizowany.

Od tej pory nic w kraju nie mogło się wydarzyć bez zgody Piłsudskiego

Ustąpili tylko rząd i prezydent, a złośliwi komentowali, że przelewano krew tylko po to, by Piłsudski został ministrem. A stanowisko to przecież proponowano mu już wcześniej. W rzeczywistości jednak od tej pory nic w kraju nie mogło się wydarzyć bez jego akceptacji. Piłsudski mocno uchwycił władzę, choć nie przywiązywał wagi do jej zewnętrznych atrybutów. Interesowała go wyłącznie praktyka, nie pusta symbolika i pozory.

2 sierpnia 1926 r. parlament posłusznie przegłosował poprawki do konstytucji, wzmacniające władzę wykonawczą. Prezydent otrzymał prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy (konieczna była jednak akceptacja parlamentu w terminie 14 dni), głowa państwa uzyskała też prawo do rozwiązywania Sejmu i Senatu. W przypadku nieuchwalenia budżetu prezydent miał

prawo wyrazić zgodę na posługiwanie się przez rząd poprzednią ustawą budżetową. Podczas głosowania nad nowelizacją konstytucji, doszło do niecodziennego wydarzenia. Na skutek zwyyczajnej pomyłki Sejm i Senat (ku radości piłsudczyków) straciły prawo do samorozwiązania i w tej wersji ustawa weszła w życie.

Do pierwszego starcia Piłsudskiego z parlamentem doszło już we wrześniu – znaczną większością głosów udzielono wówczas dymisji dwóm ministrom rządu Bartla. W odpowiedzi premier zrezygnował z funkcji i pojechał do Druskiennik (gdzie przebywał Piłsudski) po instrukcje. Po raz pierwszy publicznie potwierdzono pozycję marszałka w nowym układzie politycznym.

Piłsudski miał jasno określony cel. Po legalizacji przewrotu zamierzał zdyskredytować parlament w oczach społeczeństwa. Kompromitacja posłów powinna umożliwić zwycięstwo w kolejnych wyborach, a następnie zmianę konstytucji. Ekipa marszałka cieszyła się zresztą rosnącym poparciem, co zawdzięczała poprawie koniunktury gospodarczej. Długotrwały strajk brytyjskich górników otworzył rynki europejskie dla polskiego węgla i gospodarka kraju natychmiast to odczuła. Kadenecja parlamentu upływała za kilkanaście miesięcy i ten czas zwolennicy marszałka uznali za wystarczający do przygotowania wyborów. Okazało się jednak, że wygrać wybory, a wprowadzić nową konstytucję, to dwie różne sprawy. ©©

NAJLEPSZY PROGRAM
INTERWENCYJNY W POLSCE!

NA POMOC!



niedziela
21:30

poniedziałek
19:35

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

#włączprawdę

zaprasza
Ilona Januszewska



Raport: SARS-CoV-2 uciekł z laboratorium



Jacek Przybylski

Większość dowodów świadczy o tym, że wirus, który wywołał pandemię COVID-19, wydostał się z ośrodka badawczego w chińskim mieście Wuhan – stwierdzają autorzy raportu dla Partii Republikańskiej. Do podobnego wniosku coraz częściej dochodzą też naukowcy z różnych krajów świata

Już ponad półtora roku ludzkość walczy z pandemią COVID-19. Liczba zakażeń oficjalnie wykrytych na całym świecie od początku pandemii wynosi ponad 200,6 mln. Na chorobę wywołaną przez nowego koronawirusa zmarło już co najmniej 4,2 mln osób. Szacuje się, że krótkoterminowy koszt pandemii wynosi niespełna 2 mld dol., a długoterminowy – według ekspertów Asian Development Bank – wyniesie od 5,8 bln do 8,8 bln (!) dol., czyli od 6,4 proc. do 9,7 proc. światowego PKB.

Dzięki masowej akcji szczepień udało się – przynajmniej tymczasowo – zmniejszyć liczbę ofiar śmiertelnych i znieść większość szkodliwych dla gospodarki ograniczeń. Nadszedł więc czas, aby wolny świat zwrócił uwagę na przyczynę

tej pandemii i znalezienie winnego tego największego od lat kryzysu.

JAK POWSTAŁ SARS-COV-2?

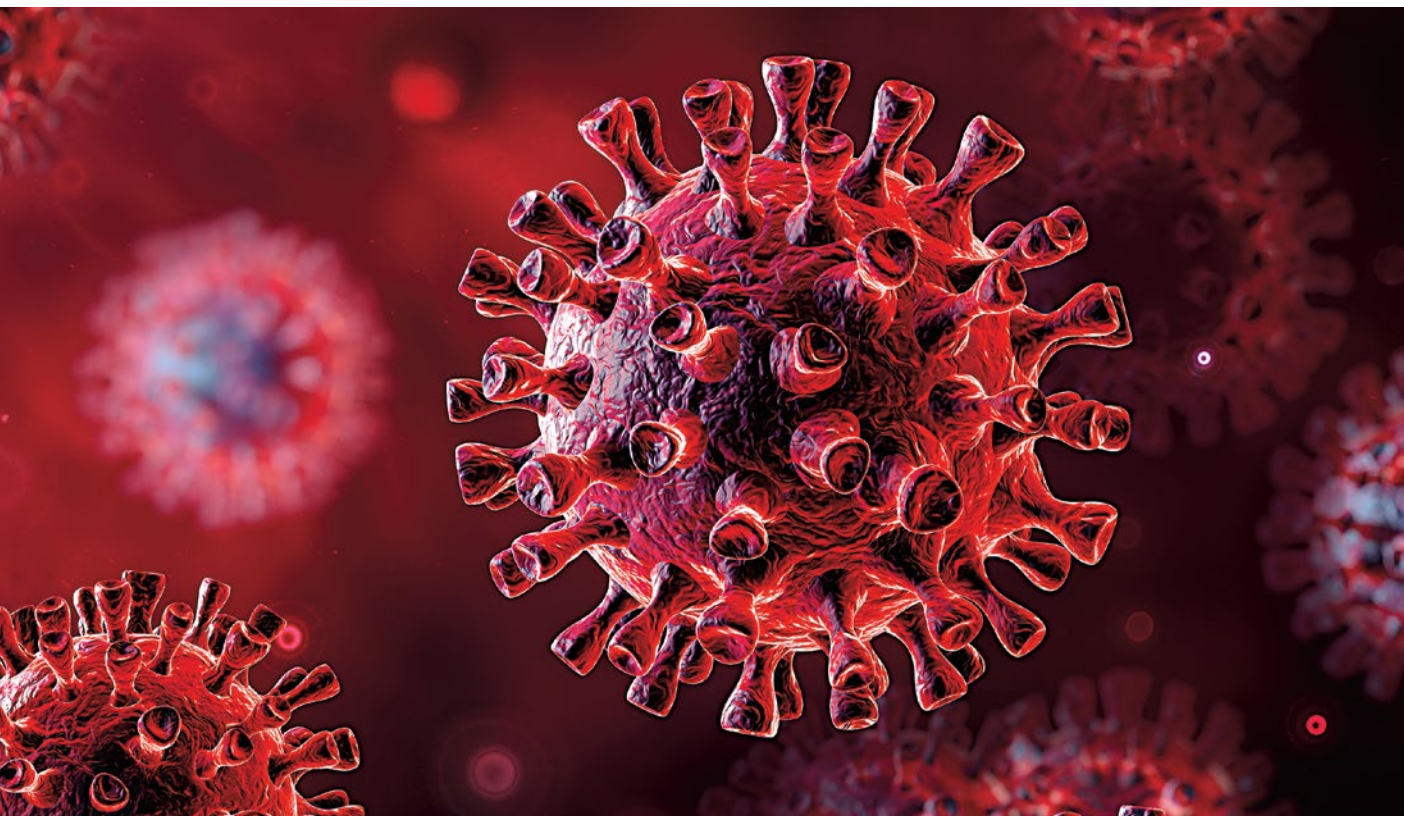
Coraz więcej polityków i ekspertów wierzy, że przyczyną pandemii należy szukać nie tylko w Chinach – pierwsze odnotowane przypadki zakażenia koronawirusem SARS-CoV-2 zidentyfikowano w grudniu 2019 r. w chińskim mieście Wuhan – ale wprost za pandemię obarczają oni nieodpowiedzialne działania Komunistycznej Partii Chin.

Na początku sierpnia przedstawiciel amerykańskiej Partii Republikańskiej Mike McCaul opublikował raport sporządzony na zlecenie tej partii, dotyczący pochodzenia SARS-CoV-2. Według autorów dokumentu należy definitywnie odrzucić teorię, że źródłem światowej

pandemii był tzw. mokry rynek, a więc targ, na którym sprzedawano owoce morza oraz wszelkiego rodzaju mięso zwierząt (w tym nietoperzy oraz łuskowców), który znajduje się w pobliżu Wuhańskiego Instytutu Wirusologii. „Uważamy, że przeważająca część dowodów pokazuje, iż wirus rzeczywiście wyciekł z Wuhańskiego Instytutu Wirusologii (WIV)” – czytamy w raporcie Partii Republikańskiej, co zaprzecza wersji, że pandemia została wywołana przez wirus zwierzęcy prawdopodobnie przeniesiony na ludzi z nietoperzy sprzedawanych na targu Huanan.

Z raportu Partii Republikańskiej wynika, że koronawirus SARS-CoV-2 miał wyciec z laboratorium przed 12 września 2019 r. Wcześniej naukowcy z Wuhan – wspomagani przez amerykańskich ekspertów oraz chińskie i amerykańskie fundusze rządowe – mieli pracować nad modyfikacją koronawirusów w celu zarażania ludzi, choć tego typu działania mogły być utajnione.

Dokument opracowany na zlecenie Partii Republikańskiej przytacza również informacje na temat protokołów bezpieczeństwa w laboratorium, w tym wniosek z lipca 2019 r. o 1,5 mln dol. na remont systemu przetwarzania niebezpiecznych odpadów dla obiektu, który



FOT. ROMULO TIANI/ADBE STOCK

miał wówczas dopiero niecałe dwa lata. Autorzy raportu apelują o przeprowadzenie nowego oficjalnego śledztwa pod auspicjami zarówno Partii Republikańskiej, jak i Partii Demokratycznej, w sprawie źródeł pandemii COVID-19.

Raport Partii Republikańskiej to kolejne źródło, które jasno wskazuje laboratorium Wuhańskiego Instytutu Wirusologii jako miejsce, w którym narodził się niebezpieczny dla ludzkości wirus.

Wielu naukowców mówiło o tym już na początku 2020 r., ale – ponieważ ich teorie znalazły szybko uznanie w oczach ówczesnego prezydenta Donalda Trumpa – w środowisku uniwersyteckim traktowano ich niczym płaskoziemców. Obiektem drwin stał się także Eduardo Bolsonaro, syn brazylijskiego prezydenta, który o genezie pandemii mówił wprost: „To wino Chin”.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) bardzo szybko po wybuchu pandemii wykluczyła jednak taką genezę wirusa, a śledczy WHO odrzucili tezę o wirusie pochodzącym z laboratorium jako „teorię spiskową”. Przeciwnicy wersji „laboratoryjnej genezy” wirusa lekceważyli zarówno informacje o tym, że troje badaczy z Wuhan już jesienią 2019 r. trafiło do szpitala z objawami charakterystycznymi dla COVID-19 – co przeczy oficjalnej wer-

sji chińskich władz, że pierwszy przypadek choroby zaobserwowano w grudniu 2019 r. – jak i fakt, że już w 2004 r. z chińskiego laboratorium wydostał się wirus SARS, a także przypuszczenia, że naukowcy w Wuhan wykonywali tajne zadania na rzecz chińskich sił zbrojnych, prawdopodobnie pracując nad bronią biologiczną. Podobną tezę stawiało też wielu badaczy, którzy próbowali przekonywać, że jest za wcześnie, aby zupełnie wykluczyć „ucieczkę” wirusa z laboratorium. Przez środowisko naukowe byli oni jednak kompletnie lekceważeni.

Chińczycy podkreślali bowiem – i robią to nadal – że „Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) nakazała, aby nazwa wirusa nie kojarzyła się z żadnym państwem lub regionem” i oburzają się, gdy politycy, naukowcy lub dziennikarze używają takich określeń jak „chiński wirus” czy „wirus z Wuhan”. W kwietniu 2020 r. magazyn „Nature” – jedno z najstarszych i najbardziej prestiżowych czasopism naukowych – wzywał do zatrzymania „koronawirusowego piętna”, zwracając uwagę na falę rasistowskich ataków, których ofiarami padły po wybuchu pandemii osoby pochodzenia azjatyckiego. Co prawda, początkowo nawet na łamach „Nature” można było przeczytać o wirusie z Wuhan, ale czasopismo gwałtownie

się pokajało, dzięki czemu link do przeprasającego artykułu można znaleźć na stronach chińskich ambasad w różnych krajach świata. Chińczycy wskazują też, że słynna „hiszpanka” wcale nie pochodziła z Hiszpanii, a wirus HIV – mimo że wykryto go w USA – wcale nie musiał pochodzić ze Stanów Zjednoczonych.

ŚLEDZTWO SŁUŻB

W styczniu obecnego roku szef amerykańskiej dyplomacji Mike Pompeo oficjalnie oznajmił, że „nowe informacje mogą wskazywać, że pandemia koronawirusa ma swoje źródło w laboratorium Wuhańskiego Instytutu Wirusologii”. Na sugestie ekipy Trumpa chińskie władze odpowiadały buńczucznie, że wirus może pochodzić z laboratorium, ale... amerykańskiego. A dokładniej z bazy wojskowej Fort Detrick w Maryland. Większość naukowców nie znalazła jednak argumentów potwierdzających chińską sugestię. Od kilku miesięcy coraz głośniej mówi się o tym, że wcale nie można wykluczyć, iż wirus wydostał się z Wuhan.

Po przejęciu władzy w styczniu obecnego roku prezydent Joe Biden nakazał Departamentowi Stanu przerwać śledztwo w sprawie źródeł pochodzenia wirusa SARS-CoV-2, tłumacząc, że ma dość

„marnowania pieniędzy podatników”. W maju na łamach „Science” nieoczekiwanie ukazał się list kilkunastu naukowców wzywających do zbadania pochodzenia źródeł pandemii COVID-19, wskazując, że prawdopodobieństwo, że wirus wydostał się z laboratorium, jest tak samo duże jak to, że powstał w sposób naturalny.

Również wstępne ustalenia jednej z agencji amerykańskiego wywiadu sugerują, że długo lekceważoną teorię o wycieku SARS-CoV-2 z chińskiego laboratorium trzeba poważnie zbadać. Śledztwo w tej sprawie w maju nakazał więc służbom specjalnym wznowić ten sam prezydent Joe Biden, dając amerykańskim agencjom wywiadowczym 90 dni na przedstawienie raportu z informacją o pochodzeniu koronawirusa.

ODWAŻNE HIPOTEZY

W czerwcu dwaj amerykańscy naukowcy, Steven Quay i Richard Muller, oświadczyli publicznie, że szansa, iż koronawirus ot tak pojawił się u zwierząt na targu w chińskim mieście Wuhan, wynosi „jeden na milion”. Na łamach dziennika „The Wall Street Journal” przedstawili za to naukowe dowody na to, że patogen, który sparaliżował świat, mógł zostać stworzony w laboratorium w Wuhan. Wcześniej dziennik „The Wall Street Journal” ujawnił także fragmenty niepublikowanego raportu amerykańskich służb, w którym ma być zawarta informacja o tym, że już w listopadzie 2019 r. trzech pracowników Instytutu Wirusologii w Wuhanie trafiło do szpitala z objawami nieznanego choroby, której objawy przypominały „dziwne zapalenie płuc”.

Poszukiwaniem prawdy o pochodzeniu wirusa SARS-CoV-2 zajęli się również naukowcy z innych krajów świata, którzy podczas czerwcowej konferencji Supercomputing Frontiers Europe 2021 doszli do wniosku, że badania struktury kolca wirusa SARS-CoV-2 pozwalają sądzić, że jest on dużo lepiej dopasowany do ludzkiego receptora ACE2 niż do receptorów zwierząt, z których rzekomo miał się przenieść na człowieka.

Nietoperze wydawały się najbardziej prawdopodobnym nośnikiem wirusa SARS-CoV-2, ponieważ znaleziono u nich bardzo podobnego wirusa i to one były źródłem epidemii SARS z 2002 r. (wirus, który ją wywołał, nazywany jest obecnie SARS-CoV-1). Tym razem wirus „pasuje” jednak bardziej do organizmu ludzkiego niż do nietoperzy. Naukowcom brakuje

więc zwierzęcia stanowiącego ogniwo pośrednie między nietoperzem a człowiekiem. I dopóki nie zostanie ono odnalezione, dopóty bardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza z wyciekiem z laboratorium niż z naturalną transmisją wirusa.

Do tego wniosku skłaniają badania z zakresu dynamiki molekularnej przeprowadzone przez australijski zespół naukowców, których wyniki sugerują, że wirus SARS-CoV-2 mógł nie powstać w sposób naturalny. Zespół pod kierunkiem australijskich profesorów Davida Winklera z Uniwersytetu La Trobe oraz Nikolaia Petrovsky’ego z Flinders University przeprowadził badania, mające przeanalizować cechy wirusa oraz to, na ile dobrze białko kolca wirusa SARS-CoV-2 wiąże się z receptorem ACE2 organizmu gospodarza. Okazało się, że białko S najściślej wiązało się z ludzkim receptorem ACE2, nieco gorzej z psem, małpą, chomikiem, fretką, kotem i tygrysem i jeszcze gorzej z nietoperzem. Profesor Winkler uważa jednak, że bardziej prawdopodobne jest przypadkowe uwolnienie wirusa, a nie celowa manipulacja przez chińskich naukowców.

Jeszcze odważniejszą hipotezę postawili Brytyjczyk prof. Angus Dalglish, onkolog z St George’s University w Londynie, oraz wirusolog z Norwegii dr Birger Sørensen. Przekonują oni, że w próbkach koronawirusa SARS-CoV-2 odkryli sześć istotnych elementów, które wskazują nie tylko na to, że wirus pochodzi z laboratorium, lecz także na możliwe modyfikacje, które miały na celu zwiększenie zjadliwości SARS-CoV-2. Według Brytyjczyka i Norwega jednym z kluczowych dowodów na ludzką ingerencję w wirusa jest sekwencja czterech aminokwasów w białku kolca – wszystkie mają dodatni ładunek elektryczny, co ułatwia zakażenie komórek u człowieka. Naukowcy podkreślają, że cztery aminokwasy o takim samym ładunku elektrycznym nie mogły połączyć się w sposób naturalny, ponieważ się odpychają. Dalglish i Sørensen przekonują, że chińscy naukowcy celowo zmodyfikowali koronawirusa występującego u nietoperzy, tworząc SARS-CoV-2 podczas projektu „wzmocnienia funkcji” (Gain of Function), którego celem było tworzenie wirusów, które byłyby bardziej zakaźne niż w naturze, aby móc lepiej zrozumieć sam mechanizm zakażenia.

REPARACJE ZA PANDEMIĘ?

Zadanie wyjaśnienia źródeł wirusa, które Biden postawił przed służbami

specjalnymi, wcale nie jest proste. Chiny od początku odmawiają bowiem przekazania wielu informacji, w tym nieprzetworzonych danych na temat wczesnych przypadków COVID-19. Do chińskich laboratoriów swobodnego dostępu nie mają także wysłannicy WHO. W połowie lipca szef Światowej Organizacji Zdrowia Tedros Adhanom Ghebreyesus oznajmił, że kierowana przez niego organizacja coraz poważniej bierze pod uwagę teorię o wycieku laboratoryjnym jako genezie pandemii COVID-19. Ghebreyesus wezwał też chińskie władze do większego zaangażowania we współpracę ze śledczymi w kwestii wyjaśnienia genezy pandemii, podkreślając, że każda hipoteza jest wciąż możliwa, a wykluczenie tezy, że wirus pochodzi z laboratorium w Wuhan, było „przedwczesne”.

Eksperti WHO chcieli przeprowadzić niezależny audyt w laboratoriach i na targowiskach w Wuhan, a więc w miejscu, w którym pojawiło się pierwsze duże ognisko nowego koronawirusa. Plan ten poparł amerykański sekretarz stanu Antony Blinken.

Chiny konsekwentnie zaprzeczają, że zmodyfikowany genetycznie wirus wydostał się z placówki badawczej. Protestują też przed stawianiem im zarzutu tuszowania sprawy. Jednocześnie pod koniec lipca chińskie władze odrzuciły jednak plan Światowej Organizacji Zdrowia dotyczący drugiego etapu postępowania mającego wyjaśnić pochodzenia koronawirusa SARS-CoV-2. Obejmował on m.in. sprawdzenie hipotezy, zgodnie z którą wirus wydostał się z chińskiego laboratorium w Wuhan w wyniku nieprzeprzeżania protokołów bezpieczeństwa.

Oczywiście wydaje się mało prawdopodobne, że Chiny celowo zarażyły świat nowym wirusem. Urzędnicy z Komunistycznej Partii Chin mogli jednak zataić przed światem informację o wycieku, podobnie jak Sowietci próbowali zrobić z wiadomością o awarii w elektrowni atomowej w Czarnobylu. James Carafano z Heritage Foundation zauważa, że nie ma żadnych szans, aby Chiny kiedykolwiek dobrowolnie współpracowały w międzynarodowym śledztwie, nie mówiąc już o zgodzie na wypłatę reparacji za wywołanie pandemii. Carafano podkreśla jednak, że świat musi zrozumieć, jak śmiertelne, zaraźliwe choroby powstają w Chinach – ponieważ kolejne epidemie pochodzące z tego kraju prawdopodobnie pojawią się ponownie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

LALKA NA ZAJĘCIACH

Edukacja seksualna w praktyce. W Austrii trwa postępowanie po doniesieniach o „niepokojących” zajęciach z edukacji seksualnej w jednej ze szkół w Wiedniu. Nauczycielka uczyła sześciolatkę z użyciem lalki. Kazała ją dzieciom rozbierać i aby wyjaśnić, „jak przebiega seks”, zachęcała je do używania rąk i palców na lalce. Wiadomo, że jedno z dzieci, które nie chciało rozbierać lalki, zostało zabrane przez rodziców. Austriackie ministerstwo edukacji powołało komisję, która ma ustalić, kto może prowadzić w szkołach zajęcia z edukacji seksualnej.

KTO POKIERUJE POCIĄGAMI?

W Holandii odwołano wiele połączeń kolejowych i ten stan potrwa co najmniej do października. Powód? Braki kadrowe wśród pracowników zajmujących się kontrolą ruchu kolejowego. Jest ich za mało, a w dodatku część musiała pójść na urlopy. Mieszkańcy okolic Amsterdamu, Utrechtu, Arnhem i Amersfoort będą musieli latem wybierać inne sposoby podróżowania.

SPOSÓB NA ŻONĘ

Nie można podróżować, gdy ma się COVID-19. Dlatego chory mężczyzna z Indonezji przebrał

WALCZĄ O POWRÓT STALINGRADU

Rosjanie tęsknią za Stalinem. Już w 2013 r. rada miejska Wołgogradu (czyli Carycynu, przemianowanego potem na Stalingrad, a następnie destalinizowanego) zdecydowała, że przez sześć dni w roku związanych z wydarzeniami wojennymi oficjalnie będzie się tam używać nazwy Stalingrad. Dla niektórych to za mało. Partia Sprawiedliwa Rosja – Patrioci – Za Prawdę prowadzi w kraju sondaż i twierdzi, że według niego większość mieszkańców jest za powrotem nazwy czczącej Józefa Stalina. Według „Wiedomości” na razie 68 proc. ankietowanych popiera przywrócenie nazwy utworzonej od nazwiska jednego z największych zbrodniarzy świata.

FOT. ADOBE STOCK



się za żonę, by dostać się do samolotu. Kupił na jej nazwisko bilet, wziął jej wynik testów oraz założył nikab, czyli muzułmańską zasłonę na twarz. Wpadł, bo na pokładzie samolotu poczuł się już tak pewnie, że w toalecie przebrał się w męski strój. Został aresztowany po tym, jak samolot wylądował.

holenderskim renomowanym architektom stworzenie kopca. Miał to być nowy obszar spacerowy dla ludzi, z niesamowitymi widokami. Wejście na instalację kosztuje od 4,5 do 8 funtów (czyli 20–40 zł). Ci, którzy się skusili, stwierdzili, że instalacja wygląda jak „domek Teletubisiów”, a zamiast widoku na panoramę miasta otrzymuje się widok na barierki i rząd śmietników. Rozczarowanie było tak wielkie, że władze Londynu postanowiły kopiec zamknąć, tłumacząc, iż jednak nie jest jeszcze gotowy. ©

Łukasz Zboralski

WIELKI ZAWÓD

Londyn wpadł na pomysł, jak przyciągnąć turystów. Za ogromne pieniądze zlecono



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Tęczowi kierowcy

Podczas Grand Prix Węgier niemiecki kierowca Formuły 1 Sebastian Vettel stanął się na starcie w tęczowej koszulce z napisem „The same love” („Ta sama miłość”). „To przygnębiające, że jakiś kraj w UE uchwała takie prawo” – mówił Vettel na konferencji prasowej, odnosząc się do przyjętej przez rząd w Budapeszcie ustawy o ochronie dzieci, która zabrania krzewienia homopropagandy w szkołach bez zgody rodziców.

Prawo Węgrów do decydowania o tym, czego uczą się ich własne dzieci, ostro skrytykował również brytyjski kierowca Lewis Hamilton. Wielokrotnie mu

mistrzowi świata Formuły 1 odpowiedziała minister sprawiedliwości, żałując, że Hamilton „przyłączył się do międzynarodowego obozu producentów fake newsów”, i zauważając, że „ochrona węgierskich dzieci należy do węgierskich rodziców, a nie do zagranicznych kierowców rajdowych”. Judit Varga poradziła kierowcy, aby „przeczytał węgierską ustawę o ochronie dzieci, zanim zaczniesz mówić głupoty”.

Jeśli kiedyś po wyścigu Hamilton rzeczywiście weźmie się do czytania książek i poważniejszych gazet, to dowie się, że od lat bierze udział w wyścigach na terenie takich krajów jak Bahrajn, gdzie

homoseksualizm jest zabroniony i grozi za niego do 10 lat pozbawienia wolności, lub Arabia Saudyjska, gdzie za homoseksualizm grozi kara śmierci, więzienie, chłosta etc.

Ciekaw jestem reakcji arabskich książąt oraz sponsorów F1 na kierowców paradujących w tęczowych koszulkach. Jestem pełen wiary w to, że Sebastian Vettel czy Lewis Hamilton wykażą się konsekwencją i na terenie Bahrajnu czy Arabii Saudyjskiej też będą się bić o prawa LGBTQ. Jeszcze fajniej byłoby, gdyby spróbowali publicznie chodzić z krzyżykiem na wierzchu i upomnieli się o prawa dyskryminowanych chrześcijan. ©



Narkodżihad i spółka

Wysadzenie się w powietrze w ramach zamachu przeciwko „niewiernym” zmywa wszelkie grzechy, gdyż jest największym poświęceniem w imię świętej wojny, czyli „dżihadu”. Dlatego, choć oficjalnie w Państwie Islamskim (ISIS) handel, posiadanie i spożywanie wszelkich narkotyków, podobnie jak alkoholu czy papierosów, były surowo zakazane, to nie dotyczyło to każdego. W Koranie zresztą nie ma mowy o narkotykach, a jedynie o alkoholu, co stwarza szerokie



Witold Repetowicz

Pecunia non olet, czyli pieniądź nie śmierdzi. Tę rzymską zasadę przyswoili sobie dżihadysty, którzy angażując się w narkobiznes, często współpracują ze zorganizowaną przestępczością „niewiernych”. Handel narkotykami towarzyszy wojnie i terroryzmowi od dawna, jednak w przypadku dżihadu jest nie tylko ważnym źródłem dochodu, lecz także narzędziem niszczenia świata „niewiernych”



W czasie wojny w Syrii popularność zyskał zwłaszcza narkotyk o nazwie captagon. Na zdjęciu: transport przechwycony w Neapolu przez funkcjonariuszy Guardia di Finanza

FOT. NAPOLIPRESS/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

W czasie wojny w Syrii popularność zyskał zwłaszcza narkotyk o nazwie captagon, będący syntetycznym stymulantem produkowanym na bazie fenetyliny. Powoduje on m.in. brak zmęczenia i senności, poprawia koncentrację, wywołuje stan euforii, redukuje strach i stymuluje odwagę, a także hamuje głód. Nie ma wątpliwości, że efekty te przydają się na wojnie. Według niektórych relacji terroryści po jego zażyciu zachowują się jak zombi. Skoro służy to dżihadowi, to usprawiedliwia również łamanie zasad szariat i powoduje automatyczne odkupienie grzechu (według ekstremistycznych teologów islamskich). Zatem tych, którzy uczestniczyli w walce, zakazy nie obowiązywały, a wręcz przeciwnie – zalecano im używanie takich narkotyków. Wielu z nich miało zresztą narkotykową przeszłość.

Według raportu International Center for the Study of Radicalization (ICSR) z 2019 r. ponad 5 proc. spośród 778 dżihadystów, którzy wyjechali z Niemiec do Syrii lub Iraku, aby wstąpić w szeregi ISIS, było notowanych przez policję za handel narkotykami. We Włoszech 19 proc. spośród islamistów, którzy wstąpili do ISIS, to narkomani. Z kolei we Francji 40 proc. terrorystów islamskich, skazanych w latach 2004–2017, było wcześniej karanych, przy czym handel narkotykami był najczęstszym powodem ich zatargów z prawem.

Wśród tych dżihadystów, którzy mieli do czynienia z narkotykami, można znaleźć wielu autorów krwawych zamachów w Europie. Narkomanem i dealerem był np. Anis Amri, który w grudniu 2016 r. zamordował polskiego kierowcę tira, a następnie skradzionym w ten sposób pojazdem staranował jarmark bożonarodzeniowy w Berlinie, powodując śmierć 11 osób i raniąc 56 innych. Narkotykową przeszłość miało również wielu spośród zamachowców z tzw. siatki z Molenbeek, odpowiedzialnej za najkrwawsze ataki ISIS w Europie, tj. zamachy w Paryżu i Brukseli dokonane na przełomie lat 2015 i 2016, w których zginęły łącznie 162 osoby (nie licząc terrorystów).

Tylko niewielka część spośród amatorów lub dealerów narkotyków zrezygnowała z tych substancji po „nawróceniu” na dżihad. Captagon, który zyskał miano „narkotyku dżihadu”, to zresztą niejedyny środek używany przez terrorystów w Syrii, Iraku, północnej Afryce oraz w innych miejscach, gdzie prowadzą oni swój dżihad. Inną popularną substancją psychoak-

tywną jest tramadol, będący syntetycznym opioidem uśmierzającym ból. To również przydatna właściwość w walce. Tramadol, którego koszt jest dość niski (2 euro za pigułkę), był sprowadzany przez ISIS tonami z Azji oraz z Europy. Na przykład w listopadzie 2017 r. włoska policja skonfiskowała transport 24 mln pigułek o wartości 50 mln euro w kalabryjskim porcie Gioia Tauro, które miały trafić do libijskiego oddziału ISIS. Wcześniej podobne ładunki były zatrzymywane m.in. w Genui oraz w Grecji. ISIS sprowadzało ten środek także z Indii, np. w maju 2018 r. w Mumbaju skonfiskowano transport 2,5 tony tramadolu, który miał trafić na Bliski Wschód. Również w latach 2020 i 2021 indyjska prasa informowała o przejęciu znacznych ładunków tramadolu przeznaczonych dla wciąż aktywnych komórek ISIS, a także innych organizacji dżihadystycznych działających w Afryce, w tym okrytego ponurą sławą nigeryjskiego Boko Haram.

NIEŚWIADOME WSPIERANIE ZAMACHÓW

O ile tramadol był sprowadzany przez ISIS, o tyle captagon był przez nie produkowany i częściowo eksportowany, co stanowiło jedno ze źródeł finansowania aktywności terrorystycznej tzw. Państwa Islamskiego. Ale narkotyku tego używały też inne strony trwającej od 2011 r. wojny domowej w Syrii. Kraj ten, a także sąsiednia dolina Bekaa w Libanie stały się światową potęgą w produkcji captagonu oraz haszyszu. Po upadku „kalifatu” w Syrii i Iraku biznes ten przejęły kręgi związane z syryjskimi władzami oraz libańskim Hezbollahem, który zawsze był silny w dolinie Bekaa.

Według niektórych raportów przemyt captagonu stał się obecnie jednym z ważniejszych źródeł dochodu Asadowskiego reżimu. W lipcu 2020 r. w porcie we włoskim Salerno przechwycono transport aż 14 ton (84 mln tabletek) captagonu o wartości co najmniej 1 mld euro. Z kolei w kwietniu br. saudyjskie służby wykryły transport zawierający 5,3 mln tabletek captagonu ukrytych w ładunku pomarańczy z Libanu.

Arabia Saudyjska w odpowiedzi zakazała importu warzyw i owoców z Libanu, co mocno uderzyło w ten kraj, już i tak zrujnowany kryzysem finansowym oraz wybuchem w porcie bejruckim. Saudowie uważają bowiem, że władze Libanu nie podejmują dostatecznych wysiłków w celu zwalczania tego procederu.

pole do interpretacji. Większość dżihadystycznych teologów przyjęła jednak szeroką interpretację i przez analogię rozszerza ten zakaz na wszystkie substancje, które poprzez oddziaływanie na ludzką psychikę szkodzą organizmowi. Kary są surowe i ISIS skazała na śmierć wielu amatorów nielegalnych substancji. To jednak nie przeszkadzało tej organizacji dżihadystycznej, a także innym organizacjom, w tym talibom czy Al-Kaidzie, w produkcji narkotyków i handlowaniu nimi.

Warto przy tym pamiętać, że Hezbollah jest również znaczącą siłą polityczną w Libanie, a Arabia Saudyjska postrzega tę sprzymierzoną z Iranem organizację jako jednego ze swoich głównych wrogów.

Saudowie, a także inne kraje sunnickie Półwyspu Arabskiego wspierali też dżihadystów w wojnie domowej w Syrii, przeciwko którym razem z oddziałami Al-Asada walczył Hezbollah. Tymczasem produkowany obecnie w Libanie i Syrii captagon wysyłany jest głównie właśnie do bogatych monarchii Półwyspu Arabskiego, gdzie z jednej strony potencjalni klienci dysponują sporymi zasobami finansowymi, a z drugiej panują znaczne ograniczenia, jeśli chodzi o legalny dostęp do używek (wynikające z szariatu). Paradoxem jest więc to, że podczas gdy władze tych państw finansują antyrządowych dżihadystów walczących przeciwko Al-Asadowi i Hezbollahowi, to społeczeństwo w tych samych krajach nieświadomie wspiera finansowo przeciwną stronę. To samo jednak można powiedzieć o Europejczykach, których pieniądze wydawane na narkotyki przynajmniej w części trafiały później do dżihadystów, co pozwalało finansować zamachy w Europie.

O związkach rodziny Al-Asada z captagonowym narkobiznesem świadczy m.in. kluczowe znaczenie, jakie w przemyśle odgrywają syryjskie porty w Tartusie i Latakii, pozostające pod kontrolą Samera al-Asada, kuzyna syryjskiego przywódcy. Przemysł tego środka jest przy tym niezwykle intratnym biznesem. O ile bowiem w Syrii cena jednej tabletki waha się między 0,5 a 1 dol., o tyle w Zjednoczonych Emiratach Arabskich czy Arabii Saudyjskiej sięga ona 20 dol. Władze włoskie podejrzewają przy tym, że również włoska mafia uczestniczy w tym procederze, i to bez względu na to, czy partnerem jest Hezbollah, Al-Asad, Państwo Islamskie czy Al-Kaida. We wspomnianym wcześniej transporcie tramadolu dla ISIS, przechwyconym w Kalabrii, najprawdopodobniej maczała swe palce tamtejsza mafia 'Ndrangheta.

TOWARY ZAKAZANE PRZEZ ISLAM

Od dawna wiadomo też, że Al-Kaida Islamskiego Maghrebu (AQMI) przerzuca do Europy kokainę, współpracując w tym zakresie ze skorumpowanymi politykami afrykańskimi, narkotykowymi kartelami z Kolumbii i innych państw południowoamerykańskich, a także włoską mafią. To,

że Włosi czy Kolumbijczycy to katolicy, a AQMI to dżihadyści mordujący „niewiernych”, nie ma w tym zakresie znaczenia. Podobnie jak to, czy przemysł dotyczy towarów zakazanych w islamie. Liczą się zysk, z którego finansowany jest dalszy dżihad, a także osłabianie świata „niewiernych” poprzez degenerowanie narkotykami jego mieszkańców. W tym wypadku szlak kokainowy wiedzie z Ameryki Południowej drogą morską do portów Zatoki Gwinejskiej, skąd dzięki ogromnej afrykańskiej korupcji wędruje do ogarniętych chaosem krajów Sahelu, takich jak Mali czy Niger. Tędy przechodzą zresztą również szlaki migracyjne, co dodatkowo ułatwia przerzut narkotyków. Sahara to królestwo przemytników, które od stuleci było przemierzane przez ludy pustyni i ich handlowe karawany.

Towar to towar, czy są to niewolnik, migrant, papierosy (również zakazywane przez część dżihadystów) czy kokaina. Jeden z najsłynniejszych przemytników saharijskich przełomu XX i XXI w. – Mochtar Belmochtar – był znany m.in. jako Mr. Marlboro. Był on też jednym z najważniejszych terrorystów dżihadystycznych tego regionu. O tym, że asortyment przemycanych przez Saharę towarów wzbogacony został o kokainę, a swój udział w tym mają AQMI, władze Mali oraz przemytnicy-watażkowie typu Belmochtara, głośno stało się w 2009 r. Odkryto wówczas na pustyni w pobliżu malijskiego miasta Gao (trzy lata później zajętego przez dżihadystów) częściowo spalony samolot Boeing 727, który przewoził 10 ton kokainy.

Szlak kokainowy do Europy wiodący przez Afrykę może na pierwszy rzut oka dziwić, gdyż nie jest to na pewno droga najkrótsza. Liczy się jednak to, że jest znacznie bezpieczniejsza. Obecnie wyrasta jej jednak konkurencja w postaci szlaku wiodącego przez Turcję, w której relacje między władzami a zorganizowaną przestępczością są mocno splecione. Do niedawna kraj ten był jednak bardziej znany ze szlaku heroinowego prowadzącego z Afganistanu, który jest światowym mocarstwem w produkcji tego narkotyku. To stamtąd pochodzi ok. 85 proc. heroiny obecnej na rynku europejskim. W okresie rządów talibów w latach 1994–2001 ówczesny przywódca tej organizacji, Mułła Omar, zdelegalizował jednak uprawę maku, z którego produkuje się następnie opium oraz heroinę, uznając to za niezgodne z islamem. Po interwencji USA, która obaliła talibów, a następnie śmierci Mułły Omara, ruch talibów uległ jednak rozproszeniu i lokalni watażkowie

zyskali więcej swobody. Spowodowało to powrót do produkcji heroiny na masową skalę mimo wysiłków władz Afganistanu oraz USA i innych koalicjantów z NATO, by zwalczać uprawy. Obecnie ocenia się, że handel narkotykami przynosi talibom ok. 60 proc. ich przychodów.

TURECKI HUB

Rolę Turcji jako kokainowego huba ujawnił niedawno Sedat Peker, turecki mafioso, który niegdyś był związany z elitami tureckiego reżimu, a obecnie ujawnia różne brudy, nadając ze swej kryjówki w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Peker ujawnił m.in., że Erkam Yildirim, syn byłego premiera Turcji Binaliego Yildirima, jeździł w styczniu i lutym tego roku do Wenezueli w celu ustanowienia nowej drogi przerzutu kokainy. Relacje między Turcją a wenezuelskim reżimem Nicolása Maduro są przy tym bardzo dobre, co sprzyjało temu planowi.

Według Pekera związki z przemytem kokainy z Kolumbii mają też inni wysoko postawieni politycy rządzącej w Turcji partii AKP. O tym, że Turcja zaczęła się mocno liczyć w kokainowym handlu, świadczyło przejście przez władze kolumbijskie w tamtejszym porcie Bonaventura w czerwcu 2020 r. transportu 4,9 tony kokainy ukrytej w kontenerach, które miały popłynąć do Turcji. Peker oznajmił przy tym, że udział w tym przemyśle brał były szef tureckiego MSW Mehmet Ağar, a sprawę tuzował obecny minister spraw wewnętrznych Süleyman Soyulu, do niedawna bliski znajomy Pekera.

Z kolei w sierpniu 2020 r. w porcie Yılport koło Stambułu znaleziono 540 kg kokainy na statku, który przyплыł z Brazylii. Odkrycie nastąpiło jednak dopiero w trakcie powtórnego przeszukania, gdyż pierwsza ekipa niczego jakoby nie znalazła. Dużo mówiące jest jednak to, że to dowódca drugiej ekipy został zdymisjonowany, a co do dowódcy pierwszej nie zarządzono żadnego śledztwa.

Rządząca w Turcji AKP to partia islamistyczna, a reżim Erdoğan wspiera w sąsiedniej Syrii dżihadystów, dostarczał też broń Al-Kaidzie. Zatem i tam narkobiznes przeplata się z dżihadem, a zorganizowana przestępczość łączy się z islamskimi ekstremistami oraz ze skorumpowanymi władzami. Dla nich narkotyzowanie Europy to podwójny zysk: finansowy i osłabianie wroga. A w przypadku dżihadystów-narkomanów i tak ich przeznaczeniem jest wybuchowy pas szahida.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: ROBOT DO MYCIA OKIEN ECOVACS WINBOT 880

Możliwość łatwego mycia dużych i trudno dostępnych okien, wygodne zdalne sterowanie za pomocą pilota, możliwość dokładniejszego mycia bardziej zabrudzonych miejsc oraz łatwość obsługi i utrzymania urządzenia w czystości – to największe zalety robota do mycia okien (i luster) chińskiej firmy Ecovacs.

Każdy chciałby mieć czyste okna, ale nie każdy ma czas (i ochotę), aby je regularnie myć. Na szczęście po robotach odkurzających i myjących podłogi na rynek od 10 lat wkraczają coraz lepsze maleńkie urządzenia do mycia szyb. Dzięki nim można spokojnie oglądać kolejne odcinki ulubionych seriali, a w przerwach przenosić tylko robota z okna na okno.

Winbot 880 to kolejna wersja robota firmy Ecovacs. Umożliwia mycie okien – a w zasadzie szyb – od zewnątrz i od wewnątrz. Niewielkie (247 x 246 x 115 mm), ważące niecałe 2 kg białe urządzenie o mocy 75 W ma kwadratowy kształt, dzięki czemu łatwiej czyści narożniki okien. Inteligentny robot przysysa się do szyby i porusza się po jej powierzchni, aż będzie zupełnie czysta. Winbot może poruszać się według standardowego programu. Za pomocą pilota można też włączyć tryb dogłębnego czyszczenia całego okna, a także dokładniejsze go mycia wokół wybranego punktu.



Winbot myje też okna bezramowe i automatycznie wykrywa, że doszedł już do krawędzi i powinien zawrócić. Właściciele dużych okien docenią też dołączoną do zestawu przyssawkę, która zabezpiecza robota w razie upadku z dużej wysokości. Silne ssanie zapewnia jednak na tyle bezpieczne mocowanie, że podczas dwóch tygodni testów urządzenie ani razu nie oderwało się od żadnej szyby. Na wypadek nagłej awarii zasilania producent wyposażył urządzenie

w baterię, która pozwala robotowi trzymać się szklanej powierzchni nawet po odłączeniu prądu.

Minimalna powierzchnia czyszczonego okna wynosi 30 x 30 cm. Długość kabla zasilającego to 5 m, a linki bezpieczeństwa 1 m. Można więc z powodzeniem czyścić duże oraz wysoko osadzone okna, co pozwala uniknąć ryzyka wypadku podczas zwykłego mycia okien na drabinie. Za pomocą testowanego robota można również myć lustra, parawany nawałnowe etc.

Wady? Podobnie jak w przypadku automatycznych odkurzaczy czas mycia okna przez robota jest istotnie dłuższy niż przez człowieka (na szczęście nie trzeba mu wówczas towarzyszyć i można zostawić mu całą brudną robotę).

Drugi minus: Winbot 880 gorzej radzi sobie z dokładnym czyszczeniem okien o kształtach innych niż prostokątne czy kwadratowe. Próba umycia za jego pomocą dużej, trójkątnej powierzchni, wymaga przejęcia ręcznego sterowania za pomocą pilota. Robot nie umyje też okien ze szprosami, czyli listewkami dzielącymi otwór okna na mniejsze części.

Mimo tych minusów kupno robota z pewnością warto jest rozważyć: może on bowiem znacząco ułatwić mycie szyb w domach i mieszkaniach z dużymi oknami, co przyda się nie tylko tuż przed świętami. Cena: 799 zł. ©

Jacek Przybylski



SZKLANY GŁOŚNIK

Sony LSPX-S3 to gadżet dla miłośników minimalistycznego wzornictwa. Niewielki głośnik ze szkła organicznego ze światłami LED, które migoczą niczym płomień świecy, potrafi bezprzewodowo łączyć się ze źródłem dźwięku poprzez Bluetooth lub wi-fi. Producent zapewnia, że „walec ze szkła organicznego wibruje i zapewnia wyjątkowo klarowny dźwięk, który rozprzestrzenia się we wszystkich kierunkach i jest znakomity w każdym punkcie pomieszczenia”.

Wbudowane w głośnik oświetlenie LED można ustawiać na wiele sposobów, aby dostosować tryb świecenia oraz jasność np. do ro-

mantycznej kolacji lub czytania książki przy łóżku. Bateria pozwala na osiem godzin pracy bez ładowania. Wbudowany głośnik umożliwia zaś prowadzenie rozmów telefonicznych. Cena: 2499 zł.

KSIAŻKA DLA GADŻECIARZY

IKEA wprowadziła do oferty produkt, który na pierwszy rzut oka wygląda niczym książka, ale liter w niej brak. Model Tjugo to ładowarka do akumulatorów AA oraz AAA. Urządzenie, które pozwala naładować nawet osiem baterii jednocześnie, można ustawić na półce, gdzie nie powinno zbyt wielu książek (jeśli tylko, gdzieś za książkami, znajduje się konwencjonalne gniazdko elektryczne). Gadżet jest już w sprzedaży. Kosztuje 79,99 zł. Do ceny należy doliczyć zakup samych akumulatorów – za zestaw czterech sztuk w szwedzkim sklepie trzeba zapłacić 29,99 zł, ale oczywiście same akumulatory można też kupić w innych sklepach. ©

Jacek Przybylski



MAŁGORZATA WOŁCZYK: Co czuje kubańska poetka, pisarka, dziennikarka, patrząc na obojętność świata wobec prześladowań Kubańczyków, którzy wyszli na ulice, wołając o wolność?

ZOÉ VALDÉS: To, co czuję, to mieszanekę rozpacz i gniewu, np. wczoraj zaproszono mnie do programu francuskiej ARTE i razem ze mną wystąpiło dwóch francuskich historyków, którzy powielali kłamstwa o moim kraju. Nawet ośmielili się wprost powiedzieć „że po śmierci Fidela Castro wyspa nikogo już nie interesuje”. Zupełnie tak, jakby Kubańczycy byli nic niewarci. To ohydne.

Ohydny był też wywiad Jędrzeja Bieleckiego opublikowany niedawno w „Rzeczpospolitej”, który pani przesłałam. Jest mi wstyd, że wywiady z członkami Komunistycznej Partii Hiszpanii ukazują się w wolnej Polsce.

Ten Hiszpan z „Rzeczpospolitej” powtarzał w wywiadzie dokładnie te same kłamstwa co wspomniani Francuzi. Inna rzecz, że czytając rozmowę Bieleckiego, zrozumiałam dwie rzeczy: komunizm jest wciąż żywy i gotowy do dalszego niszczenia ludzi i ich dusz.

Jakie inne kłamstwa na temat Kuby są rozpowszechniane w mainstreamowej prasie?

Najgorsze kłamstwo to mówienie, że cały naród kubański jest jak ta przeklęta tyrania! Później cała litania kłamstw, że to z winy „blokad gospodarczych”, które przecież nie istnieją! Kłamstwa o blokadach służą reżimowi Castro do dalszego korzystania z przywilejów i pomocy od krajów, które żywiły reżim od lat, jak Rosja. I – co gorsza – reżim czerpie profity z wygnania własnego narodu, bo pierwszym źródłem dochodu dla niego jest zysk z wymiany walut. Czyli de facto wygnanie płaci, aby tyrania nadal zniewalała jego krewnych w kraju. Ale jest o wiele więcej bolesnych kłamstw, dotyczących służby zdrowia i edukacji. Można zobaczyć na YouTube, jak wyglądają szpitale na Kubie, moja rodzina doświadcza tego dramatu codziennie, ja w nim uczestniczyłam do 34. roku życia. Jeśli chodzi o edukację, to jest to wprost indoktrynacja komunistyczna. Najgorsze, że castrokomuniści mają moc zawłaszczania i niszczenia języka.

Skąd tyle dezinformacji? Kto czerpie korzyść z tych kłamstw?



FOT. JUAN MANUEL SERRANO ARCE/GETTY IMAGES



Z Zoé Valdés, kubańską powieściopisarką
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Kubańczycy zażądali wolności

Zoé Valdés (ur. 2 maja 1959 r. w Hawanie) – kubańska powieściopisarka, poetka, scenarzystka, reżyserka filmowa i blogerka. Valdés jako otwarta przeciwniczka reżimu Castro zawsze chciała wpłynąć na sytuację w kraju swoim pisarstwem. Wygnana z Kuby w 1994 r. z powodów politycznych. W 1995 r. przeniosła się do Paryża z ówczesnym mężem, filmowcem Ricardo Vegg, i córką. Kiedy we Francji ukazała się jej pierwsza powieść „La nada cotidiana” i zaczęła udzielać wywiadów na temat swojej pracy, reżim na Kubie zabronił jej powrotu do kraju, cenzurował i oskarżył o działalność antyrządową. Otrzymała wtedy obywatelstwo hiszpańskie. Laureatka wielu nagród literackich, tłumaczona na ponad 20 języków. W Polsce ukazały się cztery jej książki. Prowadzi blog: zoepost.com.

Oczywiście kłamstwa są w interesie reżimu. Także ci, którzy korzystają z czasów na Kubie, mieszkają w specjalnych hotelach, powtarzają te bzdury. Krąży mnóstwo dezinformacji, ponieważ dziennikarstwo to dziś często praktyka typu „kopiuj i wklej” z jednego ekranu na drugi. Inna rzecz, że komuniści obsługują świetnie rynek nie tyle informacji, ile dezinformacji i propagandy. Stworzyli nawet „prasę opozycyjną” w sam raz dopasowaną do ich potrzeb i kontrolowaną.

Jak wytłumaczyć różnicę między komunizmem znanym Polakom a tym obecnym, iberoamerykańskim?

Komunizm na Kubie ma więcej wspólnego z tym, co dobrze znamy: z zabójstwami politycznymi, porwaniami, więzieniami, prohibicją, a towarzyszą temu głód i absolutna nędza. Na przykład w Wenezueli panuje głód spowodowany przez Kubę. Kuba ją „zwampiryzowała”. Ale Wenezuela wciąż ma pewną przestrzeń dla „wolnej” prasy, nie było masowego exodusu tej skali co u nas i nie było masowych rozstrzeliwań jak na Kubie. Poziom represji nie był tak intensywny i szybki jak na Kubie od 1959 r. Czuję, że bardziej utożsamiam Kubę z byłymi komunistycznymi krajami Europy Wschodniej niż z krajami Ameryki Południowej. Z wami jesteśmy bardziej braćmi w bólu i tragedii komunizmu. Tamci jakby zawsze tęsknili za komunizmem i głosowali za nim, tak jak teraz to się dzieje w Peru czy w Argentynie i Meksyku. Wenezuela to już patologia, Wenezuelczycy głosowali w USA na socjalistę Joe Bidena. Wenezuelczycy mają „socjalistyczną krew” i umysł pełen socjalistycznych sentymentów, a jak mawiał Guillermo Cabrera Infante: „Nie można spierać się z uczuciami, z ideami owszem, ale nigdy z uczuciami”.

Co spowodowało, że ludzie wyszli na ulice po 62 latach reżimu? Co było decydującym czynnikiem?

Na Kubie ludzie wiele razy wychodzili na ulice, ale wtedy nie było Internetu

ani telefonów, a świat nigdy nie był zainteresowany naszym cierpieniem. Ale to pierwszy raz, kiedy Kubańczycy masowo wyszli na ulice całej wyspy, od jednego końca do drugiego, i zażądali wolności. A nie jedzenia czy szczepionek, jak próbował wmówić światu prezydent Miguel Díaz-Canel, zwracając uwagę na rzekome blokady. Wreszcie jest nowe pokolenie, które nie ma nic wspólnego z tym modelem „nowego człowieka” narzuconym przez Che Guevarę, który właściwie jest identyczny z modelem faszystowskim, ponieważ tych podobieństw jest mnóstwo. Tak naprawdę oni są brunatnymi komunistami. Zaważył zatem czynnik młodego pokolenia, ale widzieliśmy także mnóstwo starszych, dawniej represjonowanych, a wszyscy w jednym wołaniu o wolność.

Według raportu organizacji pozarządowej Prisoners Defenders w lipcu do kubańskich więzień trafiło 124 więźniów politycznych, a aresztowanych zostało 11 tys. cywilów, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa. Co wiemy o zatrzymanych z masowych manifestacji 11 lipca? Czy są torturowani? Ilu ludzi zginęło z rąk reżimowej policji?

Panuje odwieczny problem z danymi, ponieważ dysponuje nimi tylko sam reżim. Podano wiadomość o jednej ofierze śmiertelnej, ale sądząc po obrazach, było ich więcej. Według organizacji pozarządowej jest ok. 700 zatrzymanych, a pierwsza lista 200 zaginionych rośnie z dnia na dzień. Będą one dodawane do liczby zastrzelonych, zamordowanych, torturowanych, które ten reżim ma na koncie. Liczba zabitych jest znacznie wyższa niż liczby ofiar Pinocheta, Videli i Stroessnera razem wziętych, żeby wspomnieć tylko trzech południowoamerykańskich dyktatorów.

Czy stoicie u progu zmiany? Czy Kubańczycy naprawdę chcą zawalczyć o wolność za wszelką cenę?

Ludzie są zmotywowani, ale też bezbronni, odizolowani, pogardzani. Ponadto jest cała masa oportunistów

i karierowiczów, którzy zechcą skorzystać. Będą udawali mediatorów, ale tylko po to, by stać się decydentami po wkupieniu się w łaski reżimu. To, co się dzieje na Kubie, jest przerażające. Od lat tkwimy w stagnacji, która leży też w interesie USA. Poza tym mnóstwo sprytnych ludzi reżimu zarabia na tragedii własnego narodu. Na dramacie Kuby robi się też pieniądze.

Twoje książki są wydawane i czytane w Polsce, twój talent i praca cieszą się renomą na świecie, a jednocześnie nie wyrzekasz się swojego zaangażowania politycznego. Czy jesteś bezpieczna w Paryżu? Czy możesz wrócić na Kubę?

Moje bezpieczeństwo jest najmniej ważne. Żyję normalnie, pomimo realnych zagrożeń i prób zastraszenia, które na szczęście im nie wyszły. Nie mam ochroniarzy, jak niektórzy wygnani. Czuję się bezpieczna, bo jestem pewna moich myśli i idei, ponieważ wiem, że jestem po właściwej stronie i że nigdy nie pobierałam pieniędzy za to, co robiłam, aby Kuba była wolna. Nie mogę wrócić na Kubę dopóty, dopóki niemożliwa jest jej demokratyzacja. Nie pozwalają mi nawet wejść do konsulatu Kuby w Paryżu, aby odnowić mój paszport lub wyrobić jakikolwiek oficjalny dokument. Kubańczycy mogą wjechać na Kubę tylko z paszportem kubańskim, ponieważ gdy służby przeczytają w innym paszporcie (jak w moim – hiszpańskim), że urodziłam się na Kubie, jestem zobowiązana do przedstawienia paszportu kubańskiego, ale nie dają mi prawa go zdobyć! I to są ludzie, którzy krytykują inne rządy za odsyłanie czy nieprzyjmowanie fali nielegalnej imigracji, ale nie pozwalają Kubańczykom na powrót do ojczyzny! Nielegalnych imigrantów zresztą też traktują strzałem w głowę.

W sposób szczególny chcę pani podziękować za tekst „Polsko, Węgry wytrwajcie w oporze”, opublikowany w hiszpańskim „Libertad Digital”. Zadziałał jak balsam na serce. Jakiego rady dla Polaków wobec presji UE?

Podziwiam Polskę i Węgry za wyzwolenie się z komunizmu i kontynuowanie walki w ten własny sposób. Jesteście spójni z waszą historią. Wytrwajcie w tym oporze i walce o wolność ze zdominowaną przez lewicę UE. I upominajcie się o szacunek dla ofiar komunizmu...



Jakub Wozinski

Tak wielkiego poziomu długu jak obecnie ludzkość nie osiągnęła nawet w czasach totalnej mobilizacji na potrzeby drugiej wojny światowej. Mało kto bije jednak na alarm, a wręcz przeciwnie, niektórzy ekonomiści wieszczą nawet nadejście „nowej ekonomii”

Sredni poziom długu w krajach rozwiniętych osiągnął w obecnym roku poziom ponad 124 proc. wartości PKB, co stanowi wynik wyższy niż w rekordowym do tej pory 1946 r. Wówczas najbogatsze kraje świata były tuż po wielkiej wojnie, która uzasadniała wszelkie wydatki. Współcześnie twierdzi się, że również trwa wielka wojna, tym razem z koronawirusem, ale bezprecedensowe w swojej skali wydatki budżetowe nie do końca ten fakt oddają. Za skokowy przyrost długu odpowiadają bowiem przede wszystkim wydatki związane z wcielaniem w życie agendy zrównoważonego rozwoju.

Dane liczbowe dotyczące wzrostu zadłużenia publicznego na całym świecie są dość niepokojące. Na koniec drugiego kwartału wynosiło ono 228 bln dol., a według prognoz do końca 2021 r. ma wzrosnąć jeszcze bardziej, choć zaledwie kilka lat temu przekraczało 160 bln. Swój udział w tym procesie ma również Polska, która od zeszłego roku zwiększyła zadłużenie o 432 mld zł. Rząd Zjednoczonej Prawicy pobił w ten sposób wszelkie dotychczasowe rekordy, wpisując się, niestety, w światowe trendy upatrujące w lawinowym przyroście zadłużenia podstawowy sposób na radzenie sobie z gospodarczymi trudnościami.

Nasze czasy od okresu powojennego fundamentalnie różni także podejście do kwestii bardzo wysokiego zadłużenia. O ile wówczas widziano w nim krok o charakterze nadzwyczajnym, o tyle obecnie próbuje się z niego uczynić trwały element polityki gospodarczej. Mało tego, wypowiedzi wielu niezwykle wpływowych polityków i ekonomistów świadczą o tym, że stan permanentnie narastającego



FOT. JACOB STOCK

zadłużenia to coś wręcz bardzo pożądanego i środek należący do repertuaru nowego myślenia o gospodarce. W ten właśnie sposób rozumują m.in. przedstawiciele Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a także Klaus Schwab, który w zaciąganiu bezprecedensowo wysokich długów widzi wielką szansę na rozwój dla całej ludzkości. Również amerykański ekonomista i laureat Nagrody Nobla Paul Krugman już od dłuższego czasu zachęca do przyjęcia nowego „fiskalnego paradygmatu”, zgodnie z którym wysokość długu publicznego nie stanowi problemu, jeśli tylko jest on przeznaczany na właściwe cele. Jego zdaniem konieczność innego podejścia do zadłużenia wymusiły zmiany w zakresie demografii i technologii. Brak odpowiedniej stopy zwrotu z inwestycji w sektorze prywatnym miał skłonić do inwestycji w rządowe obligacje.

Podobną narrację można było usłyszeć także w Polsce. Profesor Marcin Piątkowski z Akademii Leona Koźmińskiego tuż po pojawieniu się koronawirusa przekonywał nieustannie, że Polska powinna wykorzystać najniższe w dziejach koszty zaciągania długu i zbudować tym samym dobrostan społeczny, nie trzymając się kurczowo tradycyjnego sposobu myślenia o wskaźnikach długu czy inflacji. W ślad za nim list otwarty wzywający do zwiększenia zadłużenia wystosowali także młodzi lewicowi ekonomiści z polskich uczelni. Zachęty ze strony zwolenników masowego zadłużania się najwidoczniej przyniosły skutek, gdyż Polska od początku ubiegłego roku weszła na ścieżkę szybkiego przyrostu zadłużenia, której końca na razie nie widać. Zapowiadane przez Ministerstwo Zdrowia kolejne fale zachorowań na koronawirusa w połączeniu z akceptacją dla lockdownów

Kapitalizm niespłacalnego długu

przynieść mogą jedynie konieczność zaciągania jeszcze większych długów.

WYDATKI W GÓRĘ

Charakterystyczną cechą „nowej ekonomicznej normalności” jest to, że obecnie niewiele albo prawie w ogóle nie mówi się o ograniczaniu wydatków, choć przecież w trudnych czasach powinien być to podstawowy środek radzenia sobie z tego rodzaju trudnościami. Nacisk kładzie się wyłącznie na rzekomą konieczność zaciągania nowych długów. Dlaczego wydatkom nadaje się taki wielki priorytet? Wystarczy uważnie przyjrzeć się temu, na co dokładnie płyną zaciągane na całym świecie sumy. W przypadku Stanów Zjednoczonych prezydent Joe Biden forsuje właśnie ogromny w swojej skali plan infrastrukturalny wart ponad 2,3 bln dol., w ramach którego mają być przeprowadzone m.in. inwestycje w za-

kresie transportu oraz rozwoju produkcji pojazdów elektrycznych. Oprócz tego wciąż trwają prace nad Nowym Zielonym Ładem, który swoją skalą może przyćmić plan Bidena. Jak doskonale wiadomo, swój własny plan inwestycyjny posiada także Unia Europejska, która w perspektywie na lata 2021–2027 zaplanowała wydatki rzędu 1,8 bln euro.

Trwający właśnie globalny festiwal zadłużania tylko w ograniczonym stopniu odpowiada na zniszczenia wyrządzone przez walkę z koronawirusem. Na plan pierwszy wysunęły się wydatki związane z chęcią całkowitego przemodelowania gospodarki w imię nowych wytycznych. Stąd właśnie tak szeroki strumień publicznych pieniędzy płynie właśnie na zieloną transformację, cyfryzację czy też zabezpieczenia socjalne. Większość projektów z tego zakresu to bardzo kosztowne przedsię-

wzięcia, które na dodatek nie rokują zbyt wielkiej stopy zwrotu. I właśnie w tym fakcie należy poszukiwać odpowiedzi na pytanie, dlaczego zadłużanie na ogromną skalę zyskało nagle tak powszechną aprobatę światowych decydentów.

Globalny pakiet inwestycji spod znaku zrównoważonego rozwoju najłatwiej zrealizować, mając do dyspozycji wielką falę inflacji. Zadłużające się na finansowych rynkach rządy korzystają ze świeżo wykreowanych środków i dzięki temu są w stanie zrealizować znacznie większą liczbę projektów niż w normalnych warunkach. Wielką pomoc w tym dziele okazują rządowi banki centralne na całym świecie, które w obliczu wzrastającej coraz szybciej inflacji powinny były już dawno podwyższyć stopy procentowe. Zamiast tego w większości wypadków uznały zauważalny niemal wszędzie niemal

■ gołym okiem wzrost cen za zjawisko przejściowe i nie kwapią się do działania.

BANKI CENTRALNE NA POMOC

To, że świat może się obecnie zadłużać w tak błyskawicznym tempie, wynika zresztą z tego, iż banki centralne biją w ostatnich latach absolutne rekordy w zakresie prowadzonej przez siebie polityki monetarnej. Wartość aktywów Europejskiego Banku Centralnego osiągnęła w czerwcu wartość już ponad 60 proc. PKB całej strefy euro, choć u progu pandemii wynosiła zaledwie 40 proc. W większości wypadków banki centralne skupiły się na wykupie obligacji po to, aby podtrzymać ich niską rentowność. Jaki przyniosło to skutek? Najlepszą ilustracją niech będzie tu to, że greckie obligacje stały się w czerwcu bardziej rentowne nawet niż te emitowane przez Republikę Federalną Niemiec. Jeszcze dziewięć lat temu Grecja była bankrutem, lecz wdrożone od tego czasu programy naprawcze bynajmniej nie uczyniły z niej gospodarczego tygrysa. Obecna wycena greckiego długu to czysty absurd, niemający żadnego odzwierciedlenia w realnym stanie gospodarki, lecz mimo to inwestorzy wręcz biją się o dostęp do niego.

Postawa głównych banków centralnych pokazuje, że na całym świecie istnieje dziś ogromna presja polityczna, aby w sposób koordynowany forsować politykę sprzyjającą wielkiemu przemodelowaniu gospodarki i całego życia społecznego. Na całym globie konsekwentnie wdrażane jest to, co Klaus Schwab określił mianem wielkiego resetu. Projekt ten wyróżnia przede wszystkim odejście od dotychczasowych standardów polityki makroekonomicznej, które gospodarz Światowego Forum Ekonomicznego w Davos skrytykował jako przejaw neoliberalizmu. W ramach nowego paradygmatu najważniejsze ma być realizowanie określonych celów społecznych i środowiskowych, bez sztywnego trzymania się tradycyjnych wskaźników zapalających w umysłach decydentów lampkę bezpieczeństwa. Przrastający w zastraszającym tempie dług nie ma nikogo martwić, ponieważ w sukurs rządzącym przyjdą w razie potrzeby bankierzy centralni.

Skumulowany w następstwie drugiej wojny światowej dług udało się zniwelować w ciągu kolejnych dekad za pomocą wysokiego wzrostu gospodarczego oraz podwyższonej inflacji. Dziś świat wygląda już jednak zupełnie inaczej. Na wzrost gos-

Rosnący w zastraszającym tempie poziom zadłużenia powinien już dawno skłonić wszystkich polityków na świecie do tego, aby w maksymalny sposób ograniczyć stosowanie lockdownów

podarczy nie ma co liczyć, gdyż w ramach dominującej dziś agendy zrównoważonego rozwoju i zielonych łądów pieniądze pompowane są w bardzo niedochodowe przedsięwzięcia. Dodatkowo świat wkracza w epokę demograficznej zapaści blokującej wszelki dynamiczny rozwój. W tej perspektywie jedynym sposobem na ograniczenie długu pozostaje inflacja, która już teraz wyraźnie przyspieszyła. Oficjalne wskaźniki uwzględniające głównie dobra konsumpcyjne już dawno nie rozmijały się tak bardzo z rzeczywistą skalą wzrostu cen jak obecnie.

Wysoka inflacja zwiastuje tradycyjnie recesję. Najważniejsi szefowie banków centralnych na świecie przekonują, że to tylko zjawisko przejściowe, lecz dla wszystkich oczywiste jest, iż próbują jedynie zakłinać rzeczywistość. Z ich perspektywy wysoka inflacja to jednak zdecydowanie bardziej preferowany scenariusz niż konieczność podniesienia stóp procentowych. Sięgnięcia po ten środek elity gospodarcze chciałyby za wszelką cenę uniknąć, gdyż wiązałoby się to z wielkimi zawirowaniami na giełdzie. Ta na razie ma się wciąż nad wyraz dobrze.

KOSZTOWY SANITARNY EKSPERYMENT

Rosnący w zastraszającym tempie poziom zadłużenia powinien już dawno skłonić wszystkich polityków na świecie do tego, aby w maksymalny sposób ograniczyć stosowanie lockdownów i innych środków związanych z koronawirusem, uderzających w życie gospodarcze. Półtora roku pandemii pociągnęło za sobą wydatki rządu kilkunastu bilionów dolarów, a mimo to wedle prognoz Banku Światowego nawet w przyszłym roku światowa gospodarka wciąż nie odrobi odnotowanych strat. Chcąc uczciwie rzecz postawić, trzeba by przyznać, że ludzkości nie stać na to, aby przedłużać trwający

wciąż sanitarny eksperyment. Światowa gospodarka i rynek zadłużenia to przecież system naczyń połączonych i ewentualne zawirowania wśród najślabszych państw mogą szybko doprowadzić do kłopotów na wielką skalę, nawet w takim kraju jak Polska, która na razie posiada wciąż w swoich finansach publicznych pewien bufor bezpieczeństwa.

Niestety, jednak na horyzoncie nie widać żadnych oznak tego, aby sytuacja miała się radykalnie zmienić. Zamiast poszukiwania oszczędności i wdrażania programu szeroko zakrojonych reform większość państw, tak jak Polska, decyduje się na niezwykle kosztowne zielone inwestycje, dopłaty do elektrycznych aut i nowe programy socjalne. Na dodatek rządzący bez większych zahamowań straszą społeczeństwa kolejnymi lockdownami. Można wręcz odnieść wrażenie, że decydenci rzeczywiście uwierzyli w „nowy paradygmat fiskalny”, zachwalany m.in. przez Paula Krugmana czy też ekonomistów Międzynarodowego Funduszu Walutowego, i przestali oglądać się na coraz bardziej niepokojące wskaźniki.

Warto jednak pamiętać, że w wypadku Krugmana przytaczanym przez niego często przykładem nowego sposobu myślenia o długu jest Grecja. Jego zdaniem tak wielkie zaufanie inwestorów do kraju, który zajmuje obecnie trzecie miejsce na świecie pod względem wysokości długu w stosunku do PKB (210 proc.) oraz wypracował przed pandemią „oszałamiające” 1,9 proc. wzrostu PKB rocznie, wynika właśnie z całym nowym realiom, w których inwestorzy patrzą na gospodarkę w zupełnie inny sposób. Pokazuje to, niestety, że u podstaw „nowego paradygmatu” leży całkowicie życzeniowe myślenie oraz przekonanie, że za pomocą odpowiednich zabiegów stosowanych przez banki centralne i rządy da się oszukać żelazne prawa ekonomii.

Równie niepokojące jest to, że świat zadłuża się obecnie na wielką skalę nie po to, aby stworzyć nowe technologie i zasilic sektory, które mogą przyczynić się do przyspieszenia wzrostu gospodarczego i tym samym szybszego spłacenia powstałych zobowiązań. Dzieje się wręcz przeciwnie, nowo kreowany dług zasila w dużym stopniu obszary, które uznane zostały za priorytetowe w ramach walki z globalnym ociepleniem czy też realizacji wytycznych wielkiego resetu i innych wielkich projektów mających na celu uszczęśliwienie ludzkości wbrew jej woli.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Czy w PiS zięć to rodzina?

Nie wróżę szefostwu PiS sukcesu w walce z nepotyzmem. Nie wróżę dlatego, bo aby z nim wygrać – i to raz na zawsze – trzeba byłoby – tylko i aż – sprywatyzować spółki Skarbu Państwa (SSP), czyli uczynić to, do czego robienia PiS nigdy się przecież specjalnie nie garnał. Wychodzi raczej na to, że PiS woli renacjonalizować – jeśli nawet nie celowo, to „przy okazji” np. repolonizowania, a to banków, a to prasy.

Spółek z udziałem Skarbu Państwa jest dziś w Polsce ponad 700, w tym blisko 150 kluczowych i – na drugim krańcu tego łańcucha zależności – niespełna 100, w których Skarb Państwa ma udziały poniżej 10 proc. Wszelako to dopiero niewielka część opowieści o tej ustawicznie rozrastającej się sieci spółek kontrolowanych przez rząd; spółek, których władze – co najmniej w części – obsadzone są przez rządzących polityków – obsadzone nierzadko krewnymi i znajomymi królika.

A zatem to dopiero niewielka część opowieści o tej rozrastającej się sieci firm, gdyż każda z owych 700 spółek z udziałem Skarbu Państwa jest właścicielem kolejnych spółek (a także, a jakże! fundacji); niektóre – największe z nich, takie jak np. koncern KGHM – mają ich... po kilkadziesiąt. I wciąż, każdego roku, powstają kolejne i kolejne – i każda ma zarząd, a w zarządzie oprócz prezesa zwykle także wiceprezesów, a czasami również członków zarządu, którym z kolei podlegają dyrektorzy, kierownicy itd., słowem: mnóstwo posad do obsadzenia.

A do tego PiS dokonuje w spółkach z udziałem Skarbu Państwa bardzo wielu zmian kadrowych – znacznie więcej niż partie, które wcześniej rządziły Polską. A częsta wymiana prezesów generuje większy ruch także wśród zatrudnianych w tych spółkach na niższych stanowiskach, co sprzyja fundowaniu synekur większej liczbie krewnych i znajomych królika. Poniższe dane nie pozostawiają w tej materii cienia wątpliwości: w roku 2011 wymieniono 9 prezesów SSP, w 2012 r. – 10, w 2013 – 8, w 2014 – 8, w 2015 – 11 (za rządów koalicji PO-PSL) i kolejnych 8 (po przejściu władzy przez PiS), w 2016 – 36 (!!!), w 2017 – 20, w 2018 – 16, w 2019 – 5, w 2020 – 16. Karuzela stołków za rządów PiS kręci się więc dużo szybciej, ze wspomnianymi konsekwencjami.

Jeśli więc PiS nie zmieni swego nastawienia na przychylnie prywatyzowaniu spółek i nie zacznie zgodnie z nim działać, czyli po prostu firmy prywatyzować – chociaż te niekluczowe, te mniej ważne, a takich w gestii państwa są przecież wciąż setki – to w walce z nepotyzmem będzie ponosić porażkę za porażką – tak jak wcześniej SLD, PSL, AWS i Platforma. Będzie ponosić porażkę za porażką, choćby przyjmował uchwały przeciw nepotyzmowi taśmowo – jedną po drugiej, choćby do walki z nepotyzmem ruszał co miesiąc, choćby ostatecznie rozstrzygnął, czy zięć i synowa, teść i teściowa to rodzina – czy jednak nie, choćby nie wiem, jak się napinał. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Brońmy gotówki

Płacę właściwie wyłącznie kartą, a dokładnie – aplikacją w telefonie, w której umieszczona jest moja (wirtualna) karta bankowa. Tak robi ogromna część Polaków, bo płatności bezgotówkowe zawsze były w naszym kraju popularne, a wyjechawszy za granicę – w tym na zachód Europy – można się zdziwić, jak niektóre kraje są w tej kwestii zapóźnione w stosunku do Polski. A jednak rozumiem, jak ważna jest ochrona prawa

To, że takie ograniczenia pojawiają się akurat w Polskim Ładzie, nie jest przypadkiem, lecz konsekwencją całokształtu jego regulacji i ich naturalną konsekwencją.

Ustawiony bardzo nisko limit płatności gotówką pokazuje, że projektanci programu, który miał pociągnąć PiS do kolejnych wyborów, doskonale zdają sobie sprawę z jego prawdziwej natury i odbioru przez przedsiębiorców. Rozumieją, że narzucając im takie obciążenia, że naturalną reakcją jakiejś części spośród nich będzie ucieczka w szarą strefę. I to właściwie wystarczy za całą recenzję Polskiego Ładu. Lecz limit transakcji gotówkowych na poziomie 20 tys. lub 8 tys. zł to również porażka Adama Glapińskiego, prezesa NBP, który od dawna podkreślał, że chce zapewnić każdemu Polakowi możliwość płacenia gotówką.

Glapiński nie wspominał co prawda o wolnościowym aspekcie sprawy, ale on przecież również istnieje. Nie każdy, kto chce zapłacić gotówką dużą sumę, jest bandytą, malwersantem albo oszustem podatkowym, którego celem jest wprowadzenie w pole Krajowej Administracji Skarbowej. Może po prostu nie życzyć sobie, żeby państwo łatwo mogło prześledzić każdą jego transakcję. Szczególnie że i tak nasza prywatność jest naruszana na bardzo wiele sposobów. Rządzący chcą mu tę możliwość teraz odebrać. Ochrona naszej wolności i prywatności to już wystarczający powód, żeby przeciwko temu zaprotestować. ©©

**Nie każdy, kto chce
zapłacić gotówką
dużą sumę,
jest bandytą**

do używania gotówki. I dlatego z dużą podejrzliwością patrzę na zaszyty w Polskim Ładzie zakaz płacenia nią przez klientów od 20 tys. zł wzwyż. Jeszcze dotkliwsze ma być ograniczenie między firmami: z 15 do 8 tys. zł.

Tu, rzecz jasna, nie chodzi o wygodę. Wygoda to możliwość wyboru, a tej chce się nas (i przedsiębiorców) pozbawić. Poza tym płatności bezgotówkowe są już możliwe niemal wszędzie i bez wspomnianych ograniczeń. Tu chodzi o tzw. uszczelnienie systemu, a tłumacząc z partyjnego na nasze – o to, żeby nie dało się zapłacić większej sumy pod stołem. W przypadku transakcji bezgotówkowej zawsze bowiem zostanie ślad.



Jacek Komuda

Położony na prawym brzegu Nysy Szalonej, na skalistym wzgórzu o wysokości niespełna 400 m, jest jednym z nielicznych zamków mających dobrze udokumentowaną datę założenia. Jest nią rok 1276, gdyż powstawał razem z pobliskim miasteczkiem. Fundatorem był zaś książę, który dał mu własne imię

Bolko I, książę świdnicko-jaworski, przeprowadził się wówczas z grodu w pobliskich Świnach do nowo założonego zamku i miasta tuż obok. Nie była to jednak fundacja na gołym kamieniu, poprzednio na górze nad Nysą znajdowało się fortalicjum założone jeszcze przez Bolesława Łysego, ojca księcia.

Przebieg budowy Bolkowa był nieco inny niż w przypadku pozostałych polskich zamków. W pierwszej kolejności zbudowano mury obwodowe na szczycie lub tylko dwa budynki mieszkalne. Dopiero później wzniesiono wieżę (w większości warowni wznoszoną jako pierwszą), która ma unikalną strukturę, nie jest bowiem w przekroju okrągła, ale ma kształt owalu; można powiedzieć – łezki skierowanej zwiężając się częścią w stronę południowo-zachodnią. Taki nieregularny obrys miał znaczenie obronne – spodziewano się bowiem, że będzie sprzyjał odbijaniu pocisków nadlatujących z najbardziej niebezpiecznej strony. Jest to unikat, gdyż prawie w żadnym z polskich zamków nie ma podobnego obiektu; jedyna wieża „z dziobem” wybudowana została w pobliżu warowni w Niesytynie. Pozostałych szukać należy w dopiero w Czechach, we Francji i w Niemczech, np. na zamku Falkenstein albo Pernstein.

Naroże wieży zostało wzmocnione kamieniami z czerwonego piaskowca. Ponieważ taki sam budulec użyty został do budowy kościoła w miasteczku, wzmiankowanego w 1298 r., należy przyjąć, że budowla powstała właśnie w tym samym czasie. Jak w każdej porządnej wieży zamkowej, znajduje się tam głęboki na 10 m loch głodowy, dostępny jedynie przez otwór w stropie, gdyż wej-



Bolków – zamek

ście do obiektu znajduje się na poziomie pierwszego piętra.

Ostateczna rozbudowa zamku miała miejsce w pierwszej połowie XIV w.; jak podaje Bohdan Guerquin, za rządów Bernarda i Bolka II. Nie można zresztą wykluczyć, że dopiero wówczas zbudowano mury obronne na szczycie wzgórza, na pewno zaś powiększono budynek południowo-wschodni. Po śmierci księcia Bolka zamek trafił do rąk wdowy Agnieszki, a potem bratanicy nieboszczyka – Anny. Wreszcie w 1392 r. przeszedł na własność królów czeskich. I wtedy właśnie, w XV w., po wojnach husyckich zaczyna się najciekawsza część historii tego obiektu.

KRÓL HUSYTA

W 1463 r. zamek zostaje zdobyty przez Jerzego z Podiebradów, króla Czech, który był jednocześnie zwolennikiem nauk Jana Husa. Syn Wiktora z Podiebradów, który w młodości związał się z radykalnym odłamek husytów – sierotkami, zwałymi się tak od żałoby po śmierci swego duchowego ojca, Jana Žižki. Kiedy w dodatku zmarł król Niemiec Albrecht II i jego następcą został niepełnoletni Władysław Pogrobowiec, Czechy podzieliły się na

dwie części – katolicką i husycką, której przewodził właśnie Jerzy z Podiebradów. Ostatecznie w 1451 r., po wojnie domowej, otrzymał tytuł regenta, a kiedy w 1457 r. zmarł Władysław Pogrobowiec, Jerzy wybrany został na króla Czech, stając się pierwszym władcą będącym jednocześnie husytą. Jego wielkim wrogiem pozostał papież; w 1466 r. Paweł II ekskomunikował Jerzego i pozbawił go korony, uwalniając spod władzy króla Czech wszystkich poddanych. Przeciwnicy władcy uznawanemu za heretyka wystąpili cesarz Fryderyk III i król Węgier Maciej Korwin, wybuchło też powstanie szlachty czeskiej. Wojnę przerwała śmierć Jerzego w 1471 r. Wcześniej jednak, bo w 1463 r., król zdobył zamek w Bolkowie i nadał go burgrabiemu Janowi z Czernej, który pilnować miał jego interesów na Śląsku. Burgrabia zaśląnął jednak z rozbojów i zbójceckich napadów, dlatego w 1468 r. mieszczanie z Wrocławia i ze Świdnicy zorganizowali zbrojną wyprawę na zamek, pod wodzą Guncela II Świnki. Bolków został zdobyty, a Jan z Czernej powieszony. Warownia trafiła w ręce króla Węgier Macieja Korwina, ale na krótko. W 1493 r., po śmierci króla i walkach pomiędzy pretendentami, została zdobyta



króla heretyka

przez księcia Kazimierza Cieszyńskiego i przekazana Władysławowi II Jagiellończykowi, który z kolei nadał zamek Fabianowi von Tschirnhaus.

W 1506 r. doszło do ataku i prawie wojny pomiędzy zarządcą królewskim, w czasie której Ferdynand I Habsburg musiał wymusić posłuszeństwo pod groźbą ciężkich kar finansowych i cielesnych. Wkrótce w dożywotnie posiadanie zamku wszedł biskup wrocławski Jakob von Salza, który zainicjował przebudowę. W 1540 r., już po śmierci duchownego, dokonano zmian w duchu renesansu – wzniesiono wówczas mur obwodowy wokół północnego, zachodniego i południowego skrzydła zamku, który utracił średniowieczną surowość, dodano bowiem renesansowe zwieńczenia murów i attyki na dachach budowli. Od strony miasta pojawiły się dziedzińce, dodatkowe bramy i basteje przystosowane do użycia artylerii. W 1570 r. właścicielem zamku zostaje Mathias von Logau, a od 1596 r. przechodzi on w ręce rodu von Zedlitz.

HAKAPELICI SZWEDZCY

W XVII w., w czasie wojny trzydziestoletniej, Bolko był oblegany trzykrotnie

– pierwszy i drugi raz w latach 1640 i 1642, kiedy podeszli pod niego Szwedzi pod wodzą Torstena Stålhandske, jednego ze zdolniejszych generałów szwedzkich. Ciekawe, że był on dowódcą oddziałów hakapelitów, kawalerzystów rekrutowanych spośród Finów, dosiadających ciężkich, niedużych koni z tego kraju, których działania wojenne wzorowane były na działaniach lekkiej jazdy polskiej i tatarskiej. Byli oni czymś w rodzaju szwedzko-fińskich lisowczyków, a pamięć o ich wyczynach – np. szarży w drugiej bitwie pod Breitenfeld – przetrwała do dzisiaj w fińskiej tradycji wojskowej. Powszechnie wzbudzały strach, gdyż nie oszczędzali jeńców, a ich język nie przypominał żadnego znanego w Europie.

O Torstenie powiadano, że miał tak silny uścisk dłoni, iż zapraszał do siebie wziętych do niewoli wrogich oficerów, a przy powitaniu miażdżył im prawicę w uścisku. Jako pierwszy rozpoczął oblężenie Bolkowa 23 sierpnia 1640 r. Nie przyniosło ono powodzenia, załoga zamku składająca się zaledwie z 80 ludzi i kompanii piechoty odparła wszystkie szturmowanie i Szwedzi, licząc na łatwiejszą zdobycę, odeszli do Świdnicy – być

może też mieli za mało piechoty. Po raz drugi wrócili w maju 1642 r., stawiając ultimatum – albo mieszkańcy otworzą bramy Bolkowa i zamku, albo będą strzelać tak długo, aż zrównają warownię i miasteczko z ziemią. obrońcy nie ułękli się jednak pogroźek, stawili opór, który był tak

skuteczny, że Szwedzi znowu zostali odprawieni z kwitkiem.

Zdobywcą Bolkowa został dopiero szwedzki dowódca Arvid Wittenberg, znany nam z czasów „Potopu” gubernator Warszawy, który dostał się do naszej niewoli i zmarł w Zamościu. W 1646 r. jego oddziały po raz trzeci pojawiły się pod zamkiem, w którym schronili się okoliczni mieszkańcy. Pierwsze szturmowanie zostały odparte, a kiedy 25 września oblegający założyli minę, obrońcy dokonali wycieczki i zniszczyli ją, w dodatku schwytali wielu jeńców. Jednak gdy kilka dni później doszło do generalnego szturmowania, zmęczona załoga zdecydowała się poddać. O dziwo, Szwedzi oszczędzili ludność cywilną, nakazując jedynie zapłatę kontrybucji. Opuścili Bolko dopiero w 1650 r., długo po podpisaniu i zawarciu pokoju westfalskiego kończącego wojnę trzydziestoletnią.

W 1703 r., po wymarcu linii Zedlitzów z Bolkowa, zamek kupiony został przez ojców cystersów z Krzeszowa i w ich posiadaniu pozostawał do 1810 r. – do czasu kasaty zakonu. Wkrótce zaczęła się jego ruina, gdyż w XVIII w. kilkakrotnie płonął. Co gorsza, w 1885 r. niemieckie władze zezwoliły na rozbiórkę niektórych murów, aby pozyskać materiał na budowę dróg. Na szczęście przerwała ją nadchodząca wojna, a przede wszystkim działalność burmistrza Bolkowa, który powołał Bolkowskie Towarzystwo Regionalne. To z kolei założyło muzeum mieszczące się w odrestaurowanym Domu Niewiast. Od 1922 r. mieściło się tam także schronisko dla turystów.

Największe prace konserwatorskie rozpoczęły się w 1994 r. i trwają do dziś. Podobnie jak przed wojną na zamku znajduje się oddział Muzeum Karkonoskiego w Zielonej Górze, działa też Bractwo Rycerskie Zamku Bolkowa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

RIGATONI ALL'AMATRICIANA KUCHARZA GWIAZD

Kiedy pracowałem na planie filmu „U-571”, w którym występowali m.in. Matthew McConaughey, Bill Paxton, Harvey Keitel i Jon Bon Jovi, bardzo często przygotowywałem pewne danie, które wszystkim bardzo smakowało. To rigatoni all'amatriciana, klasyczne rzymskie danie, pochodzące z położonego niedaleko Rzymu miasteczka Amatrice. Miasteczko to było sławne z potrawy, która nazywała się gricia. Pierwotnie robione ją bez pomidorów, bo były one wtedy drogim produktem. Kiedy zaczęto łączyć je z pomidorami, powstał sos amatriciana. Oczywiście podaje się go z makaronem, najlepiej rigatoni lub bucatini.

Składniki (na porcję):

- 90 g rigatoni
- 40 g guanciale z pieprzem
- 20 g świeżo starte Pecorino Romano DOP
- 5 ml oliwy z pierwszego tłoczenia
- 80 ml gotowego sosu pomidorowego

Przygotowanie:

Kroimy guanciale na długie, cienkie paski, rozgrzewamy patelnię, dodajemy kilka kropel oliwy i wrzucamy guanciale. Podsmażamy je tak, aby uzyskać efekt chrupkich skwarek, pilnując, by się nie przypaliły.

Kiedy będą już gotowe, niewielką ilość odkładamy na bok do naczynia, a resztę pozostawiamy na patelni. NIE ODELEWAMY WYTOPIONEGO Z NICH TŁUSZCZU! JEST

W NIM ZAWARTE CAŁE BOGACTWO SMAKU GUANCIALE!

Do guanciale dodajemy wcześniej przygotowany już sos pomidorowy i gotujemy przez ok. 5 min, by sos się dobrze wymieszał.

W międzyczasie wrzucamy nasze rigatoni do wrzącej, osolonej wody i gotujemy al dente. Ugotowany makaron przesypujemy na patelnię do sosu pomidorowego z wcześniej przygotowanym guanciale. Podgotowujemy na małym ogniu, mieszamy dokładnie, by składniki się dobrze połączyły.

Układamy na talerzu porcję rigatoni, a na wierzch układamy wcześniej odłożone guanciale i posypujemy obficie świeżo startym pecorino. ©©

oprac. raw

Nestor Grojewski – urodzony w Polsce, wychowany we Włoszech, szef kuchni. Gotuje m.in. dla gwiazd Hollywood na planach filmowych.



FOT. ARCHIWUM NESTORA GROJEWSKIEGO



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Konfitury i konfiturex

Truskawki, wiśnie, porzeczki, maliny, agrest, morele, czereśnie, śliwki, jeżyny. Na koniec jabłka i gruszki. Natura bezbłędnie ustala porządek pojawiania się letnich, a potem wczesno jesiennych owoców. Producenci nalewek wiedzą, jak się z nimi obchodzić, żeby ratafia wyszła jak najlepiej.

W sprawie napojów wysokowych lepiej nie będę zabierać głosu, nasze skromne ognisko domowe nie jest ich istotnym konsumentem i nie mam doświadczenia w temacie.

My skupiamy się na konfiturach. My – to jest ja się skupiam na produkcji, reszta rodziny na konsumpcji. Tu ostrzeżenie: konfitury to jedna z rzeczy, które każdy dietetyk stawia na czele listy śmiertelnych zagrożeń. Cukier, biała śmierć, otyłość, choroby krążenia. Jednak jak żyć, gdy nie ma nic słodkiego do herbaty?

Niepomna ostrzeżeń od czerwca oddają się produkcji konfitur i dżemów. Od razu powiem: dużo cukru.

Bardzo dużo cukru. Owoce i cukier: jeden do jednego. Jest wybór: cukier albo chemia. Jeśli ktoś chce, to można sprawę załatwić w parę minut. Są konfiturex, dżemiksy i tym podobne przyspieszacze. Sypiesz trochę proszku, gotujesz pięć minut i gotowe. Ja wolę sterczeć godzinami nad garnkiem i patrzeć,

jak granica słodkiego nalotu na wewnętrznej ścianie przesuwają się w dół, a zawartość zmniejsza się wolniutko i gęstnieje.

U Czechowa, Turgieniewa można poczytać, jak smażyły konfitury w dawnej Rosji. W ogrodzie, w miedzianych patelniach, z dużą powierzchnią parowania. Trwało

to parę dni. Ale czym byłaby Rosja bez konfitur? Ciekawa jestem, czy w dalszym ciągu żony oligarchów robią to na daczach na Rublowce. Bo na jachtach na Morzu Śródziemnym to jednak chyba nie.

Najwyżej cenę konfitury z owoców trudnych. Obrać 5 kg moreli to nie sztuka, zajmuje 15 minut. Ale spróbujcie z mirabelkami, półdzikimi śliweczkami poniewierającymi się w sierpniu przy wiejskich drogach. Drylowanie ich jest męką, obranie kilograma to półtorej godziny, ale konfitura nie ma sobie równych. Nad drylowaniem wiśni trzeba się nieźle napracować, obryzując wszystko wokół czerwoną posoką. Maszynka do drylowania się przydaje, cierpliwość jeszcze bardziej.

W zeszłym roku po nazbieraniu garstki dzikich jeżyn (na dwa małe słoiczki) byłam tak pokłuta, jakbym wyszła z bitwy. Pocieszam się: dobra kuchnia wymaga pracy i czasu, tylko tandeta, jak sama nazwa wskazuje, jest tania. Kto nie wierzy, niech kupi dżem pomarańczowy w supermarkecie. ©©



FOT. ADOBE STOCK



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

NOP, czyli Nic O Przyczynach

Miałem ich za wariatów. Coś tam się słyszało o antyszczepionkowcach, ale o NOP (Niepożądane Odczyny Poszczepienne) to dopiero usłyszałem, jak jeździłem w 2019 r. z Gwiazdowskim po kraju i po którychś z mitingów podeszła do niego para w sprawie liberalnego dylematu pomiędzy wolnością a przymusem szczepień. Słuchałem ich jak jakichś sekciarzy, bo nigdy nie spotkałem poszkodowanego szczepieniami człowieka. Nawet nie było ich w tej grupie, która podeszła. Myślałem, że to kolejne wolnościowe dzielenie włosa na czworo.

Albo nas szczepią jakąś solą fizjologiczną, albo jesteśmy z jakiejś innej gliny

Dziś, przy „wymuszonej do dobrowolności” szczepień, gdybyśmy grali fair, to trzeba by było powiedzieć tak: „Ludzie, ratujemy siebie i was, robimy to w sytuacji nadzwyczajnej, ale będziemy monitorować, jak nam idzie w tym eksperymencie, i trzymać rękę na pulsie oraz informować was na bieżąco, czy wszystko jest OK, bo robimy to w ciemno”. To by było jakoś w porządku. A tu nasze władze traktują nas jak króliki eksperymentalne, czyli o czym z takimi gadać?

Ulotka informująca o możliwych problemach w przypadku szczepień polskich ma dwie strony, amerykańska zaś dziewięć. W większości ten naddatek jest poświęcony temu, jak zgłaszać

NOP-y, do kogo i jakie masz w tym względzie prawa.

Właśnie, NOP-y to w Polsce dziwna sprawa. Mamy dwa wyjścia albo nawet trzy plus hard. Albo nas szczepią jakąś solą fizjologiczną, albo jesteśmy, my Słowianie, akurat między Odrą a Bugiem, z jakiejś innej gliny. Bo mamy wyniki co do NOP-ów znacząco lepsze niż reszta bogatych krajów. U nas to góra 100 zgonów, u innych, łącznie z Europą, znacznie więcej. Jest też trzecie wytłumaczenie – Polacy mniej zapadają na efekty poszczepienne, bo ich nie zgłaszają. Jest też wersja hard, że system takich zgłoszeń nie toleruje. Popatrzmy na statystyki. W całej Europie na 28 czerwca mieliśmy 1,5 mln NOP-ów i 15 472 zgony, 21 lipca już 1,7 mln NOP-ów i zgonów ponad 17 tys. Jesteśmy więc w przeliczeniu na jednego mieszkańca lepsi z 10 razy na NOP-ach i 100 na zgonach. No nie ma bata – coś leży w metodzie liczenia.

Wielu mówi, że NOP-y są częstsze, bo skala jest niespotykane światowa i nie można jej porównać z jakimkolwiek innym, masowym szczepieniem. A więc dlatego mają być tak zawyżone (liczbowo, a nie procentowo) dane. Tak? To popatrzmy, jak to było w przypadku USA i szczepień: do połowy maja 2021 r. zaszczepiono tam przeciw COVID-19 153 mln osób, zmarło zaś na NOP 3055, co daje ze 20 osób na milion. Kiedy Ameryka się szczepiła przeciwko świńskiej grypie, to po szczepieniach 45 mln zmarło 56 osób (1,2 na 1 mln zaszczepionych, czyli prawie 20 razy mniej niż przeciw COVID-19) i szczepienia przerwano z powodu ich szkodliwości.

Do tej pory nie wiadomo, dlaczego szczepionka nie jest szczepionką. To znaczy jest, ale dopiero od lutego tego roku, bo, jak z pandemią, WHO zmieniła jej definicję. Do tej pory było to wstrzykiwanie nieaktywnych form wirusa, którego organizm brał za wroga i ruszał z układem odpornościowym. To nie można było tak zrobić i tym razem? A tu mamy do czynienia z grzebaniem w genach, środkami o niewiadomych, dalekosiężnych i długotrwałych skutkach.

I właśnie trafiliśmy na koniec na istotę sprawy. Oficjalnie NOP-y liczy się do czterech tygodni od szczepienia, później „znika” związek przyczynowo-skutkowy. Ale to miało (w miarę) sens przy „prawdziwych” szczepionkach. W tych o genetycznym podłożu szkodliwe skutki mogą się pojawić bardzo późno, nawet w kolejnych pokoleniach, i nie być kojarzone ze szczepionką, przynajmniej w oficjalnych statystykach. Przypomina się lek talidomid i związana z nim afery. Też (nawet bardziej niż z preparatami na koronę) przebadano grupę kontrolną na NOP-y w ciągu czterech tygodni. Nic się nie działo. A tu lek zalecany ciężarnym na osłabienie nudności zaowocował tragedią zdeformowanych dzieci po kilku miesiącach ciąży (ponad 15 tys. przypadków bez rąk i/lub nóg). Też wszystko się zgadzało, a w genach – inaczej niż dziś – nie grzebano.

W sumie to może i fajnie, że jesteś 10 razy zdrowsi i 100 razy bardziej nieśmiertelni niż Zachód. Wreszcie w czymś pozytywnym przodujemy. Żeby to tylko była prawda... ©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Trzy procent

Moja znajoma jest harcerką. Od lat jeździ na obozy, wcześniej je organizuje. Jest tzw. kadraj. W tym roku po raz pierwszy przyszło jej – i reszcie kadry – zmierzyć się z problem zupełnie nowym.

Otóż kilka osób zadeklarowało transpłciowość. Jest dziewczyna, która identyfikuje się jako chłopak. Jest chłopak, który identyfikuje się jako dziewczyna. Jest w końcu osoba, która nie identyfikuje się w żaden sposób. Nie jest nim, nie jest nią, trzeba się zwracać do niej „ono”. Wszyscy wybrali sobie nowe imiona, mniejsza o to jakie, ale z grubsza są to imiona raczej z zachodniej strefy kulturowej, a trochę jak z powieści fantasy. Zależy im, żeby tak się do nich zwracać.

Warto podkreślić dwie rzeczy. Pierwsza to wiek harcerzy. Na obóz jadą osoby w wieku 11–13 lat i to właśnie w tym przedziale wiekowym są osoby mające problem z płciową identyfikacją. Akurat tyle mniej więcej ma mój syn. W tej grupie podobna sytuacja nie miała miejsca. I na oko dzieciaki mają zupełnie inne sprawy na głowie niż kwestionowanie swej płci biologicznej. Może to sugerować, że sprawa jest odległa jak powódź w Bangladeszu, ale to złudzenie. Bo drugą sprawą jest statystyka. Na obóz jedzie setka dzieci. Trójka z nich deklaruje transpłciowość bądź niebinarność. Czyli ta sprawa dotyka 3 proc. populacji obozu harcerskiego. Powiedziałbym, że to sporo. Bo może to stereotyp, ale harcerze to ci dobrze ułożeni, bezproblemowi młodzi ludzie. Jeśli u harcerzy

to 3 proc., to w środowiskach mniej chętnych do zakładania mundurów może być więcej.

Bez wątpienia sprawa, o której piszę, to domena wielkich miast. Mówimy tu o młodych z Warszawy, na której ulicach można już spotkać chłopaków w sukienkach. Może nie tak często jak Hindusów, ale oni tu są, istnieją, żyją. Prowincja raczej się z nimi jeszcze nie zetknęła. Owa znajoma harcerka opowiadała mi, że była niedawno na zlocie kadry, na którym ci z Podlasia dzielili się swoimi problemami: pojawili się u nich wegetarianie i ateści.

Dla kadry to wyzwanie. Na przykład w jakim namiocie ma spać dziewczyna postrzegająca się jako chłopiec? Co z toaletami czy kąpielami? Z tym wszystkim druhowie i drużny muszą sobie poradzić i sobie radzą. Ale są zaskoczeni. Tak jak możemy być my, gdy sytuacja taka pojawi się w naszej okolicy. Albo w rodzinie. Można się z tych dzieciaków podśmiewać, można zlorzeczyć lewicy i Netflixowi, że lansuje takie wzorce. Można wspominać, że za naszych czasów takich problemów nie było. Można machnąć ręką, że to moda, która – jak wszystkie mody – przeminie, gdy zmieni się popkulturowy podmuch. To wszystko po trosze prawda. Ale prawdą jest też to, że współcześni młodzi ludzie, czasem po prostu dzieci, są zagubieni. To taki mało przyjemny odprysk nowoczesności, który trafia często i nas, ludzi dojrzałych i ukształtowanych. Właśnie obliczyłem, że jakieś 3 proc. moich znajomych popełniło samobójstwo. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Zielona Armia Czerwona

Małgośka, mówią mi, będziesz walczyć z wiatrakami energetycznymi? To zadanie dla Don Kichotów wagi ciężkiej. Odpowiadam: Ale trzymam za nich kciuki. Wiatrakami spaskudzone Hiszpanię, więc przyjdzie kolej i na nas. Tyle że Polacy są dość odporni na kwestie estetyczne, a Hiszpanie opierali się długo, ale w końcu pękli. Z racji całkowitego zakazu reklamy wizualnej poza terenami miejskimi pejzaże Hiszpanii oglądane z okna samochodu wciąż potrafią przekonywać, że zamieszkujemy najpiękniejszą z planet. Nad Wisłą trudno o taką refleksję, bo wszę-

chówki” i – za przeproszeniem – nikt za to nie siedzi! Gdy więc ten rajski pejzaż Hiszpanii upstrzone nagle setkami wiatraków w myśl obowiązującej tam religii klimatycznej, poczułam, że pętla się zaciska, tym bardziej że od dwóch miesięcy wszyscy ciągle mówią o historycznej podwyżce ceny prądu rzędu 44 proc.! Hiszpanie płacą najdrożej w Europie dzięki natchnionym klimatyznie władzom. Ludzie czekają z nastawieniem pralki czy zmywarki do 2 w nocy, kiedy cena prądu jest najniższa.

Ale wiwat energia odnawialna! Zastaw się Polsko, a postaw sobie wiatraki i se dmuchaj! Bo przecież wiatr to żywioł, który marnie współpracuje z wymogami poprawności klimatycznej. Dawniej w czynie społecznym zbierało się makulaturę, więc nie zdziwię się, gdy niedługo każą nam chodzić i kolektywnie napędzać wiatry. Ale powiedz coś, że ci się to klimatyczne wzmoczenie nie podoba i że – jak zbadano – na 25 miast największych światowych „trucicieli” aż 23 należą do Chin. Nie da rady, Greta wychowała już zastępy zielonych ludzików, którzy czyhają w Internecie. A temat wcale nie jest do śmiechu, bo gdy unijna ambasador Isabel Brilhante Pedrosa wraca z Kuby i komentuje, że „zachodzą pozytywne zmiany, bo Kuba zaczyna stawiać na odnawialne źródła energii”... i mówi to w sytuacji, gdy reżim Castro prześladowuje tysiące ludzi, no to z czym mają mi się kojarzyć ekolodzy, jak nie z nową Armią Czerwoną, tyle że Zielonych? ©©

Wiatr marnie współpracuje z wymogami poprawności klimatycznej

dobyłska reklama atakuje zmysły, zasłania krajobraz i co trzy metry obiecuje różne gruszki na różnych wierzbach za jedyne 9,99. A że teren mamy wybitnie płaski, to już w ogóle można zapomnieć, jak wygląda świat niezakryty reklamową płachtą.

Tymczasem w Hiszpanii suniesz po autostradzie i jedyne, co widzisz, to zmieniającą się naturę, która odsłania bezwstydnie wszystko, co ma najpiękniejsze, i magnetycznie przyciąga wzrok. Dla odmiany w Polsce oczy zajęte są czytaniem tabliczek typu: „Wulkanizacja 100 m”, „Blachoda-



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„A jak wrócą Andersiaki...”

W lipcu 1944 r. Lublin stał się pierwszym miastem „wyzwolonym” przez Armię Czerwoną. Po niemieckiej cholerze zaczęła się sowiecka „dżuma” – najazd Czyngis-chana, krasnoarmiejców, NKWD, „ludowego” Wojska Polskiego, rządu PKWN, utworzonej natychmiast bezpieki, aresztowania AK-owców, masowe gwałty pijanych kacapów na lubliniankach, szaber, grabieże, na czele z „czasami”, zegarkami, i „wielocipedami”, rowerami. „Bierzcie »czaszy« i rowery / Uciekajcie, do cholery” – mówiono więc.

liter?” – pokpiwali. Recytowali też:

„Kochajmy Rosję, rozkaz dla Polaków, bo jej zawdzięczamy niezniszczony Kraków / I taki Lublin, a w nim rząd nasz kochany / wołą narodu wybrany / i dziś mamy tej przyjaźni próbki / ślą nam Bieruty, Gomułki, Osóbki”.

Czekano na Andersa na białym koniu, na trzecią wojnę światową, śpiewano: „Andziu, Andziu, wyjdź przed sień / Anders przyjdzie lada dzień” czy też: „Jedna bomba atomowa i wracamy znów do Lwowa” / „Jedna bomba, ale silna, i wracamy znów do Wilna” lub:

Śpiewaka zgarnął wkrótce UB, w odpisach krążyła więc pieśń Wandy Pomianowskiej, adiutantki Jana Piwnika, „Ponurego”, na melodię „O cześć wam, panowie magnaci”: „Gdy naród do boju wystąpił w Warszawie / To wyście w Lublinie radzili / Warszawa wołała – umrzem lub zwyciężym / A wy PPR-y tworzyli / O cześć wam, panowie z Lublina / Za mury stolicy zwalone / O cześć wam za rządy batiuszki Stalina / Za orła skradzioną koronę / Gdy ginął za wolność kwiat naszej młodzieży / AK-owcy się w lasach trzymali / To wyście najlepszych w ojczyźnie żołnierzy / zdrajcami narodu nazwali”.

Reakcją na zawłaszczania prywatnej własności był popularny także później wierszyk: „Na kapuście drobne liście / Nie daj dupy komuniście / Bo jak się Bierut o tym dowi / To ci dupę upaństwowi”. Naigrywano się też z demokracji w nowym wydaniu, bo sowietyzowano Polskę pod tym właśnie hasłem: „Stalin lubi słonie / Ale zjadł Bieruta / A Bierut zjadł bułkę / I wysrał Gomułkę / I oni wszyscy zjedli kolację / I wysrali demokrację”. „Przeżyliśmy okupację, przeżyjemy demokrację” – żartowano. Przerabiano ówczesne szlagiery, np. późniejszy już, z 1950 r., „Na lewo most, na prawo most”, nawiązując do powojennej nędzy: „Na lewo skład, na prawo sklep / a w środku węgla nie ma / na ciebie chłód, w żołądku głód / w kieszeni forsy nie ma”. Ale śpiewano już tylko w zaufanym gronie – zaczęły się „szeptane procesy”, za „szeptankę”, „wrogą propagandę” groziło kilka lat więzienia lub obozu pracy. ©©

Odpowiedzią na najazd Armii Czerwonej było nie tylko aktywne nadal zbrojne podziemie, lecz także opór cywilny, wyrażający się w zakazanych piosenkach, wierszykach, dowcipach

Odpowiedzią na najazd było bowiem nie tylko aktywne nadal zbrojne podziemie, lecz także opór cywilny, wyrażający się w zakazanych piosenkach, wierszykach, dowcipach, nie najwyższego często lotu, wulgarnych, ale za to autentycznych, będących wymiotnym odruchem obronnym.

Początkowo traktowano „dżumę” jako coś przejściowego, nawet pierwszy rząd nazywał się przecież Tymczasowy. Przekształcił się w niego utworzony w Moskwie PKWN, którego nazwa kojarzyła się lubliniakom z NKWD, przeżywali go więc Naczelnym Komitetem Zwłolenia Narodowego. „Co dobrego może wyjść z czterech

„Truman, Truman, spuść ta bania, / bo tu nie do wytrzymania!”. Wywołując powszechny aplauz, uliczny artysta wyśpiewywał na melodię „Serca w plecaku” główny ówczesny szlagier „Gównu w trawie zapiszczało”: „Przyjechali z Moskwy grandą / Z pepesza mi, propagandą / Wszystko zjedli i wypili / Zamiast płacić, w mordę bili / Tę piosenkę, tę jedyną / śpiewa żołnierz spod Tobruku / śpiewa żołnierz spod Casino / na złość wszystkim sukinsynom / A jak wrócą Andersiaki / to potrzebą wasze sraki / górą będzie nasza racja / I to będzie demokracja / Gównu w trawie zapiszczało / i cieszy się, leżąc równo / bo się wreszcie doczekało / że dziś ważne każde gównu”.



FOT. W. LEPIŃSKI (LUD) / ANDREW SOKOLSKI

NIE PRZEPRASZAĆ!!!

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Lewaków nie da się skutecznie przeprosić, gdy się do ciebie o coś przyczepią. Nie da się i dlatego nie warto próbować. Agresywne grupy, bojówki w sieci często walą w swoich (czyli lewacy atakują innych lewaków). Widać to dobrze w Hollywood.

Ktoś zagrał 30 lat temu w „niestosownym” filmie. Dawno temu ten film był jak najbardziej stosowny, a „niestosowny” zrobił się dopiero dzisiaj, bo zaszły zmiany kulturowe lub wprowadzono nowe standardy. Dziś już tamten film by nie powstał, ale wtedy dostałeś za niego Oscara, bo był dobry, właściwy. Dziś nie jest, bo czasy inne, ale wtedy był. Wtedy cała branża akceptowała zarówno film, jak i twoją w nim rolę. Klaskali. Teraz wyciągają komuś z życiorysu tamten film nagrany u zarania kariery i biedny aktor w obawie o utratę pracy lub sławy decyduje się publicznie pokajać, przeproszać w sieci, składać samokrytykę do kamer. Seanse nienawiści i samokrytyka, a ostatecznie – gdy już zostaniesz poniżony, gdy zaprzeczysz wszystkiemu, w co wierzyłeś – oni i tak cię wykluczą i wywalą. Przeproszałeś po nic. Wyparłeś się swoich wartości i dorobku artystycznego po nic. Najadłeś

się wstydu po nic. Straciłeś godność i zaczynasz sam siebie nienawidzić po nic. Więc nie przepraszaj, bo tylko na tym stracisz. Broń się i atakuj. Być może mimo wszystko przegrasz, ale zachowasz honor i zdrowy rozsądek. Ktoś będzie cię nadal szanował, a lewacy i tak nie będą cię szanować niezależnie od tego, czy złożysz samokrytykę czy przeciwnie. Gdy się im pokłoniśz, będą cię mieli za nic i nie przestaną poniżać. A gdy im stawisz opór, odmówisz przeproszenia, będą cię mieli za wroga. To ja już wolę to drugie – wolę być czymś wrogiem niż czymś śmieciem.

Powiadam więc: LEWAKÓW NIE PRZEPRASZAJ NIGDY I ZA NIC.

Na Jarmarku Dominikańskim przyszła do mnie artystka disco polo. Nie wiedziałem, kim jest, a Ona nie chwaliła się, że zarabia śpiewem. Czysta zwyczajna sytuacja – chciała, by jej podpisać książkę, i chciała sobie zrobić zdjęcie z panem WC. Zapytałem, jak KAŻDEGO, czy w zamian za zdjęcie zgodzi się odmówić Różaniec. Zgodziła się. A potem pokazała to zdjęcie w sieci i... rzuciły się na nią sieciowe bojówki. Moja tabliczka: „Zdjęcie za Różaniec” bardzo niestosowna.

Podobnie z okazji igrzysk jednej z polskich zawodniczek dostało się za chrześcijaństwo. Skopać żeglarkę po nerkach

(w sieci) postanowiła jakaś posłanka z PO. I co? Artystka disco polo usunęła wpis zawierający tabliczkę: „Zdjęcie za Różaniec” i... przegrała. Będą po niej jeździć jeszcze długo – do zniszczenia. Z kolei żeglarka nie ugięła karku, nie zamierza przeproszać za to, że jest wierząca i... To posłanka PO musiała się ukryć wstydliwie pod przydrożną kupą kamieni. Nie przepraszaj lewaków za to, w co wierzysz, za to, kim jesteś. Stój twardo przy swoim.

Technika organizowania seansów nienawiści wobec wybranych osób to nic nowego. Stosowali ją Niemcy za Hitlera, stosowali też bolszewicy. A fakt, że lubią atakować swoich, też nienowoczesny – bolszewicy atakowali mienszewików, Trocki uciekał przed Stalinem aż do Meksyku, Stalin go tam dogonił i kazał porąbać. Z porąbania siekierami nic nie wyszło, ale Trocki dostał w głowę młotkiem do tłuczenia lodu. Z punktu widzenia Stalina zawsze coś.

Seanse nienawiści wobec swoich odbywały się w sowieckiej Rosji regularnie. Twórcy rewolucji, ludzie ze szczytów władzy nagle zeznawali publicznie jako wrogowie ludu. Kolejne czystki, jedna za drugą. Niektórzy z oskarżonych organizowali czystki wcześniejsze, więc wiedzieli z doświadczenia, że przeproszenie i kajanie się nic im nie da – i tak trafią do łagru lub dostaną karę śmierci, a razem z nimi pójść ich bliscy i znajomi.

Teraz jest podobnie – aktor, który złożył samokrytykę, i tak nie dostanie pracy, choćby nie wiem, jak i za co przeproszał, a jego rodzina i przyjaciele stają się podejrzeni i też należą ich wykluczyć ze społeczeństwa.

Niemcy Hitlera i Rosja Stalina to były systemy tota-

litarne. Obecnie przeżywamy narodziny kolejnego totalitaryzmu, który nie ma jeszcze swojej nazwy. Hitler i Stalin oraz podobni im osobnicy (np. Mao) tworzyli „nowy świat” – jakiś nieznany wcześniej w historii system, który wymaga tego, by zniszczyć doszczętnie system poprzedni, czyli „stary”, skrytykować historię i pohańbić dorobek przeszłych pokoleń, bo teraz ma zaistnieć Nowy Ład, a stary był niedobry.

Totalitaryzmy budowane są na gruzach i pogorzeliskach, a nie na fundamencie istniejącej kultury. Stąd rewolucja kulturalna w Chinach (odpowiednik resetu), stąd wysadzanie zabytków przez talibany, stąd takie idiotyzmy, jak całkiem nowy kalendarz i nowe nazwy miesięcy w rewolucji francuskiej, i stąd agresywne i metodyczne zwalczanie kultury chrześcijańskiej w Unii Europejskiej. Totalitaryzm nie chce mieć korzeni, chce być zbudowany na pustym polu opróżnionym do czysta.

Dobłą nazwę na to, co się rodzi obecnie, pamiętam ze starej piosenki Jacka Kaczmarskiego – pada tam słowo „demokracura” (lub jakieś bardzo podobne). Połączenie demokracji z dyktaturą i kreaturą.

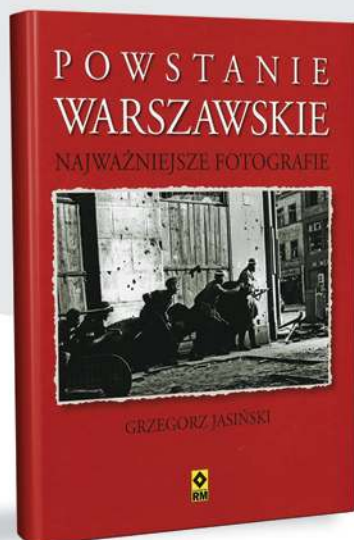
Dyktatura demokracji – tym są Unia Europejska, europejski system wyborczy, sposób, w jaki oni głosują – na szybko, na wariata, na pozór, bo przecież wszystko i tak już dawno USTALONE za zamkniętymi drzwiami, w komitecie, przez komisarzy lub w Kominternie. UE to dyktatura demokracji – dyktująca krajom takim jak Polska, jak ma wyglądać ich porządek prawny. I nieważne, na co głosował naród, ważne, co każe brukselski tyran.

Wolność w UE polega na tym, że wolno nam wszystko pod warunkiem, że oni nam na to pozwolą. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~716 zł~~

W PREZENCIE KSIĄŻKA

GRZEGORZ JASIŃSKI
„POWSTANIE WARSZAWSKIE.
NAJWAŻNIEJSZE FOTOGRAFIE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

313,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 403 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl Odbf790bc8



JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

TOKIO2020
#TeamPolska



SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik